

NICHOLAS SPARKS

NOCE W RODANTHE

(Nights In Rodanthe)

Przekład Elżbieta Zychowicz

Landonowi, Lexie i Savannah

PODZIĘKOWANIA

„Noce w Rodanthe”, jak wszystkie moje powieści, nie mogłyby powstać, gdyby nie cierpliwość, miłość i wsparcie mojej żony Cathy, która pięknieje z każdym rokiem.

Ponieważ tę książkę dedykuję trójce moich dzieci, muszę wspomnieć dwóch pozostałych synów, Milesa i Ryana (którym zadedykowałem „List w butelce”). Kocham was, chłopcy! chciałbym również podziękować Theresie Park i Jamiemu Raabowi, mojej agentce oraz mojemu redaktorowi. Nie tylko dlatego, że oboje mają fantastycznego nosa, ale także dlatego, że nigdy nie pozwalają mi obniżyć lotów, jeśli idzie o twórczość pisarską. Mimo że czasami zrzędzę z powodu trudności, jakie mi to nastrecza, produkt końcowy jest tym, czym jest, dzięki nim obojgu.

Larry Kirshbaum i Maureen Egen z Warner Books również zasługują na moje podziękowania. Ilekroć jestem w Nowym Jorku, czuję się tak, jak gdybym odwiedzał rodzinę, gdy spędzam z nimi czas. Uczynili dla mnie z Warner Books fantastyczny dom.

Denise Di Novi, producentka zarówno „Listu w butelce”, jak i „Jesiennej miłości”, jest nie tylko rewelacyjna w tym, co robi, lecz również kimś, komu ufam i kogo szanuję. Jest niezawodną przyjaciółką i pragnę wyrazić wdzięczność za wszystko, co zrobiła - i wciąż robi - dla mnie.

Richard Green i Howie Sanders, moi hollywoodzcy agenci, są wspaniałymi przyjaciółmi, wspaniałymi ludźmi i w ogóle są wspaniali we wszystkim, czego się tylko imają. Dzięki, chłopaki.

Scott Schwimer, mój prawnik i przyjaciel, zawsze dba o moje interesy. Dziękuję.

A teraz ludzie z reklamy. Wyrazy wdzięczności niech przyjmą Jennifer Romanello, Emi Battaglia oraz Edna Farley; Flag, która projektuje okładki moich powieści, jak również jej współpracownicy: Courtenay Valenti i Lorenzo De Bonaventura z Warner Brothers, Hunt Lowry i Ed Gaylord II z Gaylord Films; Mark Johnson i Lynn Harris z New Line, z którymi współpraca układała się kapitalnie.

Mandy Moore i Shane West byli cudowni w „Jesiennej miłości”; doceniam ich entuzjazm.

Teraz czas na podziękowania dla rodziny - jak mógłbym ich wszystkich pominąć: Micah, Christine, Alli i Peyton, Bob, Debbie, Cody i Cole, Mikę i Parnell, Henrietta, Charles i denara,

Duke i Marge, Dianne i John, Monte i Gail, Dan i Sandy, Jack, Carlin, Joe, Elaine i Mark,
Michelle i Lemont, Paul, John i Caroline, Tim, Joannie i Papa Paul.

No i oczywiście, jak mógłbym nie wspomnieć o Paulu i Adrienne!

ROZDZIAŁ 1

Trzy lata temu, ciepłego listopadowego poranka tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku, Adrienne Willis wróciła do Gospody, która na pierwszy rzut oka wydała jej się niezmienną, jak gdyby czas, słońce, piasek i słona bryza okazały się dla budynku łaskawe. Weranda była świeżo odmalowana, a błyszczące czarne żaluzje w prostokątnych oknach z białymi zasłonami na obu piętrach były niczym klawisze fortepianu. Cedrowa okładzina miała kolor przykurzonego śniegu. Po jednej stronie budynku wysokie trawy kołysały się powitalnie na wietrze, a z piasku uformowała się łukowata wydma, która zmieniała się niezauważalnie z każdym kolejnym dniem, gdy pojedyncze ziarenka przesuwały się z miejsca na miejsce.

Słońce przeświecało zza chmur i powietrze zdawało się fosforyzować, jak gdyby cząsteczki światła zawisły we mgle. Adrienne miała przez chwilę wrażenie, że cofnęła się w czasie. Gdy jednak przyjrzała się bliżej, stopniowo zaczęła zauważać zmiany, których nie mogła ukryć zewnętrzna kosmetyka - spróchniałe rogi okien, smugi rdzy na dachu, plamy wody w pobliżu rynien. Gospoda zaczynała chyba podupadać i choć Adrienne zdawała sobie sprawę, że nie może zrobić nic, żeby to zmienić, zamknęła oczy, jak gdyby chciała za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przywrócić jej dawny wygląd.

Teraz, stojąc w kuchni własnego domu, Adrienne, której brakowało kilku miesięcy do sześćdziesiątki, odwiesiła słuchawkę po rozmowie z córką. Usiadła przy stole, wracając myślą do ostatniej wizyty w Gospodzie i przypominając sobie długi weekend, który kiedyś tam spędziła. Bez względu na wszystko, co się zdarzyło w późniejszych latach, Adrienne w dalszym ciągu była głęboko przekonana, że miłość stanowi sens pełnego i wspaniałego życia.

Za oknami padał deszcz. Słuchając, jak stuka cicho o szyby, była wdzięczna za poczucie swojskości, które jej dawał. Wspominanie tamtych dni zawsze budziło w niej mieszane uczucia - coś zbliżonego do nostalgii, choć nie całkiem z nią tożsamego. Nostalgia często bywa interpretowana romantycznie, a nie było powodu, żeby czynić jej wspomnienia bardziej romantycznymi, niż były w istocie. Nie dzieliła ich też z innymi. Stanowiły wyłącznie jej własność i przez lata zaczęła traktować je jak coś w rodzaju ekspozycji muzealnej, gdzie była jednocześnie kustoszem i jedynym gościem. I w dziwny sposób uwierzyła, że przez te pięć dni nauczyła się więcej niż przez wszystkie wcześniejsze czy późniejsze lata.

Mieszkała w domu sama. Dzieci dorosły, ojciec zmarł w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku, od rozwodu z Jackiem minęło już siedemnaście lat. Mimo że synowie namawiali ją czasami, żeby znalazła kogoś, z kim spędziłaby resztę życia, Adrienne nie odczuwała takiej potrzeby. Nie dlatego, że była nieufna wobec mężczyzn, przeciwnie, nawet teraz jej wzrok przyciągali niekiedy młodszy mężczyźni w supermarketach. Ponieważ bywali zaledwie kilka lat starsi od jej własnych dzieci, ciekawiło ją, co pomyśleliby, gdyby zauważyli, że się im przygląda. Czy zlekceważyliby ją, czy też odwzajemniliby uśmiech, uważając jej zainteresowanie za sympatyczne? Nie była pewna. Nie wiedziała też, czy możliwe, żeby pod zmarszczkami i siwiejącymi włosami dostrzegli kobietę, jaką była kiedyś.

Nie żałowała bynajmniej, że się starzeje. W dzisiejszych czasach ludzie mówią bez przerwy o rozkoszach młodości, lecz Adrienne nie chciała być znowu młoda. Jeśli już, to w średnim wieku, ale nie młoda. Wprawdzie brakowało jej niektórych rzeczy - wbiegania po schodach, noszenia więcej niż jednej torby z zakupami naraz, energii, pozwalającej dotrzymać kroku wnukom ścigającym się na podwórzu - z przyjemnością jednak zamieniłaby je na doświadczenie, które miała, a ono przychodzi dopiero z wiekiem. Faktem jest, że mogła spojrzeć wstecz na swoje życie i stwierdzić, że wcale się nie zmieniła, może tylko łatwiej jej się teraz zasypiało.

Poza tym młodość ma swoje problemy. Nie tylko pamiętała je z własnego życia, lecz również przyglądała się, jak jej dzieci borykały się tuż po dwudziestce z lękami okresu dojrzałości, niepewnością i zamętem. Choć dwoje z nich przekroczyło już trzydziestkę, a jedno jej dobiegało, zastanawiała się czasami, kiedy macierzyństwo przestanie być pracą w pełnym wymiarze godzin.

Matt miał trzydzieści dwa lata, Amanda trzydzieści jeden, a Dan skończył właśnie dwadzieścia dziewięć. Wszyscy ukończyli college, co napawało ją wielką dumą, ponieważ był czas, kiedy nie miała pewności, że któremukolwiek się to uda. Byli uczciwi, miłego usposobienia i samowystarczalni. Tego właśnie od nich przeważnie wymagała. Matt pracował jako księgowy, Dan był dziennikarzem sportowym w wieczornych wiadomościach w Greenville, obaj mieli już własne rodziny. Gdy przyjeżdżali na Święto Dziękczynienia, siadała z boku i przyglądała się, jak biegają za własnymi dziećmi, czując osobliwe zadowolenie, że synom sprawy ułożyły się tak, a nie inaczej.

Jak zwykle, sytuacja córki była trochę bardziej skomplikowana.

Dzieci miały czternaście, trzynaście i jedenaście lat, kiedy Jack wyprowadził się z domu, i każde z nich przeżywało rozwód inaczej. Matt i Dan rozładowywali agresję w sporcie lub od czasu do czasu w szkolnych bójkach, lecz cała sytuacja miała największy wpływ na Amandę. Jako średnie dziecko między dwoma braćmi zawsze była najbardziej wrażliwa i jako nastolatka potrzebowała ojca w domu, choćby tylko po to, żeby oderwać się od strapionych spojrzeń matki. Zaczęła nosić ubrania, które w odczuciu Adrienne były szmatami, włączyła się do późnej nocy z paczką młodych ludzi i przez parę następnych lat co jakiś czas przysięgała, że jest śmiertelnie zakochana w kolejnym chłopcu, a było ich w sumie przynajmniej pół tuzina. Po powrocie ze szkoły spędzała całe godziny w swoim pokoju, słuchając muzyki, od której drżały ściany, nie reagując na wołania matki wzywającej ją na obiad. Bywały okresy, kiedy całymi dniami prawie nie odzywała się do matki i braci.

Jednakże po kilku latach Amanda odnalazła w końcu swoją drogę życia, o dziwo, podobną do drogi życiowej Adrienne. W college'u poznała Brenta, po ukończeniu studiów pobrali się i mieli dwójkę dzieci. Podobnie jak wiele młodych małżeństw borykali się z trudnościami finansowymi, lecz Brent w przeciwieństwie do Jacka był rozsądny i zapobiegliwy. Gdy urodził im się pierwszy syn, wykupił polisę na życie jako zabezpieczenie, choć żadne z nich nie przypuszczało, że w niedługim czasie będą zmuszeni ją wykorzystać.

Mylili się.

Brent zmarł osiem miesięcy temu, padając ofiarą złośliwej odmiany raka jąder. Adrienne była świadkiem, jak Amanda popada w coraz głębszą depresję, a wczorajszego popołudnia, gdy spędziwszy trochę czasu z wnukami, odwiozła ich do domu, zastała zasłony w oknach spuszczone, na werandzie wciąż paliło się światło, Amanda zaś siedziała w szlafroku w salonie, z tak samo nieobecny wyrazem twarzy jak w dniu pogrzebu.

Właśnie wtedy, stojąc w salonie w domu córki, Adrienne doszła do wniosku, że nadszedł czas, by opowiedzieć jej o przeszłości.

* * *

Czternaście lat. Tyle lat minęło.

Przez te wszystkie lata Adrienne powiedziała tylko jednej osobie o tym, co się wydarzyło, ale jej ojciec zabrał tę tajemnicę do grobu, nie mogąc zdradzić jej nikomu, nawet gdyby chciał.

Matka zmarła, gdy Adrienne miała trzydzieści pięć lat i choć łączyły je dobre stosunki, ojciec był jej najbliższy. W dalszym ciągu uważała, że był jednym z dwóch mężczyzn, którzy

naprawdę ją rozumieli, i bardzo jej go teraz brakowało. Jego życie nie różniło się od życia wielu mężczyzn tego samego pokolenia. Nauczył się zawodu, zamiast studiować w college'u, i spędził czterdzieści lat w fabryce mebli, otrzymując wynagrodzenie za godzinę, które co rok w styczniu wzrastało o grosze. Nosił filcowe kapelusze nawet podczas ciepłych miesięcy letnich, a drugie śniadanie w pudełku ze skrzypiącymi zawiasami. Codziennie rano wychodził z domu punktualnie o szóstej czterdzieści pięć i pokonywał piechotą odległość dwóch i pół kilometra, dzielącą go od miejsca pracy.

Wieczorami, po kolacji, chodził w rozpinanym swetrze i koszulach z długimi rękawami. Wymięte spodnie nadawały mu trochę zaniedbany wygląd, co pogłębiało się z upływem czasu, a zwłaszcza po śmierci żony. Lubił siadywać w fotelu klubowym przy lampie i czytać klasyczne westerny oraz książki o drugiej wojnie światowej. W ostatnich latach przed udarami, w swoich staromodnych okularach, z krzaczystymi brwiami i pobrużdżoną twarzą przypominał raczej emerytowanego profesora college'u niż pracownika fizycznego, którym był.

Ojciec Adrienne tchnął spokojem, z którego zawsze pragnęła brać przykład. Często myślała, że świetnie nadawałby się na duszpasterza. Ludzie, którzy spotykali się z nim po raz pierwszy, zazwyczaj odchodzili pod wrażeniem, że jest w zgodzie ze sobą i całym światem. Potrafił wspaniale słuchać, wspierając brodę na dłoni i nie odrywając spojrzenia od twarzy mówiącego, jego mina wyrażała cierpliwość i zrozumienie, humor i smutek. Adrienne żałowała, że nie ma go w tej chwili przy Amandzie. On również stracił żonę i Amanda zapewne wysłuchałaby go, choćby tylko dlatego, że wiedział, jakie to trudne.

Kiedy miesiąc temu Adrienne próbowała delikatnie porozmawiać z Amandą o jej przeżyciach, córka wstała od stołu, kręcąc gniewnie głową.

- Sytuacja jest zupełnie inna niż w wypadku twoim i taty - powiedziała. - Nie potrafiliście rozwiązać swoich problemów, więc się rozwiedliście. Ale ja kochałam Brenta. I zawsze będę kochała, a straciłam go. Nie masz pojęcia, jak czuje się człowiek, którego spotkało coś takiego.

Adrienne nic na to nie odpowiedziała, lecz gdy Amanda wyszła z pokoju, pochyliła głowę i wyszeptała jedno jedyne słowo.

Rodanthe.

* * *

Adrienne bardzo współczuła córce, lecz jednocześnie martwiła się o jej dzieci. Max miał sześć lat, a Greg cztery, i w ciągu minionych ośmiu miesięcy Adrienne zauważyła wyraźne

zmiany w ich osobowości. Obaj stali się zamknięci w sobie i milczący. Żaden z nich nie grał jesienią w piłkę nożną i choć Max dobrze czuł się w przedszkolu, płakał każdego ranka przed wyjściem z domu. Greg zaczął znowu moczyć się w nocy i wpadał w złość z byle powodu. Adrienne zdawała sobie sprawę, że podłożem niektórych z tych zachowań jest utrata ojca, ale też wpłynęła na nie zmiana w postępowaniu Amandy od ostatniej wiosny.

Dzięki ubezpieczeniu Amanda nie musiała pracować. Mimo to przez pierwsze dwa miesiące po śmierci Brenta Adrienne spędzała niemal każdy dzień w domu córki, zajmując się rachunkami i gotowaniem dla dzieci, gdy tymczasem Amanda spała i rozpaczała w swoim pokoju. Przytulała ją, ilekroć córka tego potrzebowała, była uważną słuchaczką, gdy Amanda chciała rozmawiać, i zmuszała ją, żeby codziennie spędzała przynajmniej godzinę na dworze, w nadziei, że świeże powietrze przywróci córce chęć do rozpoczęcia życia od nowa.

Adrienne miała wrażenie, że Amandzie poprawia się samopoczucie. Wczesnym latem zaczęła się znowu uśmiechać, najpierw rzadko, potem coraz częściej. Kilka razy wybrała się do miasta, wzięła dzieci na wrotki, toteż Adrienne stopniowo wycofywała się z obowiązków, które przyjęła na siebie. Zdawała sobie sprawę, jak ważne jest, żeby córka wzięła na nowo odpowiedzialność za swoje życie. Wiedziała z własnego doświadczenia, że pocieszenie można znaleźć w zwykłych codziennych czynnościach. Spodziewała się, że ograniczając swoją obecność w życiu Amandy, zmusi ją do uświadomienia sobie tego.

Jednakże w sierpniu, w dniu, w którym wypadła siódma rocznica jej ślubu, młoda kobieta otworzyła drzwi szafy w głównej sypialni i spostrzegła kurz, który zebrał się na ramionach garniturów męża. I nagle proces poprawy się zatrzymał. Nie nastąpił regres - bywały chwile, że przypominała dawną Amandę - ale przeważnie zdawało się, że zastygła gdzieś pośrodku. Nie była ani przygnębiona, ani szczęśliwa, ani podniecona, ani ospała, ani zainteresowana tym, co się dzieje wokół niej, ani znudzona. Adrienne doszła do wniosku, że Amandzie wydaje się, iż każdy krok do przodu w jakiś sposób zbruka jej wspomnienia o Brencie, i postanowiła nie dopuścić do takiej sytuacji.

Nie było to jednak w porządku wobec dzieci. Potrzebowały matczynych rad, matczynej miłości i troskliwości. Czekały na to, żeby im powiedziała, że wszystko będzie dobrze. Straciły już jedno z rodziców i przeżyły to bardzo ciężko. Ostatnio jednak Adrienne miała wrażenie, że chłopcy stracili również matkę.

* * *

W łagodnym świetle słabo oświetlonej kuchni Adrienne spojrzała na zegar. Na jej prośbę Dan zabrał Maxa i Grega do kina, żeby mogła spędzić wieczór sam na sam z Amandą. Obaj jej synowie również niepokoiли się o swoich siostrzeńców. Nie tylko starali się ze wszystkich sił brać czynny udział w życiu chłopców, lecz prawie wszystkie rozmowy z matką zaczynały się lub kończyły tym samym pytaniem: *Co robimy?*

Dzisiaj, gdy Dan zadał znowu to samo pytanie, Adrienne zapewniła go, że porozmawia z Amandą. Mimo że Dan podchodził do tego sceptycznie - czyż nie próbowali robić tego przez cały czas? - wiedziała, że dzisiejszego wieczoru będzie inaczej.

Adrienne nie miała złudzeń na temat tego, co myślą o niej jej dzieci. Owszem, kochały i szanowały ją jako matkę, wiedziała jednak, że nigdy tak naprawdę jej *nie znały*. W oczach dzieci była osobą o łagodnym usposobieniu, lecz przewidywalną, miłą i zrównoważoną, przyjazną duszą z innej epoki, która szła przez życie z naiwnym przekonaniem o nienaruszalności świata. Oczywiście widać było po niej upływ czasu - przez te wszystkie lata żyły na jej dłoniach nabrzmiały, figura zaczęła przypominać bardziej prostokąt niż klepsydrę, nosiła coraz mocniejsze szkła - ale czasami tłumiała śmiech, gdy widziała, jak patrzą na nią z minami, które miały poprawić jej samopoczucie.

Wiedziała, że po części ta błędna ocena wynikała z pragnienia, by postrzegać ją w pewien sposób, zgodnie z wcześniej ukształtowanym wizerunkiem kobiety w jej wieku, wizerunkiem, który był dla nich do przyjęcia. Łatwiej było - i szczerze mówiąc, wygodniej - uważać mamę za osobę raczej powściągliwą niż odważną, raczej ciepłe kluchy niż kogoś o doświadczeniach, które mogłyby ich zaskoczyć. I podtrzymując ten wizerunek matki o łagodnym usposobieniu, przewidywalnej, miłej i zrównoważonej, nie miała ochoty zmieniać ich osądu.

Wiedząc, że Amanda zjawi się lada chwila, Adrienne podeszła do lodówki i postawiła na stole butelkę pinot grigio. Po południu w domu zrobiło się chłodno, toteż idąc na górę do sypialni, nastawiła termostat na wyższą temperaturę.

Ponieważ pokój, który dzieliła kiedyś z Jackiem, należał teraz wyłącznie do niej, od rozvodu urządziła go na nowo dwa razy. Adrienne podeszła do łóżka z baldachimem, które pragnęła mieć od czasów dzieciństwa. Pod nim było schowane, wepchnięte pod samą ścianę, małe pudełko z papeterią. Adrienne wyciągnęła je i położyła obok siebie na poduszce.

Wewnątrz znajdowały się pamiątki, które zachowała - liścik, zostawiony przez Paula w Gospodzie, zdjęcie, zrobione mu w klinice, oraz list, który otrzymała na kilka tygodni przed

świętami Bożego Narodzenia. Pod nimi leżały dwa pliki listów, które między sobą wymieniali, a w środku kolorowa muszla, znaleziona kiedyś przez nich na plaży.

Adrienne odłożyła wszystko na bok, wyjmując kopertę z jednego z plików i przypominając sobie, jak się czuła, gdy przeczytała adresowane do niej słowa po raz pierwszy, po czym wysunęła z koperty kartkę. Papier pożółkł i zrobił się łamliwy i mimo że atrament wyblakł przez lata, od chwili gdy list został napisany, słowa były czytelne.

Droga Adrienne

Pisanie listów nigdy nie było moją mocną stroną, mam więc nadzieję, że mi wybaczysz, jeśli nie uda mi się wyrazić wszystkiego jasno.

Wierz mi lub nie, dotarłem dziś rano na ośle do miejsca, w którym będę przez pewien czas wiódł życie, i zaznał się z nim dokładnie. Chciałbym móc Ci powiedzieć, że jest lepiej, niż się spodziewałem, ale jeśli mam być całkiem szczerzy, zupełnie tak nie jest. W klinice brakuje niemal wszystkiego - lekarstw, aparatury, łóżek - ale rozmawiałem z dyrektorem i myślę, że uda mi się rozwiązać ten problem przynajmniej częściowo. Mimo że mają tam generator prądu, nie ma telefonów, toteż nie będę mógł zadzwonić, dopóki nie dotrę do Esmeraldas. To dwa dni konnej jazdy stąd, a następnej dostawy nie spodziewamy się wcześniej niż za kilka tygodni. Przykro mi z tego powodu, lecz oboje chyba przypuszczaliśmy, że sytuacja może wyglądać tak, a nie inaczej.

Nie widziałem jeszcze Marka. Jest teraz w filii kliniki dość daleko w górach i wróci późnym wieczorem. Napiszę Ci, jak się sprawy układają, ale z początku nie oczekuję cudu. Jak sama powiedziałaś, potrzebujemy chyba czasu, żeby się poznać wzajemnie, zanim spróbujemy rozwikłać nasze problemy.

Nie potrafię nawet obliczyć, ilu pacjentów badałem dzisiaj. Chyba ponad setkę. Dawno już nie widziałem ludzi z tego rodzaju schorzeniami, ale pielęgniarka była bardzo pomocna, gdy spostrzegła, że się w tym wszystkim gubię. Przypuszczam, że była wdzięczna choćby tylko za to, że tam w ogóle jestem.

Od mojego wyjazdu stałe o Tobie myślę, zastanawiając się, dlaczego podróż, którą odbywam, zdaje się prowadzić przez Ciebie. Wiem, że ta podróż jeszcze się nie skończyła i że życie jest krętą ścieżką, mogę jednak tylko mieć nadzieję, iż jakimś sposobem zatoczy Z powrotem krąg do miejsca, do którego należę.

Tak właśnie myślę teraz. Należę do Ciebie. Jadąc samochodem, a potem lecąc samolotem, wyobrażałem sobie, że gdy będę lądował w Quito, zobaczę Cię wśród tłumów, czekającą na mnie. Zdawałem sobie sprawę, że to niemożliwe, lecz z jakiejś przyczyny chyba dlatego było mi odrobinę łatwiej rozstać się z Tobą. Czułem się niemal tak, jak gdybym zabrał ze sobą część Ciebie.

Chcę wierzyć, że to prawda. Nie, przepraszam - wiem, że to prawda. Zanim się spotkaliśmy, byłem zagubiony, jak tylko może być zagubiony człowiek, a jednak Ty zobaczyłaś we mnie coś, dzięki czemu odzyskałem znowu orientację. Oboje znamy powód mojego przyjazdu do Rodanthe, nie mogę jednak przestać myśleć, że wmieszały się w to jakieś siły wyższe. Pojechałem tam, żeby zamknąć pewien rozdział mojego życia, w nadziei, że pomoże mi to odnaleźć drogę. Ale myślę, że to Ciebie szukałem przez całe życie. I to Ty jesteś ze mną teraz.

Oboje wiemy, że muszę tu zostać na pewien czas. Nie mam pojęcia, kiedy wrócę i nawet gdyby nasza rozłąka miała nie potrwać długo, zdaję sobie sprawę. Że będę za Tobą tęsknił bardziej niż kiedykolwiek za kimkolwiek innym. Chwilami mam ochotę wskoczyć do samolotu i przylecieć do Ciebie, ale jeśli to, co się stało między nami, jest tak prawdziwe, jak mi się wydaje, jestem pewien, że nam się uda. I wrócę, obiecuję Ci. W tym krótkim czasie, który spędziliśmy razem, mieliśmy to, o czym większość ludzi może tylko marzyć, i będę liczył dni dzielące nas od ponownego spotkania. Nigdy nie zapominaj, jak bardzo Cię kocham.

Paul

Adrienne skończyła czytać list i odłożyła go na bok. Wzięła do ręki muszlę, którą znaleźli dawno temu w niedzielne popołudnie. Nawet teraz wydzielala zapach soli, ponadczasowości oraz pierwotną woń samego życia. Była średniej wielkości, idealnego kształtu, niepopękana, aż trudno uwierzyć, że po sztormie znaleźli ją w takim stanie we wzburzonej morskiej pianie na wybrzeżu Outer Banks. Pomyślała wtedy, że to znak. Pamięta, że podniosła ją do ucha i powiedziała, że jest w niej zakłęty szum oceanu, na co Paul się roześmiał, mówiąc, że to szum prawdziwego oceanu właśnie słyszy. Otoczył ją ramionami.

- To przypływ, nie zauważyłaś? - szepnął.

Adrienne przerzuciła zawartość pudełka, odkładając to, co było jej potrzebne do rozmowy z Amandą i żałując, że nie ma czasu, by powspominać dłużej. Może później, pomyślała. Wsunęła resztę przedmiotów do dolnej szuflady, wiedząc, że nie ma potrzeby, żeby Amanda je oglądała. Wzięła pudełko, wstała z łóżka i wygładziła spódnice.

Wkrótce zjawi się jej córka.

ROZDZIAŁ 2

Adrienne była w kuchni, gdy trzasnęły drzwi wejściowe. W chwilę później usłyszała kroki Amandy w salonie.

- Mamo!

Adrienne postawiła pudełko na bufecie.

- Jestem tutaj - zawołała.

Gdy Amanda weszła do kuchni, pchnąwszy wahadłowe drzwi, zobaczyła matkę siedzącą przy stole, przed nią stała nieodkorkowana butelka wina.

- Co się stało? - spytała Amanda.

Adrienne uśmiechnęła się, myśląc, jak ładna jest jej córka. Z jasnobrązowymi włosami, piwnymi oczami i wydatnymi kośćmi policzkowymi, zawsze była urocza. Choć o parę centymetrów niższa od matki, miała postawę tancerki i wydawała się wyższa. Była szczupła, trochę zbyt szczupła zdaniem Adrienne, która nauczyła się jednak powstrzymać od komentarzy na ten temat.

- Chciałam z tobą porozmawiać - powiedziała Adrienne.

- O czym?

Adrienne nie odpowiedziała, lecz wskazała jej gestem krzesło.

- Chyba powinnaś usiąść.

Amanda usiadła obok niej przy stole. Z bliska wyglądała mizernie i matka ujęła jej dłoń. Ucisnęła ją bez słowa, po czym puściła niechętnie i odwróciła się do okna. Przez długą chwilę w kuchni panowała cisza.

- Mamo! - odezwała się wreszcie Amanda. - Dobrze się czujesz?

Adrienne zamknęła oczy i skinęła twierdząco głową.

- Nic mi nie jest. Zastanawiałam się po prostu, od czego zacząć.

Amanda zeszywniała lekko.

- Znowu chcesz rozmawiać o mnie? Bo jeśli tak...

Adrienne przerwała jej, kręcąc głową.

- Nie. Chcę porozmawiać o sobie - rzekła stanowczo. - Opowiem ci o czymś, co wydarzyło się czternaście lat temu.

Amanda przechyliła głowę i wśród znajomych sprzętów małej kuchni Adrienne zaczęła swoją opowieść.

ROZDZIAŁ 3

Rodanthe, 1988

Niebo było szare, gdy tamtego poranka Paul Flanner wyszedł z biura notarialnego. Zapinając kurtkę, ruszył przez mgłę do wynajętej toyoty camry. Usiadł za kierownicą, myśląc, że życie, które pędził przez ostatnie ćwierć wieku, zakończyło się oficjalnie wraz ze złożeniem przez niego podpisu na umowie sprzedaży.

Był początek stycznia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku. W ubiegłym miesiącu sprzedał swoje oba samochody, gabinet lekarski i teraz, podczas ostatniego spotkania z doradcą prawnym, swój dom.

Nie wiedział, jak będzie się czuł po sprzedaży domu, jednakże przekręcając kluczyk w stacyjce, uświadomił sobie, że nie czuje właściwie nic poza niejasną świadomością przypieczętowania pewnych spraw. Wcześniej tego samego ranka po raz ostatni obszedł cały dom, pokój po pokoju, w nadziei, że przywoła na pamięć sceny ze swego życia. Pomyślał, że wyobrazą sobie świąteczną choinkę i przypomni, jaki podniecony był jego syn, gdy schodził cichutko w piżamie po schodach, żeby zobaczyć, co za prezenty przyniósł mu Święty Mikołaj. Próbował odtworzyć kuchenne zapachy podczas Święta Dziękczynienia lub deszczowych niedzielnych popołudni, gdy Martha gotowała gulasz, rozgwar głosów dobiegających z salonu, gdy wraz z żoną przyjmowali wielokrotnie gości.

Gdy tak przechodził z pokoju do pokoju, zatrzymując się na chwilę tu i tam, by zamknąć oczy, nie ożywały jednak żadne wspomnienia. Zdał sobie sprawę, że dom nie jest niczym więcej jak pustą skorupą, i jeszcze raz zastanowił się, dlaczego mieszkał w nim aż tak długo.

Paul wyjechał z parkingu i skierował się na drogę międzystanową, żeby uniknąć dużego ruchu dojeżdżających do pracy z przedmieścia. Dwadzieścia minut później skręcił w drogę numer siedemdziesiąt, dwupasmówkę biegnącą na południowy wschód, w kierunku wybrzeża Karoliny Północnej. Na tylnym siedzeniu leżały dwa duże worki podróżne. Bilety lotnicze i paszport znajdowały się w niedużej skórzanej torebce na przednim siedzeniu obok niego. W bagażniku wiózł dobrze wyposażoną apteczkę oraz różne rzeczy, o których dostarczenie go poproszono.

Nad nim rozpiął się szarobiały parasol nieba; zima zadomowiła się już na dobre. Rano padał przez godzinę deszcz, a ponieważ wiał wiatr północny, wrażenie chłodu było dotkliwsze.

Na autostradzie panował niezbyt duży ruch, nie było też ślisko, toteż Paul ustawił przełącznik stałej prędkości o kilka kilometrów powyżej dozwolonej, wracając myślą do tego, co robił dzisiejszego poranka.

Britt Blackerby, jego doradca prawny, próbował wyperswadować mu to po raz ostatni. Przyjaźnili się od lat. Pół roku temu, gdy Paul po raz pierwszy wspomniał o swoich zamiarach, Britt pomyślał, że Paul stroi sobie żarty, i wybuchnął głośnym śmiechem.

- Prędzej mi kaktus na dłoni wyrośnie - powiedział.

Gdy jednak spojrział przez stół na twarz przyjaciela, zdał sobie sprawę, że Paul mówi całkiem serio.

Rzecz jasna, Paul był przygotowany na to spotkanie. Było to jedno z jego niewzruszonych przyzwyczajień. Popchnął po stole w kierunku Britta trzy starannie zadrukowane kartki, przedstawiające pokrótce proponowane przez niego ceny, które uważał za uczciwe, oraz przemyślane uwagi na temat proponowanych umów. Britt wpatrywał się w nie przez długą chwilę, zanim podniósł wzrok.

- Czy to z powodu Marthy? - spytał.

- Nie - odpowiedział Paul. - Po prostu musiałem to zrobić.

Paul włączył ogrzewanie w samochodzie i przysunął rękę do kratki nawiewu, żeby ciepłe powietrze dmuchało mu na palce. Zerknął we wsteczne lusterko, żegnając wzrokiem drapacze chmur Raleigh i zastanawiając się, kiedy znowu je zobaczy.

Sprzedał dom młodemu, czynnemu zawodowo małżeństwu - mąż pełnił kierowniczą funkcję w GlaxoSmithKline, a żona była psychologiem - które przyszło obejrzyć go pierwszego dnia, gdy został wystawiony na sprzedaż. Nazajutrz wrócili i złożyli ofertę podczas tej właśnie wizyty. Byli pierwszym i jedynym małżeństwem, które obejrzało dom.

Paul nie był zaskoczony. Towarzyszył im, gdy po raz drugi oglądali mieszkanie, przez ponad godzinę rozważając jego zalety i wady. Mimo że starali się ukryć uczucia, Paul wiedział od samego początku, od chwili gdy tylko ich zobaczył, że zdecydują się na kupno. Zademonstrował im działanie systemu alarmowego i pokazał, jak otwierać bramę oddzielającą jego posiadłość od reszty sąsiedztwa. Dał im wizytówkę projektanta ogrodów, z którego usług korzystał, jak również firmy zajmującej się utrzymaniem basenów - miał z nią podpisaną umowę. Wyjaśnił, że marmur na posadzki w holu został sprowadzony z Włoch, a witraże wykonał rzemieślnik z Genewy. Kuchnia została urządzona na nowo dwa lata temu. Lodówkę z

zamrażarką oraz zestaw kuchenny Viking można uważać za supernowoczesne. Nie, gotowanie dla dwudziestu osób, a nawet ponad dwudziestu, nie będzie problemem. Poprowadził ich przez główny ciąg pokoi, łazienkę, resztę sypialni, zauważając, jak ich wzrok zatrzymuje się na wykonanych ręcznie sztukateriach i malowanych wałkiem ścianach. Na dole pokazał im meble wykonane na zamówienie oraz kryształowy żyrandol i pozwolił przyjrzeć się dokładnie perskiemu dywanowi pod stołem z wiśniowego drewna w eleganckiej jadalni. W bibliotece patrzył, jak mąż przesuwa palcami po klonowej boazerii, a potem przygląda się lampie od Tiffany'ego na skraju biurka.

- I cena - spytał mąż - obejmuje całe umeblowanie?

Paul skinął twierdząco głową. Wychodząc z biblioteki, słyszał ich ściszone, podniecone szepty, gdy szli za nim. Kiedy po mniej więcej godzinie stali w drzwiach, szykując się do odejścia, zadali pytanie, którego Paul spodziewał się od samego początku.

- Dlaczego zdecydował się pan sprzedać dom?

Paul pamiętał, że popatrzył na mężczyznę, wiedząc, że jego pytanie ma głębszy podtekst niż zwykła ciekawość. Wokół decyzji Paula powstała aura skandalu, zdawał sobie sprawę, że cena, którą podał, jest o wiele za niska, nawet gdyby sprzedawał posiadłość bez żadnego wyposażenia. Mógłby odpowiedzieć, że niepotrzebny mu aż tak duży dom, ponieważ został sam. Albo że dom jest odpowiedniejszy dla kogoś młodszego, komu nie przeszkadzają schody. Ewentualnie, że ma zamiar kupić lub wybudować nowy dom i pragnie mieć całkiem inny wystrój. Albo że chce odejść na emeryturę i nie podoła wszystkiemu.

Jednakże żaden z tych powodów nie był prawdziwy. Zamiast więc wdać się w pokręte wyjaśnienia, Paul spojrzał mężczyźnie prosto w oczy.

- A dlaczego chce go pan kupić? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

Jego ton był przyjazny i mężczyzna zwlekał przez chwilę z odpowiedzią, wymieniając z żoną spojrzenia. Była drobną ładną brunetką, mniej więcej w tym samym wieku co on, mogła mieć około trzydziestu pięciu lat. Mąż, również przystojny, wyprostowany jakby kij połknął, najwyraźniej był dobrze zapowiadającym się biznesmenem, któremu nigdy nie brakuje pewności siebie. W pierwszym momencie nie zrozumieli chyba, o co mu chodzi.

- To rodzaj domu, o jakim zawsze marzyliśmy - wyjaśniła w końcu młoda kobieta.

Paul pokiwał głową. Tak, pomyślał, pamiętam doskonale, że właśnie tak to odczuwałem. W każdym razie jeszcze pół roku temu.

- Wobec tego mam nadzieję, że będziecie państwo w nim szczęśliwi - powiedział.

W chwilę później małżeństwo ruszyło do samochodu i Paul odprowadził ich wzrokiem. Pomachał im, wchodząc do środka, ale gdy już zamknął drzwi, poczuł, że ma ściśnięte gardło. Zdał sobie sprawę, że patrząc na mężczyznę, miał wrażenie, że widzi swoje odbicie w lustrze wiele lat temu. I z powodu, którego absolutnie nie potrafił zrozumieć, Paul uświadomił sobie, że ma łzy w oczach.

* * *

Droga biegła przez Smithfield, Goldsboro i Kinston, małe miasteczka, oddzielone kilometrami plantacji bawełny i tytoniu. Paul dorastał w tej części świata, na małej farmie w pobliżu Williamston, toteż krajobraz był mu znajomy. Mijał grożące runięciem szopy z liśćmi tytoniu i domostwa. Widział pęki jemioly na wysokich nagich gałęziach dębów rosnących tuż przy drodze. Sosny wejmutki, o długich cienkich igłach, odgradzały jedną posiadłość od drugiej.

Zatrzymał się na lunch w New Bern, zabytkowym miasteczku usytuowanym u zbiegu rzek Neuse i Trent. W delikatesach, w historycznej dzielnicy, kupił kanapkę i filiżankę kawy, i nie zważając na dotkliwy chłód, usiadł na ławce w pobliżu Sheratonu, z widokiem na przystań. Jachty i żagłówki, przycumowane do nabrzeża, kołysały się lekko na falach.

Przy każdym oddechu z ust Paula wydobywały się małe obłoczki. Skończywszy kanapkę, zdjął pokrywkę z kubeczka z kawą. Przyglądając się smużce pary unoszącej się do góry, zastanawiał się nad obrotem spraw, które przywiodły go do tego punktu.

To była długa podróż, pomyślał. Jego matka zmarła przy porodzie. Los jedynego syna farmera, zarabiającego na życie pracą rąk, nie był łatwy. Zamiast grać w baseball z kolegami albo pójść na ryby, spędzał czas na oczyszczaniu ziemi z chwastów i zbieraniu ryjkowców z liści tytoniu przez dwanaście godzin na dobę, w promieniach dokuczliwego południowego słońca, które stale barwiło jego plecy na złocistobrazowy kolor. Jak wszystkie dzieci, czasami narzekał, ale na ogół godził się bez słowa z koniecznością pracy. Rozumiał, że tata, który jest dobrym człowiekiem, potrzebuje jego pomocy. Tata, cierpliwy i tolerancyjny, nieodrodny syn swojego ojca, odzywał się rzadko, chyba że miał ważny powód. Najczęściej w ich małym domku panowała cisza, jaką zwykle ludzie odnajdują w kościele, przerywana jedynie niezobowiązującymi pytaniami, co słyszą w szkole czy na polach, a podczas kolacji stukiem sztućców o talerze. Po kolacji ojciec zmywał naczynia i zaszywał się w swoim pokoju, żeby

przejrzeć wiadomości rolnicze, tymczasem Paul pograżał się w czytaniu książek. Nie mieli telewizora, radio włączali rzadko, na ogół tylko wtedy, gdy chcieli wysłuchać prognozy pogody.

Byli biedni i choć Paulowi nigdy nie brakowało jedzenia i miał ciepły pokój do spania, często bywał zakłopotany z powodu ubrań, które nosił, oraz faktu, że nigdy nie miał dość pieniędzy, żeby kupić sobie w drugstorze ciastko czy butelkę coca-coli, tak jak jego koledzy. Od czasu do czasu słyszał złośliwe uwagi z tego powodu, zamiast jednak się odgryzać, Paul poświęcił się nauce, jak gdyby starał się udowodnić, że to nie ma znaczenia. Co roku przynosił do domu doskonale stopnie i mimo że ojciec był dumny z jego osiągnięć, ilekroć oglądał świadectwa szkolne, wyczuwało się w nim jakąś melancholię, jak gdyby wiedział, że wróżą one, iż syn opuści pewnego dnia farmę i nigdy na nią nie powróci.

Nawyki pracy, nabyte na polu, przeniosły się również na inne dziedziny życia Paula. Nie tylko jako najlepszy uczeń w klasie wygłaszał mowę pożegnalną, lecz został również świetnym sportowcem. Kiedy na pierwszym roku odwołano go z drużyny futbolowej, trener zaproponował mu, żeby spróbował sił w biegach przełajowych. Gdy Paul uświadomił sobie, że zazwyczaj w wyścigach wygrana lub przegrana zależą nie od genetyki, lecz od włożonego wysiłku, zaczął wstawać o piątej rano, tak że mógł odbyć dwa treningi w ciągu dnia. I powiodło mu się. Podczas studiów na Duke University otrzymywał pełne stypendium sportowe i był czołowym biegaczem uczelni przez cztery lata, mimo że uzyskał najlepsze wyniki w nauce. Podczas czterech lat nauki tylko raz jego czujność osłabła, skutkiem czego omal nie stracił życia, nie pozwolił jednak, żeby taka sytuacja kiedykolwiek się powtórzyła. Specjalizował się w dwóch przedmiotach - chemii oraz biologii - i ukończył studia *summa cum laude*. W tym samym roku zajął trzecie miejsce w ogólnoamerykańskich zawodach w biegach przełajowych.

Po zawodach oddał medal ojcu i oświadczył, że zrobił to wszystko dla niego.

- Nie - odpowiedział ojciec. - Pobiegłeś dla siebie. Mam tylko nadzieję, że biegniesz do czegoś, a nie uciekasz przed czymś.

Tamtej nocy Paul leżał w łóżku, wpatrując się w sufit i próbując zrozumieć, o co ojcu chodziło. W myślach biegł do czegoś, do wszystkiego. Do lepszego życia. Do finansowej stabilizacji. Do tego, by pomóc ojcu. Do szacunku. Do uwolnienia się od trosk. Do szczęścia.

Gdy będąc na ostatnim roku, dowiedział się, że został przyjęty na studia medyczne w Vanderbilt, udał się do ojca, żeby przekazać mu dobrą nowinę. Ojciec zapewnił go, że bardzo się cieszy z jego osiągnięć. Ale później, tej samej nocy, gdy ojciec dawno już powinien był spać,

Paul wyjrzał przez okno i zobaczył samotną postać, wspartą o słup ogrodzenia i zapatrzoną na pola.

Trzy tygodnie później ojciec zmarł na atak serca, uprawiając rolę podczas przygotowań do wiosny.

Paul był straszliwie przybity z powodu tej straty, zamiast jednak pogрузić się w rozpacz, uciekł przed wspomnieniami w jeszcze bardziej intensywną pracę. Zapisał się wcześniej do Vanderbilt, uczęszczał do letniej szkoły i wybrał sobie trzy przedmioty, żeby przerobić jak najwięcej materiału, a następnie jesienią uzupełnił jeszcze ten przeładowany program dodatkowymi zajęciami. Potem pamiętał swoje życie jak przez mgłę. Chodził na zajęcia, na ćwiczenia w laboratorium i uczył się całymi nocami aż do rana. Pokonywał biegiem dystans ośmiu kilometrów dziennie i zawsze mierzył czas, starając się poprawić wynik z każdym mijającym rokiem. Trzymał się z dala od nocnych klubów i barów. Nie interesowało go, co się dzieje w studenckich zespołach sportowych. Pod wpływem kaprysu kupił telewizor, nigdy jednak nie wyjął aparatu z pudła i sprzedał go rok później. Był nieśmiały wobec dziewcząt, ale pewnego razu któryś z kolegów poznał go z Martha, łagodną blondynką z Georgii, która pracowała w bibliotece akademii medycznej, i gdy sam nie poprosił ją o spotkanie, dziewczyna przejęła inicjatywę. Mimo że Martha martwiła się szalonym tempem, które sobie narzucił, przyjęła jego oświadczenia i w dziesięć miesięcy później stanęli na ślubnym kobiercu. Nie mieli czasu na miesiąc miodowy, ponieważ zbliżały się egzaminy końcowe, ale Paul obiecał świeżo poślubionej małżonce, że wyjadą do jakiejś ładnej miejscowości, gdy skończą się zajęcia. Nigdy tej obietnicy nie dotrzymał. Ich syn Mark urodził się rok później i w ciągu dwóch pierwszych lat życia syna Paul ani razu nie zmienił mu pieluszek i nie ukołysał go do snu.

Chętniej pracował przy kuchennym stole, studiując wykresy fizjologii człowieka lub ucząc się wzorów chemicznych, lub robiąc notatki; zdawał z łatwością jeden egzamin za drugim. Ukończył studia w trzy lata z najlepszym wynikiem i przeniósł się z rodziną do Baltimore, gdzie został chirurgiem-rezydentem w Johns Hopkins. Wiedział już wtedy, że chirurgia jest jego powołaniem. Istnieje wiele specjalności, które wymagają od lekarza ciągłego dodawania otuchy i sprzężenia zwrotnego z pacjentem. Paul nie był w tym szczególnie dobry. Chirurgia to co innego. Pacjentom bardziej zależy na umiejętnościach lekarza niż na jego komunikatywności, a Paul nie tylko potrafił ulżyć im przed operacją, lecz i wprawnie wykonać konieczny zabieg. Najwyraźniej służyło mu to środowisko. Dziwna rzecz, mimo że w ciągu ostatnich dwóch lat rezydentury w

Johns Hopkins Paul pracował dziewięćdziesiąt godzin tygodniowo, a spał tylko cztery godziny na dobę, nie wydawał się ani trochę zmęczony.

Następnie odbył stypendium w dziedzinie chirurgii twarzowo-czaszkowej i przeniósł się z rodziną do Raleigh, gdzie rozpoczął praktykę lekarską z innym chirurgiem, gdy nastąpił wyż demograficzny. Jako jedyni specjaliści w tej dziedzinie w mieście mieli ręce pełne roboty. Mając trzydzieści cztery lata, spłacił wszystkie długi zaciągnięte w akademii medycznej. W wieku trzydziestu sześciu lat był związany ze wszystkimi większymi szpitalami w okolicy i gros operacji wykonywał w centrum medycznym Uniwersytetu Karoliny Północnej. Tam też brał udział wspólnie z lekarzami z kliniki Mayo w badaniach klinicznych nad włókniakonerwiakami. W rok później opublikowano jego artykuł na temat rozszczepu podniebienia w „New England Journal of Medicine”. Po czterech miesiącach ukazał się kolejny artykuł o naczyniakach, który pomógł wyznaczyć na nowo postępowanie chirurgiczne w operacjach cierpiących na nie niemowląt. Zyskiwał coraz większą renomę i po zoperowaniu córki senatora Nortona, która została oszpecona wskutek wypadku samochodowego, znalazł się na pierwszej stronie „The Wall Street Journal”.

Był jednym z pierwszych lekarzy w Karolinie Północnej, którzy poza zabiegami odtwórczymi włączyli do praktyki chirurgię plastyczną, i popłynął na wznoszącej fali. Jego praktyka kwitła, dochody rosły w błyskawicznym tempie, zaczął gromadzić doczesne dobra. Kupił BMW, potem mercedesa, porsche, kolejnego mercedesa. Wybudowali z Marthą dom swoich marzeń. Zakupił akcje, obligacje oraz udziały w kilkunastu różnych spółkach lokacyjnych. Gdy zorientował się, że nie poradzi sobie z rynkowymi kruczkami, zatrudnił doradcę finansowego. Dzięki temu jego stan posiadania podwajał się co cztery lata, a następnie, gdy miał już więcej, niż potrzebowałby na całą resztę życia, kapitał zaczął wzrastać trzykrotnie.

Ciągle pracował. Miał zaplanowane zabiegi chirurgiczne nie tylko w dni powszednie, lecz również w soboty. Niedzielne popołudnia spędzał w gabinecie. Kiedy ukończył czterdzieści pięć lat, jego wspólnik nie wytrzymał tempa, które Paul narzucił, i opuścił go, przyłączając się do innej grupy lekarzy.

Przez kilka lat po urodzeniu Marka Martha często wspominała, że chciałaby mieć drugie dziecko. Po pewnym czasie przestała drażnić ten temat. Zmuszała Paula do brania urlopu, on jednak poddawał się tak niechętnie, że w końcu zaczęła odwiedzać rodziców z samym Markiem,

zostawiając męża w domu. Paul znajdował czas, żeby uczestniczyć w ważniejszych wydarzeniach w życiu syna, raz czy dwa razy do roku, ale na tym się kończyła jego rola ojca.

Wmawiał w siebie, że pracuje dla rodziny. Albo dla Marthy, która borykała się razem z nim z trudnościami w pierwszych latach małżeństwa. Albo przez pamięć ojca. Albo dla przyszłości Marka. Jednakże w głębi duszy miał świadomość, że robi to dla siebie.

Gdyby miał przyznać w tej chwili, czego żałuje najbardziej z tamtych lat, powiedziałby, że przeżyć związanych z dorastaniem syna. Choć jednak nie uczestniczył w życiu Marka, syn zaskoczył go wyborem zawodu lekarza. Gdy Mark został przyjęty do akademii medycznej, Paul dzielił się ze wszystkimi tą nowiną na szpitalnych korytarzach, uradowany myślą, że syn będzie uprawiał ten sam zawód. Teraz, obiecywał sobie, będą spędzali razem więcej czasu. Pamiętał, że zaprosił Marka na lunch w nadziei namówienia go, żeby wybrał jako specjalizację chirurgię. Mark po prostu pokręcił przecząco głową.

- To jest twoje życie - powiedział. - A mnie takie życie w ogóle nie interesuje. Szczerze mówiąc, jest mi cię żal.

Paula zabolowały te słowa. Pokłócili się wtedy. Mark wytoczył ostre oskarżenia, Paul się wściekł i w końcu syn wybiegł jak burza z restauracji. Paul nie odzywał się do niego przez kolejne dwa tygodnie, a Mark nie próbował naprawić stosunków między nimi. Z tygodni zrobiły się miesiące, potem lata. Chociaż Marka łączyły serdeczne więzy z matką, omijał dom, gdy wiedział, że może się w nim natknąć na ojca.

Paul radził sobie z antagonizmem między nimi w jedyny sposób, jaki znał. Pracy miał tyle samo, to znaczy zawsze dużo. Przebiegał dziennie swoją zwykłą normę ośmiu kilometrów, rankami czytał uważnie w gazecie strony dotyczące finansów. Dostrzegał jednak smutek w spojrzeniu Marthy i bywały chwile, zwłaszcza późno w nocy, kiedy zastanawiał się, jak zlikwidować rozdzźwięk między nim a Markiem. W głębi duszy miał czasami ochotę chwycić za słuchawkę i zadzwonić do syna, nie potrafił się jednak na to zdobyć. Wiedział od Marthy, że Mark został lekarzem rodzinnym i po kilku miesiącach dodatkowego szkolenia, rozwijającego potrzebne umiejętności, wyjechał z kraju, by pracować jako ochotnik w międzynarodowej organizacji świadczącej pomoc. Aczkolwiek Paul uznał postępek syna za szlachetny, nie mógł oprzeć się myśli, że Mark zrobił to, żeby znaleźć się jak najdalej od własnego ojca.

Dwa tygodnie po wyjeździe syna Martha wniosła pozew o rozwód.

O ile słowa Marka okropnie go kiedyś rozgniewały, o tyle nowina Marthy wprawiła go w kompletne osłupienie, spróbował odwieść ją od tego zamiaru, lecz Martha przerwała mu łagodnie.

- Naprawdę będzie ci mnie brakowało? - spytała. - Przecież właściwie się już nie znamy.

- Mogę się zmienić - powiedział.

Martha tylko się uśmiechnęła.

- Wiem, że możesz. I powinieneś. Ale dlatego, że sam tego chcesz, a nie dlatego, że uważasz, iż ja chcę cię zmusić.

Następne dwa tygodnie Paul przeżył w oszołomieniu, a miesiąc później, po wykonanej przez niego rutynowej operacji, sześćdziesięciodwuletnia Jill Torrelson z Rodanthe w Karolinie Północnej zmarła na sali pooperacyjnej.

Paul wiedział, że ten straszny wypadek, który nastąpił tuż po innych zmianach w jego życiu, przywiódł go na drogę, którą jechał w tej chwili.

* * *

Wypił kawę, wsiadł z powrotem do samochodu i wjechał na autostradę. Po czterdziestu pięciu minutach dotarł do Morehead City. Przejechał przez most do Beaufort, po czym skręcił na wschód, zmierzając do Cedar Point.

Przybrzeżne niziny cechowało spokojne piękno i Paul zwolnił, napawając się nim. Zdawał sobie sprawę, że życie tutaj jest zupełnie inne. Jadący z przeciwka ludzie machali do niego, na ławce obok stacji benzynowej siedziała grupka starszych mężczyzn, którzy wyraźnie nie mieli nic lepszego do roboty od obserwowania przejeżdżających samochodów.

Późnym popołudniem przeprowił się promem do Ocracoke, małej miejscowości na południowym krańcu Outer Banks. Na promie znajdowały się poza nim jeszcze tylko cztery samochody i w ciągu dwugodzinnej podróży gawędził z kilkoma współpasażerami. Spędził noc w motelu w Ocracoke, wstał, gdy nad wodą rozbłysła biała świetlista kula, zjadł wczesne śniadanie, a następnie wybrał się na kilkugodzinną przechadzkę po wiejskiej okolicy, przyglądając się, jak ludzie przygotowują domy na uderzenie spodziewanego sztormu.

Gdy w końcu był gotów do dalszej drogi, wrzucił torbę podróżną do bagażnika i ruszył na północ, do miejscowości, która stanowiła cel jego podróży.

Pomyślał, że wyspy Outer Banks są dziwne i zarazem tajemnicze. Z kępami turzycy porastającej ruchome wydmy i nadmorskimi dębami kołyszącymi się pod naporem bryzy, która

wiała stale od oceanu, było to miejsce, jakiego próżno by szukać gdzie indziej. Wyspy były niegdyś połączone z lądem stałym, ale po epoce lodowcowej morze zalało tereny bezpośrednio na zachód, tworząc cieśninę Pamlico. Do lat pięćdziesiątych na tym ciągu wysp nie było szosy i ludzie musieli jechać wzdłuż plaży, żeby dostać się do domów za diunami. Nawet teraz należało to do tutejszych zwyczajów i Paul, jadąc szosą, widział ślady opon przy linii wody.

Gdzeniegdzie niebo się przetarło i mimo że chmury pędziły gniewnie w kierunku horyzontu, od czasu do czasu przedzierało się przez nie słońce, sprawiając, że świat dookoła stawał się nagle rażąco biały. Poprzez warkot silnika Paul słyszał dziki ryk oceanu.

O tej porze roku Outer Banks były właściwie całkiem wyludnione i Paul miał długi pas szosy wyłącznie dla siebie. W samotności wrócił myślami do Marthy.

Sprawa rozwodowa zakończyła się ostatecznie dopiero kilka miesięcy temu, ale przebiegała w przyjaznej atmosferze. Wiedział, że Martha spotyka się z jakimś mężczyzną, i podejrzewał, że widywała się z nim już nawet przed separacją, nie miało to jednak znaczenia. W chwili obecnej nic nie wydawało się ważne.

Gdy odeszła, Paul ograniczył nieco swój rozkład zajęć, uważając, że potrzebuje trochę czasu na uporządkowanie własnych spraw. Ale kilka miesięcy później zamiast wrócić do zwykłego toku pracy, ograniczył go jeszcze bardziej. W dalszym ciągu biegał regularnie, stwierdził jednak, że nie interesuje go już poranna lektura stron finansowych. Odkąd tylko sięgał pamięcią, potrzebował zaledwie sześciu godzin snu. Jednakże, dziwna rzecz, im bardziej zmniejszał tempo dawnego życia, tym więcej potrzebował czasu, by poczuć się wypoczętym.

Zauważył również inne zmiany, fizyczne. Po raz pierwszy od wielu lat Paul poczuł, że zdolność napinania mięśni ramion znacznie mu się zmniejszyła. Bruzdy na twarzy, które pogłębiły się z biegiem lat, wciąż były widoczne, ale napięcie, które dostrzegał, przyglądając się swemu odbiciu w lustrze, zastąpiła pewna melancholia. I choć zapewne była to kwestia wyobraźni, odnosił wrażenie, że jego siwiejące włosy przestały ostatnio rzednąć.

Myślał kiedyś, że ma wszystko. Biegł i biegł, aż w końcu dotarł na szczyt sukcesu. Teraz jednak zdał sobie sprawę, że nie posłuchał rady ojca. Przez całe życie uciekał od czegoś, zamiast biec ku czemuś, i w głębi serca wiedział, że cały jego wysiłek poszedł na marne.

Miał pięćdziesiąt cztery lata i był na świecie sam jak palec. Wpatrując się w pustą wstęgę asfaltu, rozpościerającą się przed jego oczami, nie mógł pozbyć się natrętnej myśli, dlaczego, u diabła, biegł tak ostro.

* * *

Wiedząc, że zbliża się kres jego podróży, Paul rozpoczął jej ostatni etap. Miał się zatrzymać w małym pensjonacie niedaleko od szosy i gdy dojechał do peryferii Rodanthe, postanowił rozejrzeć się po okolicy. W centrum miasteczka, jeśli można je w ten sposób nazwać, mieściły się różne firmy, które oferowały prawie wszystko. W powszechnym domu towarowym można było kupić zarówno towary żelazne oraz sprzęt wędkarski, jak i artykuły spożywcze. Stacja benzynowa sprzedawała opony i części samochodowe, a także prowadziła usługi naprawcze.

Nie miał powodu, żeby pytać o wskazówki i po chwili skręcił z szosy w krótki zwirowany podjazd, myśląc, że Gospoda w Rodanthe jest bardziej urocza, niż sobie wyobrażał. Był to stary biały budynek w wiktoriańskim stylu, z czarnymi żaluzjami i przyjemną werandą. Na balustradzie stały doniczki z bratkami w pełnym rozkwicie, na wietrze trzepotała amerykańska flaga.

Zabrał swoje rzeczy, przewiesił worki podróżne przez ramię, po czym wszedł po schodkach do środka. Sosnowa podłoga była porysowana przez setki zapiaszczonych stóp w ciągu wielu lat i nie taka elegancka jak w jego dawnym domu. Po lewej znajdował się przytulny salon, do którego wpadało światło przez dwa duże okna po obu stronach kominka. Czuł zapach świeżo zaparzonej kawy i zauważył nieduży półmisek z ciasteczkami, przygotowany na jego przyjazd. Założył, że w prawej części domu znajdzie właściciela, i ruszył w tamtą stronę.

Rzeczywiście, stało tam małe biurczko, przy którym powinien się zameldować, ale nikt przy nim nie siedział. W rogu, za biurkiem, wisiały na tablicy klucze do pokojów, na brelokach w kształcie mikroskopijnych latorń morskich. Podeszedł do biurka i pociągnął za taśmę dzwonka, wzywając obsługę.

Odczekał chwilę, po czym znowu zadzwonił. Tym razem usłyszał coś, co brzmiało jak stłumiony płacz, który dochodził gdzieś z tyłu domu. Zostawił swoje rzeczy, obszedł biurko i pchnął wahadłowe drzwi prowadzące do kuchni. Na bufecie leżały trzy nierozpakowane torby z artykułami spożywczymi.

Zewnętrzne drzwi kuchni były otwarte, jak gdyby zapraszały go, żeby wyszedł na dwór. Deski werandy skrzypnęły pod jego ciężarem. Po lewej stronie stały dwa bujane fotele i mały stolik, po prawej dostrzegł źródło dźwięku.

Stała w rogu werandy, zwrócona twarzą w stronę oceanu. Podobnie jak on, była ubrana w spłowiałe džinsy, ale nie miała kurtki, tylko gruby golf. Kilka kosmyków ciemnoblonde włosów, spiętych z tyłu głowy szpilkami, tańczyło na wietrze. Odwróciła się, zaskoczona odgłosem jego kroków. Za nią krążyło w powietrzu kilkanaście mew, na balustradzie stała filiżanka z kawą.

Paul odwrócił wzrok, ale po sekundzie jego spojrzenie znowu powędrowało ku niej, jak gdyby przyciągane niewidzialnym magnesem. Zauważył, że nawet zapłakana jest ładna, lecz coś w smutnym sposobie, w jaki przeniosła ciężar ciała z nogi na nogę, powiedziało mu, że nie zdaje sobie z tego sprawy. I później, wracając pamięcią do tej chwili, zawsze dochodził do wniosku, że to uczyniło ją jeszcze bardziej pociągającą.

ROZDZIAŁ 4

Amanda przyglądała się matce nad stołem.

Adrienne zamilkła, wyglądając znowu przez okno. Deszcz przestał padać, niebo za szybą było pełne cieni. W ciszy Amanda słyszała monotony szum lodówki.

- Po co mi o tym opowiadasz, mamó?

- Ponieważ sądzę, że powinnaś wiedzieć.

- Ale dlaczego? To znaczy, kim on był?

Zamiast odpowiedzieć córce, Adrienne sięgnęła po butelkę wina i otworzyła ją niespiesznymi ruchami. Napelniła najpierw swój kieliszek, potem nalala wina Amandzie.

- Może ci się przydać - powiedziała.

- Mamó?

Adrienne przesunęła kieliszek w jej stronę po blacie stołu.

- Pamiętasz, jak pojechałam do Rodanthe? Wtedy gdy Jean spytał mnie, czy mogłabym zająć się na jakiś czas Gospodą?

Amanda zastanawiała się przez chwilę, po czym nagle w jej głowie otworzyła się odpowiednia klapka.

- Dość dawno temu, kiedy jeszcze byłam w liceum?

- Tak.

Gdy Adrienne zaczęła swoją opowieść, Amanda mimowolnie wzięła do ręki kieliszek, zastanawiając się, o co w tym wszystkim chodzi.

ROZDZIAŁ 5

Stojąc oparta o balustradę na kuchennej werandzie Gospody w ponure czwartkowe popołudnie, Adrienne tuliła w dłoniach filiżankę z gorącą, parującą kawą i wpatrywała się w ocean. Był bardziej wzburzony niż godzinę temu. Woda nabrała stalowoszarego koloru niczym kadłuby starych pancerników, drobne grzywacze były widoczne aż po horyzont.

W głębi duszy wolałaby, żeby nie przyjechał. Pilnowała Gospody na prośbę przyjaciółki i miała nadzieję, że dzięki temu znajdzie chwilę wytchnienia, teraz jednak wyglądało na to, że popełniła błąd. Po pierwsze, pogoda nie skłaniała do optymizmu - przez cały dzień radio ostrzegało przed potężnym sztormem, zbliżającym się z kierunku północno-wschodniego - a ona nie miała ochoty zostać bez prądu albo być zmuszona do niewytykania nosa na dwór przez parę dni. Przede wszystkim jednak, pomijając zasepione niebo, widok plaży przywoływał wspomnienia zbyt wielu rodzinnych wakacji, błogich dni, kiedy była zadowolona ze świata.

Przez długi czas uważała siebie za osobę szczęśliwą. Poznała Jacka, gdy był studentem pierwszego roku prawa. Uważano ich wtedy za idealną parę - Jack był wysoki i szczupły, miał czarne kędzierzawe włosy, ona zaś była błękitnooką brunetką i nosiła ubrania o kilka rozmiarów mniejsze niż obecnie. Ich ślubna fotografia wisiała dumnie wyeksponowana na ścianie tuż nad kominkiem w salonie. Pierwsze dziecko urodziło im się, gdy miała dwadzieścia osiem lat, dwoje następnych w ciągu trzech lat. Podobnie jak wiele innych kobiet, Adrienne miała kłopoty ze zgubieniem kilogramów, których przybyło jej podczas ciąży, ale pracowała nad tym i choć nigdy nie wróciła do dawnej wagi, uważała, że w porównaniu z innymi matkami w jej wieku wygląda całkiem nieźle.

I była szczęśliwa. Uwielbiała gotować, utrzymywała w domu idealny porządek, chodzili całą rodziną do kościoła, starała się też, jak mogła, prowadzić aktywne życie towarzyskie ze względu na siebie i na Jacka. Gdy dzieci zaczęły chodzić do szkoły, pomagała im chętnie w lekcjach, uczestniczyła w zebraniach komitetu rodzicielskiego, udzielała się w szkółce niedzielnej i pierwsza zgłaszała się na ochotnika jako opiekunka w czasie wycieczek edukacyjnych. Siedziała godzinami na recitalach fortepianowych, szkolnych przedstawieniach, meczach baseballowych i futbolowych, uczyła wszystkie swoje dzieci pływać, śmiała się do rozpuku, widząc ich miny, gdy po raz pierwszy przekroczyły bramę Disneylandu. Na jej czterdzieste urodziny Jack zorganizował dla niej niespodziankę w ekskluzywnym podmiejskim

klubie, przyjęcie, na które zaprosił blisko dwieście osób. Panował doskonały nastrój, było mnóstwo śmiechu, ale później, kiedy dotarli do domu, zauważyła, że Jack nie patrzył na nią, gdy rozbierała się przed pójściem do łóżka. Wręcz przeciwnie, zgasił światło i, chociaż Adrienne wiedziała, że nigdy nie zasypia tak szybko, udawał, że śpi.

Oglądając się za siebie, wiedziała, że powinno to dać jej do myślenia, że nie wszystko jest takie, jak jej się wydaje, ale przy trójce dzieci, których wychowanie mąż pozostawił wyłącznie jej, nie miała czasu na zastanawianie się nad tym. Nie oczekiwała też, że namiętność, która ich łączyła, nie będzie miała nigdy upadków, lecz tylko same wzloty. Była wystarczająco długo mężatką, żeby zdawać sobie z tego sprawę. Założyła, że powróci, jak to zwykle bywało, i nie przejmowała się specjalnie. Niestety tak się nie stało. W wieku czterdziestu jeden lat zaczęła martwić się o ich wzajemne stosunki i zaczęła przeglądać poradniki w księgarni, szukając tytułów, które mogłyby pomóc jej w uzdrowieniu małżeństwa. Czasami łapała się na tym, że myśli z utęsknieniem o przyszłości, kiedy sprawy się wyciszą. Wyobrażała sobie siebie w roli babci albo wspólne życie z Jackiem, gdy będą mieli dość czasu, żeby znowu cieszyć się nawzajem swoim towarzystwem. Miała nadzieję, że być może wtedy wszystko wróci do dawnego stanu.

Łudziła się tak do chwili, gdy zobaczyła Jacka podczas lunchu z Lindą Gaston. Orientowała się, że ta młoda kobieta pracuje w filii firmy Jacka w Greensboro. Aczkolwiek Linda specjalizowała się w prawie lokalowym, podczas gdy Jack zajmował się sporami sądowymi, Adrienne wiedziała, że ich sprawy niekiedy częściowo się pokrywają, toteż wspólny lunch bynajmniej jej nie dziwił. Uśmiechnęła się nawet do nich przez szybę. Wprawdzie Linda nie przyjaźniła się z nimi blisko, ale bywała w ich domu bardzo częstym gościem i zawsze dobrze się dogadywały, mimo że Linda była o dziesięć lat młodsza i niezamężna. Dopiero gdy weszła do restauracji, zauważyła, jak czule na siebie patrzą. I wiedziała z całą pewnością, że trzymają się pod stołem za ręce.

Przez długą chwilę stała jak wryta, nie mogąc się ruszyć, zamiast jednak spotkać się z nimi twarzą w twarz, odwróciła się na pięcie i wyszła, zanim zdążyli ją zauważyć.

Na przekór sobie przyrzadziła tego wieczoru ulubione danie Jacka i nie wspomniała słowem o tym, co widziała. Udawała, że nic się nie stało i po pewnym czasie zdołała wmówić w siebie, że pomyliła się co do ich wzajemnych stosunków. Może Linda przeżywała trudne chwile i

Jack po prostu ją pocieszał. To do niego podobne. A może, pomyślała, jest to przelotna fantazja, której żadne z nich nie brało pod uwagę, romans w wyobraźni i nic poza tym.

Mylili się jednak. Ich małżeństwo zaczęło staczać się po równi pochyłej i po kilku miesiącach Jack wystąpił o rozwód. Wyznał, że kocha Lindę. Nie chciał tego i ma nadzieję, że Adrienne go zrozumie. Nie rozumiała i powiedziała mu to, mimo wszystko jednak Jack wyprowadził się, gdy skończyła czterdzieści dwa lata.

Przeszło trzy lata później Jack prowadził aktywne życie, lecz w wypadku Adrienne było to niemożliwe. Wprawdzie przyznano im wspólną opiekę nad dziećmi, ale była ona wspólna wyłącznie z nazwy. Jack mieszkał w Greensboro i trzygodzinna podróż samochodem była dostateczną przeszkodą w jego kontaktach z dziećmi, które przebywały głównie z nią. Przeważnie był za to wdzięczny, ale napięcie spowodowane tym, że musi wychowywać je sama, codziennie wystawiało na próbę jej wytrzymałość. Wieczorem kładła się do łóżka straszliwie wyczerpana, nie mogła jednak zasnąć, ponieważ w jej głowie kłębiły się tysiące pytań. I choć nigdy nie powiedziała o tym nikomu, czasami wyobrażała sobie, jak by zareagowała, gdyby Jack stanął w drzwiach i poprosił, żeby przyjęła go z powrotem. W głębi duszy zdawała sobie sprawę, że prawdopodobnie przystałaby na tę prośbę.

Nienawidziła siebie za to, ale cóż mogła poradzić?

Nie chciała takiego życia. Ani nie prosiła o nie, ani się go nie spodziewała. Uważała też, że nie zasłużyła na to, co ją spotkało. Przestrzegała reguł gry. Przez osiemnaście lat była wierna. Patrzyła przez palce, kiedy nadużywał alkoholu, przynosiła mu kawę, gdy musiał pracować do późnej nocy, i nigdy się nie skarżyła, gdy grał w weekendy w golfa, zamiast spędzać czas z dziećmi.

Czy to o seks mu chodziło? Oczywiście Linda była młodsza i ładniejsza, ale czy naprawdę było to dla niego takie ważne, że rzucił z tego powodu wszystko? Czy dzieci nic dla niego nie znaczyły? A ona? Czy nie przeżyli wspólnie osiemnastu lat? Zresztą ona wcale nie straciła zainteresowania sprawami łóżka - w ciągu paru ostatnich lat, ilekroć się kochali, to ona występowała z inicjatywą. Jeśli miał tak silny popęd, to czemu sam nic nie robił w tym kierunku?

A może, zastanawiała się, po prostu mu się znudziła? Z pewnością po tak długim małżeństwie nie mieli sobie wiele nowego do powiedzenia. Przez te wszystkie lata ich opowieści były przetwarzane i podawane w lekko zmienionych wersjach. Oboje doszli do punktu, w którym znali zakończenie już po kilku pierwszych słowach. Robili więc to, co robi większość małżeństw

- ona pytała, jak mu poszło w pracy, on zaś, co słyhać u dzieci, rozmawiali o ostatnich wyglupach tego czy owego członka rodziny albo o tym, co się dzieje w mieście. Czasami Adrienne żałowała, że nie mają ciekawszych tematów do rozmowy, ale czy Jack nie rozumie, że za kilka lat powtórzy się ta sama historia z Lindą?

To niesprawiedliwe. Nawet jej przyjaciele byli tego zdania, toteż Adrienne założyła, że są po jej stronie. I możliwe, że tak rzeczywiście było, okazywali to jednak w dziwny sposób. Miesiąc temu wybrała się na przyjęcie z okazji świąt Bożego Narodzenia do małżeństwa, z którym przyjaźniła się od lat, i kogóż tam spotkała? Jacka i Lindę. Tak wyglądało życie w małym południowym miasteczku - ludzie wybaczą takie rzeczy - lecz Adrienne nie mogła nic poradzić na to, że poczuła się zdradzona.

Nie dość, że miała poczucie krzywdy i zdrady, to w dodatku była samotna. Od czasu wyprowadzki Jacka nie poszła ani razu na randkę. W Rocky Mount trudno było znaleźć nieżonatych mężczyzn po czterdziestce, a ci wolni raczej nie należeli do rodzaju facetów, z którymi miałaby ochotę się spotykać. Większość z nich miała swój bagaż życiowy, a Adrienne nie sądziła, że zdoła udźwignąć więcej, niż już niosła na swoich barkach. Na początku zapowiedziała sobie, że będzie ostrożnie dobierała partnerów, a kiedy doszła do wniosku, że jest gotowa zacząć się znowu umawiać, sprecyzowała w myśli zbiór cech, które powinny charakteryzować mężczyznę poszukiwanego przez nią. Pragnęła kogoś inteligentnego, miłego i atrakcyjnego, ale przede wszystkim takiego, który zaakceptuje fakt, że wychowuje trójkę nastolatków. Spodziewała się, że może to stanowić problem, ponieważ jednak jej dzieci były samowystarczalne, nie sądziła, że może to być przeszkodą zniechęcającą większość mężczyzn.

I nie myliła się.

W ciągu ostatnich trzech lat ani razu nikt się z nią nie umówił i niedawno zaczęła myśleć, że nigdy się to nie stanie. Stary poczciwy Jack może się bawić, stary poczciwy Jack może czytać poranną gazetę w towarzystwie kogoś nowego, ale jej nie jest to pisane.

Poza tym, oczywiście, nękały ją kłopoty finansowe.

Jack zostawił jej dom i płacił wyznaczone przez sąd alimenty, lecz wystarczało tego ledwie na związanie końca z końcem. Mimo że Jack świetnie zarabiał, gdy byli jeszcze małżeństwem, nie zaoszczędzili tyle, ile powinni. Podobnie jak wiele innych małżeństw, przez całe lata wydawali nieustannie wszystko, co zarobili. Nowe samochody, wspaniałe wakacje. Gdy na rynku ukazały się telewizory z dużym ekranem, byli pierwszą rodziną w okolicy, która miała

taki sprzęt w domu. Wierzyła zawsze, że Jack troszczy się o przyszłość, ponieważ to on zajmował się rachunkami. Okazało się, że tak nie było i Adrienne musiała podjąć pracę na pół etatu w miejscowej bibliotece. Nie martwiła się tak bardzo o siebie czy dzieci, lecz bała się o swego ojca.

W rok po jej rozwodzie ojciec miał wylew, a potem jeszcze trzy z rzędu, w krótkich odstępach. Wymagał teraz doglądania przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Dom opieki, który dla niego znalazła, był znakomity, ale jako jedynaczka musiała sama ponosić wszystkie koszty. Z ugody zostało jej jeszcze na opłatę za kolejny rok, nie miała jednak pojęcia, co zrobi potem. Wydawała już resztki pieniędzy zarobionych w bibliotece. Jean, która poprosiła po raz pierwszy Adrienne, żeby dopilnowała Gospody podczas jej nieobecności, podejrzewała, że przyjaciółka boryka się z kłopotami finansowymi, i zostawiła jej znacznie więcej pieniędzy, niż było potrzeba na artykuły spożywcze. Adrienne znalazła list, w którym Jean napisała, że ma zatrzymać resztę jako gratyfikację za wyświadczoną przysługę. Adrienne była jej bardzo wdzięczna, ale zapomoga od przyjaciółki zraniła jej dumę.

Jednakże, jeśli idzie o jej ojca, pieniądze były jedynym zmartwieniem. Czasami miała wrażenie, że tylko on jest zawsze po jej stronie. Potrzebowała ojca, zwłaszcza teraz. Czas, który spędzała z nim, był dla niej czymś w rodzaju ucieczki i przerażała ją myśl, że ich wspólne godziny mogą się skończyć, dlatego że coś zrobiła albo coś zaniedbała.

Co będzie z nim? Co będzie z nią?

Adrienne pokręciła głową, odpędzając dręczące ją pytania. Nie chciała o tym myśleć, szczególnie w tej chwili. Jean obiecała, że będzie spokojnie - w książce była zapisana tylko jedna rezerwacja - i Adrienne miała nadzieję, że pobyt tutaj rozjaśni jej umysł. Chciała spacerować po plaży, przeczytać kilka książek leżących od miesięcy na nocnej szafce przy jej łóżku. Chciała wyciągnąć się i obserwować morświny igrające wśród fal. Miała nadzieję znaleźć tu ukojenie, ale gdy stała na werandzie Gospody w Rodanthe, na której morze odcisnęło swoje niszczycielskie piętno, czekając na zbliżający się sztorm, czuła, że jej świat się wali. Była samotną kobietą w średnim wieku, przepracowaną i o miękkim sercu. Jej dzieci miały się, ojciec był chory, a ona nie miała pojęcia, jak wszystkiemu podoła.

Właśnie wtedy wybuchnęła płaczem, a kilka chwil później, słysząc odgłos kroków na werandzie, odwróciła głowę i po raz pierwszy ujrziała Paula Flannera.

* * *

Paul widywał płaczących ludzi przypuszczalnie tysiące razy, zwykle jednak działo się to w sterylnych warunkach szpitalnej poczekalni, gdy wychodził prosto po operacji jeszcze w ochronnej odzieży chirurga. Owa odzież stanowiła dla niego coś w rodzaju pancerza chroniącego go przed osobistym, emocjonalnym podejściem do pracy. Nigdy nie zdarzyło mu się płakać razem z tymi, z którymi rozmawiał, nie pamiętał też twarzy tych, którzy kiedyś oczekiwali od niego odpowiedzi. Przyznawał się do tego bez dumy, ale takim właśnie był kiedyś człowiekiem.

W tej chwili jednak, gdy patrzył w zaczerwienione od płaczu oczy kobiety na werandzie, czuł się jak intruz na nieznanym gruncie. W pierwszym instynktownym odruchu chciał wznieść mur obronny, tak jak zwykł to robić w przeszłości. Lecz coś w sposobie, w jaki na niego patrzyła, sprawiało, że nie potrafił się na to zdobyć. Może to kwestia scenerii albo fakt, że była sama. Tak czy owak, ogarnęła go fala współczucia, doznanie tak mu obce, że kompletnie go zaskoczyło.

Adrienne, która spodziewała się jego przyjazdu znacznie później, usiłowała zapanować nad zakłopotaniem z powodu swego stanu. Uśmiechnęła się z przymusem, ocierając oczy i udając, że łzawią z powodu wiatru.

Jednakże gdy odwróciła się do niego twarzą, nie potrafiła oderwać od niego wzroku.

Pomyślała, że to sprawa jego oczu. Były jasnyniebieskie, tak jasne, że wydawały się niemal przejrzyste, a ich spojrzenie niezwykle intensywne, jakiego nie spotkała u nikogo przedtem.

On mnie zna, przemknęła jej przez głowę nagła myśl. Albo poznałby mnie, gdybym dała mu szansę.

Odsunęła od siebie te myśli równie szybko, jak przyszły, uważając je za śmieszne. Nie, powiedziała sobie, w mężczyźnie stojącym przed nią nie ma nic niezwykłego. Jest po prostu gościem, o którym mówiła jej Jean, a ponieważ nie zastał jej przy biurku, postanowił poszukać. To wszystko. W końcu zaczęła go oceniać w taki sposób, jak to robią nieznajomi.

Chociaż nie tak wysoki jak Jack - miał mniej więcej metr siedemdziesiąt sześć - był szczupły i wysportowany, wyglądał na kogoś, kto ćwiczy codziennie. Sweter, który miał na sobie, z pewnością kosztował majątek i kompletnie nie pasował do spłowiałych dżinsów, ale dziwnym sposobem wyglądał tak, jak gdyby był całkiem na miejscu. Kanciaste rysy i zmarszczki na czole mężczyzny świadczyły o latach przymusowej koncentracji. Miał szpakowate, przystrzyżone krótko włosy, całkiem srebrne na skroniach. Adrienne przypuszczała, że jest po pięćdziesiątce, ale nie pokusiłaby się o dokładne określenie jego wieku.

Właśnie w tej chwili Paul chyba uświadomił sobie, że się na nią gapi, i spuścił wzrok.

- Przepraszam - powiedział cicho. - Nie chciałem być nachalny. - Obejrzał się przez ramię. - Zaczekam na panią w środku. Proszę się nie śpieszyć.

Adrienne pokręciła głową, starając się zrobić wszystko, żeby poczuł się swobodnie.

- Wszystko w porządku. I tak zamierzałam już wrócić do domu.

Gdy podniosła na niego wzrok, przychwyciła po raz drugi jego spojrzenie. Było teraz łagodniejsze, przymglone jakimś wspomnieniem, jak gdyby myślał o czymś smutnym, lecz próbował to ukryć. Sięgnęła po swoją filiżankę, wykorzystując ją jako pretekst, żeby się odwrócić.

Kiedy otworzył drzwi, Adrienne wskazała mu gestem głowy, żeby wszedł pierwszy do środka. Szedł przed nią przez kuchnię do recepcyjnego biurka, a ona przyłapała się na tym, że taksuje spojrzeniem jego sprężystą sylwetkę, i zarumieniła się lekko, zastanawiając się, co w nią, u licha, wstąpiło. Besztając samą siebie w myśli, usiadła przy biurku. Sprawdziła nazwisko w książce rezerwacji i podniosła głowę.

- Paul Flanner, prawda? Zostaje pan na pięć nocy i wyjeżdża we wtorek rano?

- Tak. - Paul zawahał się, po czym spytał: - Czy mógłbym dostać pokój z widokiem na ocean?

Adrienne wyjęła formularz meldunkowy.

- Jasne. Prawdę mówiąc, może pan wybrać sobie którykolwiek z pokoi na górze, ponieważ nikogo więcej się nie spodziewamy. Będzie pan jedynym gościem podczas tego weekendu.

- A który pani by mi poleciła?

- Wszystkie pokoje tutaj są ładne, ale na pana miejscu wzięłabym niebieski.

- Niebieski?

- Są w nim najciemniejsze zasłony. Jeśli wybierze pan żółty lub biały, obudzi się pan o brzasku. Żaluzje niewiele dają, a słońce wstaje całkiem wcześnie. Okna w tamtych pokojach wychodzą na wschód. - Adrienne posunęła formularz w stronę Paula i podała mu długopis. - Może pan tutaj podpisać?

- Jasne.

Adrienne przyglądała się, jak Paul szybko bazgrze swoje nazwisko, myśląc, że ręce mężczyzny pasują do jego twarzy. Knykcie sterczały mu, jak u starszego człowieka, ale ruchy

miał precyzyjne i wyważone. Zauważyła, że nie nosi ślubnej obrączki - nie dlatego że miało to jakiegokolwiek znaczenie.

Paul odłożył długopis i Adrienne wzięła od niego formularz, żeby sprawdzić, czy wypełnił go prawidłowo. Podany był adres jego doradcy prawnego w Raleigh. Zdjęła klucz do niebieskiego pokoju z tablicy wiszącej na bocznej ścianie, zawahała się, po czym wybrała jeszcze dwa.

- Dobrze, czyli wszystko ustalone - powiedziała. - Jest pan gotów obejrzeć swój pokój?

- Bardzo proszę.

Paul cofnął się, gdy wychodziła zza biurka i skierowała się ku schodom. Wziął swoje torby podróżne, po czym ruszył za nią. Przy schodach Adrienne przystanęła, czekając, by się z nią zrównał. Wskazała mu gestem dłoni salon.

- Przygotowałam dla pana kawę i trochę ciasteczek. Zaparzyłam ją w termosie godzinę temu, myślę więc, że powinna być jeszcze świeża.

- Zauważyłem ją, gdy wszedłem. Dziękuję.

U szczytu schodów Adrienne odwróciła się, wspierając dłoń na balustradzie. Na górze znajdowały się cztery pokoje: jeden od frontu i trzy z widokiem na ocean. Paul zwrócił uwagę, że na tabliczkach widnieją nazwy, nie numery - Bodie, Hatteras, Cape Lookout. Rozpoznał nazwy latarni morskich wzdłuż wybrzeży Outer Banks.

- Ma pan możliwość wyboru - powiedziała Adrienne. - Wzięłam wszystkie trzy klucze na wypadek, gdyby któryś z tamtych pokojów podobał się panu bardziej.

Paul wodził spojrzeniem od drzwi do drzwi.

- Który z nich jest niebieskim pokojem?

- Och, to ja go tak nazwałam. Jean nadała mu nazwę Bodie.

- Jean?

- To ona jest właścicielką Gospody. Ja tylko doglądam pensjonatu podczas jej nieobecności.

Rzemienie worka podróżnego uwierały go w ramiona i Paul poprawił je, czekając, aż Adrienne otworzy pokój. Stanęła, przytrzymując drzwi, żeby mógł przejść, i poczuła, że worek trącił ją w plecy, gdy Paul przeciskał się do środka.

Paul rozejrzał się. Pokój był dokładnie taki, jak sobie wyobrażał - zwyczajny i czysty, ale miał więcej charakteru od typowego pokoju w motelu na nabrzeżu. Przy oknie stało łóżko z

baldachimem, obok niego niski stolik. Podwieszony na suficie wentylator obracał się powoli, młóćąc powietrze. W drugim końcu, obok dużego obrazu przedstawiającego latarnię Bodie, znajdowały się drzwi, które, jak domyślał się Paul, prowadziły zapewne do łazienki. Pod najbliższą ścianą stała dość zniszczona komoda, która wyglądała, jak gdyby była tu od czasu wybudowania Gospody.

Z wyjątkiem mebli, prawie wszystko było w różnych odcieniach błękitu: dywanik na podłodze miał kolor jajeczek drozda, narzuta i zasłony były granatowe, lampa na stoliku miała pośrednią barwę i błyszczała jak farba na nowym samochodzie. Chociaż komoda i stolik miały jasnożółty kolor, były ozdobione morskimi pejzażami, które przedstawiały ocean w słoneczny bezchmurny dzień. Nawet telefon był niebieski, dzięki czemu przypominał raczej zabawkę.

- I jak się panu podoba pokój?

- Jest zdecydowanie niebieski - odrzekł Paul.

- Czy chce pan obejrzeć inne?

Paul postawił worki podróżne na podłodze, spoglądając w kierunku okna.

- Nie, tutaj będzie mi dobrze. Tylko czy mógłbym otworzyć okno? Trochę tu duszno.

- Bardzo proszę.

Paul przeszedł przez pokój, zwolnił zatrząsk i spróbował podnieść skrzydło okna. Przez wszystkie lata swego istnienia dom był malowany tyle razy, że Paulowi udało się uchylić okno zaledwie o parę centymetrów. Gdy szarpał się, próbując podciągnąć je wyżej, Adrienne zauważyła, jak napinają się mięśnie jego przedramion.

Odchrząknęła.

- Chyba powinien pan wiedzieć, że po raz pierwszy doglądam Gospody - powiedziała. - Przyjeżdżałam tutaj mnóstwo razy, ale zawsze wtedy, kiedy była Jean, jeśli więc coś nie będzie się panu podobało, proszę bez wahania powiedzieć mi o tym.

Paul odwrócił się. Ponieważ stał tyłem do okna, jego twarz znajdowała się w cieniu.

- Ani trochę się nie obawiam - odparł. - Nie jestem ostatnio szczególnie wybredny.

Adrienne uśmiechnęła się, wyjmując klucz z zamka.

- No dobrze, a teraz poinformuję pana o wszystkim, co powinien pan wiedzieć. To wyraźne polecenie Jean. Na ścianie pod oknem jest grzejnik, musi go pan po prostu włączyć. Są tylko dwa stopnie grzania, na początku grzejnik wydaje terkoczący dźwięk, ale po kilku minutach przestaje. W łazience są czyste ręczniki. Jeśli będzie pan potrzebował więcej, po prostu proszę

dać mi znać. I choć oczekiwanie na to, żeby popłynęła ciepła woda może wydać się panu wiecznością, w końcu popłynie z kranu. Obiecuję. - Adrienne dostrzegła przelotny uśmiech na twarzy Paula, gdy mówiła dalej: - I jeśli nikt inny nie przyjedzie tutaj na weekend, a nie spodziewam się gości z powodu zbliżającego się sztormu, chyba żeby ktoś zablądził, możemy jeść o takiej porze, jaka będzie panu odpowiadała. Zwykle Jean podaje śniadanie o ósmej, a kolację o dziewiętnastej, ale gdyby pan miał wtedy jakieś plany, to proszę tylko uprzedzić mnie wcześniej i zjemy kiedykolwiek. Albo przygotuję coś, co będzie pan mógł zabrać ze sobą.

- Dziękuję.

Adrienne milczała przez chwilę, starając się przypomnieć sobie, o czym jeszcze miała powiedzieć.

- Ach, byłabym zapomniała. Jeśli zechce pan skorzystać z telefonu, powinien pan wiedzieć, że jest ustawiony na rozmowy miejscowe. Gdyby zamawiał pan międzymiastową, musi pan użyć karty albo zamówić rozmowę na koszt rozmówcy i skorzystać z pośrednictwa telefonistki.

- Dobrze.

Adrienne zawahała się, przystając w drzwiach.

- Czy chciałby pan wiedzieć coś jeszcze?

- Chyba mniej więcej wyczerpała pani temat. Oczywiście z wyjątkiem sprawy, która narzuca się sama.

- A mianowicie?

- Nie powiedziała mi pani, jak się nazywa.

- Adrienne. Adrienne Willis - odrzekła z uśmiechem, kładąc klucz na komodzie obok drzwi.

Paul absolutnie ją zaskoczył - nagle przeszedł przez pokój i uściskał jej dłoń.

- Miło mi cię poznać, Adrienne.

ROZDZIAŁ 6

Paul przyjechał do Rodanthe na prośbę Roberta Torrelsona i teraz, wyjmując rzeczy z worka podróżnego i układając je w szufladach, zastanawiał się znowu, co Robert chciał mu powiedzieć, a może oczekiwał, że to Paul przejmie na siebie ciężar rozmowy.

Jill Torrelson zjawiała się u niego, ponieważ cierpiała na oponiaka. Nowotwór dobrotliwy, który nie zagrażał życiu, ale, delikatnie mówiąc, był szpetny. Oponiak, umiejscowiony po prawej stronie jej twarzy, tworzył bulwiastą fioletową masę, naznaczoną bliznami w miejscach, gdzie przez lata powstawały owrzodzenia. Paul operował tuziny pacjentów z oponiakami i otrzymał mnóstwo listów od osób, które poddały się zabiegowi, z podziękowaniami za to, czego dokonał.

Zastanawiał się nad tym tysiące razy i wciąż nie wiedział, dlaczego umarła. Wyglądało na to, że nauka również nie jest w stanie dostarczyć odpowiedzi. Sekcja Jill nie przyniosła rozstrzygnięcia, przyczyna jej śmierci nie została ustalona. Najpierw przyjęto założenie, że był to rodzaj zatoru, nie udało się jednak znaleźć na to dowodu. Potem skoncentrowano się na przypuszczeniu, że była to reakcja alergiczna na narkozę lub leczenie pooperacyjne, ostatecznie jednak tę ewentualność również wykluczono. Pozostawało więc zaniedbanie Paula. Operacja przebiegła bez komplikacji i koroner po bliższym badaniu nie znalazł niczego, co wybiegałoby poza normalny zabieg lub mogło mieć pośredni związek z jej śmiercią.

Nagranie na kasecie wideo potwierdziło wnioski koronera. Ponieważ oponiak został uznany za wzorcowy, zabieg sfilmowano kamerą wideo do ewentualnego wykorzystania w szkoleniu personelu. Później materiał ten oceniła szpitalna rada chirurgów oraz trzech chirurgów spoza stanu. I tym razem nie doszukano się żadnych uchybień.

W raporcie wspomniano o pewnych okolicznościach świadczących o zdrowiu Jill Torrelson. Miała nadwagę i zwężone tętnice. Po pewnym czasie byłoby konieczne wstawienie bypassu. Chorowała na cukrzycę, przez całe życie paliła papierosy, miała początki rozedmy płuc, aczkolwiek żadna z tych dolegliwości w obecnym stadium raczej nie zagrażała jej życiu ani też nie wyjaśniała tego, co się stało.

Można by pomyśleć, że Jill Torrelson zmarła bez żadnego powodu, jak gdyby Bóg wezwał ją po prostu do siebie.

Podobnie jak wiele osób w jego sytuacji, Robert Torrelson wniósł oskarżenie o błąd w sztuce lekarskiej. Pozwanymi w procesie byli: Paul, szpital oraz anestezjolog. Paul, tak jak

większość chirurgów, był ubezpieczony od skutków pomyłki lekarskiej. Zgodnie ze zwyczajem został poinstruowany, że nie powinien rozmawiać z Robertem Torrelsonem, chyba że w obecności adwokata i tylko wówczas, gdyby zeznawał pod przysięgą, a Robert Torrelson znajdował się przypadkiem w pokoju.

Przez rok proces nie doprowadził do niczego. Kiedy adwokat Roberta Torrelsona otrzymał protokół sekcji - po tym gdy kolejny chirurg obejrzał nagranie wideo, a prawnicy z towarzystwa ubezpieczeniowego zaczęli robić wszystko, co w ich mocy, żeby przedłużyć proces i podnieść koszty - uzmysłowił swojemu klientowi, że to, przeciwko czemu występuje, maluje się w czarnych barwach. Choć prawnicy nie powiedzieli tego wprost, spodziewali się, że koniec końców Robert Torrelson wycofa oskarżenie.

Wszystko wyglądało tak samo jak w kilku innych sprawach wniesionych przeciwko Paulowi Flannerowi w ciągu lat jego pracy, poza faktem, że dwa miesiące temu Paul otrzymał prywatny list od Roberta Torrelsona.

Nie musiał go nosić przy sobie, żeby pamiętać dokładnie, co było w nim napisane.

Szanowny doktorze Flanner

Zależy mi bardzo na tym, żeby porozmawiać z panem osobiście. To dla mnie naprawdę ważne. Proszę.

Robert Torrelson

U dołu kartki zostawił swój adres.

Po przeczytaniu listu Paul pokazał go swoim prawnikom, którzy zdecydowanie poradzili mu, żeby zignorował tę prośbę. Podobnie zresztą jak jego dawni szpitalni koledzy po fachu. Odpuść sobie, mówili. Jak już wszystko minie, możemy zorganizować spotkanie z nim, jeśli nadal będzie chciał rozmawiać.

W prośbie Roberta Torrelsona ponad jego starannym podpisem było jednak coś, co trafiło do Paula, postanowił więc, że ich nie posłucha i spełni ją.

We własnym odczuciu zbyt wiele spraw w swoim życiu zignorował.

* * *

Paul włożył kurtkę, zbiegł na dół i wyszedł na dwór przez frontowe drzwi, kierując się do samochodu. Wziął z przedniego siedzenia małą skórzaną torebkę, w której trzymał paszport i bilety, zamiast jednak wrócić do środka, obszedł dom dookoła.

Na plaży wiał coraz silniejszy wiatr i Paul zatrzymał się na chwilę, żeby zapiąć zamek błyskawiczny w kurtce. Wsunął torebkę pod pachę, schował ręce do kieszeni i pochylił głowę, czując, jak chłód szczypie go w policzki.

Pomyślał, że niebo wygląda tak jak w Baltimore przed śnieżycą, kiedy cały świat nabiera odcienia spranej szarości. W oddali widział pelikana szybującego nisko nad wodą. Ptak nie poruszał skrzydłami, lecz dawał się unosić wiatrowi. Paul zastanawiał się, dokąd pelikan poleci, gdy sztorm uderzy z całą siłą.

Przystanął prawie nad samą wodą. Fale toczyły się z dwóch różnych kierunków, wzbijając przy zderzeniu pióropusze piany. Powietrze było wilgotne i przejmująco zimne. Zerknąwszy przez ramię, dostrzegł żółte światło w kuchni Gospody. Sylwetka Adrienne przesunęła się jak cień za szybą, po czym zniknęła z pola widzenia.

Postanowił, że spróbuje porozmawiać z Robertem Torrelsonem jutro rano. Sztormu spodziewano się po południu, prawdopodobnie potrwa przez prawie cały weekend, wykluczone więc, żeby udało mu się wtedy załatwić tę sprawę. Nie chciał też czekać do poniedziałku. Musi wylecieć z Dulles we wtorek po południu, czyli z Rodanthe powinien wyjechać nie później niż o dziewiątej. Wolał też nie ryzykować, że z nim nie porozmawia, a nadchodzący sztorm nie dawał mu wielkiego wyboru. Do poniedziałku linie wysokiego napięcia mogą być pozrywane, drogi zalane albo Robert Torrelson może zajmować się usuwaniem Bóg wie jakich skutków huraganu.

Paul nigdy przedtem nie był w Rodanthe, nie sądził jednak, żeby odnalezienie domu Torrelsona zajęło mu więcej niż kilka minut. Przypuszczał, że miasteczko ma najwyżej kilkadziesiąt ulic i zdoła przemierzyć je wzdłuż w niespełna pół godziny.

Postał jeszcze kilka minut na piasku, po czym zawrócił i ruszył w kierunku Gospody. W tej samej chwili zobaczył znowu w oknie sylwetkę Adrienne Willis.

Jej uśmiech, pomyślał. Podobał mu się jej uśmiech.

* * *

Adrienne przyłapała się na tym, że przygląda się przez okno Paulowi Flannerowi wracającemu z plaży.

Wypakowała zakupy, starając się powkładać je do właściwych szafek. Wcześniej, tego samego popołudnia, kupiła wszystko, co poleciła Jean, teraz jednak zastanawiała się, czy nie powinna była zaczekać do przyjazdu Paula, żeby spytać go, czy jest coś specjalnego, co chciałby zjeść.

Jego wizyta intrygowała ją. Wiedziała od Jean, że gdy zadzwonił sześć tygodni temu, jej przyjaciółka powiedziała mu, że zamyka pensjonat po Nowym Roku i otwiera go dopiero w kwietniu, on jednak zaproponował, że zapłaci podwójnie za pokój, jeśli Jean wstrzyma się z zamknięciem jeszcze przez tydzień.

Była pewna, że nie spędza tutaj urlopu. Nie tylko dlatego, że Rodanthe nie jest popularną miejscowością w zimie; po prostu nie zrobił na niej wrażenia człowieka, który przyjechał na odpoczynek. Poza tym, gdy dopełniała formalności meldunkowych, nie zachowywał się jak ktoś, kto odwiedził pensjonat dla relaksu.

Nie wspomniał też, że odwiedza rodzinę, co oznaczało, że prawdopodobnie odbywa podróż w interesach. Ale i to nie miało wielkiego sensu. Poza łowieniem ryb i turystyką w Rodanthe nie było za wiele do roboty, z wyjątkiem firm, które dostarczały artykuły pierwszej potrzeby jego mieszkańcom, a i te w większości były w zimie pozamykane.

Wciąż jeszcze myślała o tym, gdy usłyszała, że Paul wchodzi po stopniach kuchennej werandy. Nasłuchiwała, jak otrzepuje przed drzwiami piasek z butów. W chwilę później drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem i Paul wszedł do kuchni. Kiedy zdejmował kurtkę, Adrienne zauważyła, że czubek nosa poczerwieniał mu z zimna.

- Sztorm chyba się zbliża - powiedział. - Od rana temperatura wyraźnie spadła o kilka stopni.

Adrienne włożyła do szafki pudełko z grzankami i odpowiedziała, oglądając się przez ramię:

- Wiem. Musiałam podkreślić grzejnik. To nie jest najbardziej wydajny system ogrzewania domów. Prawdę mówiąc, czuję, jak wiatr wciska się przez okna. Przykro mi, że nie trafiłeś na lepszą pogodę.

Paul potarł ramiona.

- Tak to bywa. Czy jest jeszcze kawa? Wypiłbym może filiżankę dla rozgrzewki.

- Pewnie już do tej pory trochę wystygła. Zaparzę świeżej. Zajmie mi to zaledwie parę minut.

- Nie sprawię ci kłopotu?

- Naprawdę drobiazg. Sama też się chętnie napiję.

- Dziękuję. Powieszę tylko kurtkę w moim pokoju, trochę się ogarnę i zaraz wracam na dół.

Wychodząc z kuchni, uśmiechnął się do niej i Adrienne wypuściła wreszcie powietrze. Nawet się nie zorientowała, że wstrzymuje oddech. Podczas gdy Paul był na górze, zmeła garstkę świeżych ziaren kawy, zmieniła filtr i włączyła ekspres. Przyniosła srebrny dzbanek, wylała jego zawartość do zlewozmywaka i wypłukała. Krzątając się, słyszała, jak mężczyzna kręci się po pokoju znajdującym się nad kuchnią.

Chociaż była z góry przygotowana na to, że Paul będzie jedynym gościem podczas tego weekendu, nie zdawała sobie sprawy, jak dziwnie się poczuje, przebywając z nim sam na sam w domu. Albo sama. Oczywiście dzieci są pochłonięte własnymi zajęciami i nieraz miewa trochę czasu dla siebie, ale nigdy nie jest długo sama. Mogą wpaść w każdej chwili. Poza tym są rodziną. To zupełnie coś innego niż sytuacja, w jakiej znajdowała się teraz. Nie potrafiła pozbyć się uczucia, że żyje życiem innej osoby, życiem, którego reguły są jej raczej obce.

Przygotowała dla siebie filiżankę kawy, a resztę wlała do srebrnego dzbanka. Odstawiała go właśnie z powrotem na tacę w salonie, gdy usłyszała jego kroki na schodach.

- W samą porę - powiedziała. - Kawa gotowa. Czy chciałbyś, żebym napaliła w kominku?

Gdy Paul wszedł do salonu, jej nozdrza musnął dyskretny zapach wody kolońskiej. Okrążył ją, idąc po filiżankę.

- Nie, dziękuję, tak jest całkiem przyjemnie. Może później.

Skinęła głową, cofając się o krok.

- Świetnie, wobec tego, gdybyś czegoś potrzebował, będę w kuchni.

- Wydawało mi się, że ty też miałaś ochotę na filiżankę kawy.

- Już sobie nalałam. Zostawiłam ją na bufecie.

- Nie napijesz się ze mną? - spytał, spoglądając na nią, w tonie, jakim to powiedział, było coś wyczekującego, jak gdyby naprawdę zależało mu na tym, żeby została. Adrienne zawahała się. Jean świetnie potrafiła gawędzić z nieznajomymi, ale ona nie była w tym nigdy dobra. Jednocześnie jednak jego propozycja pochlebiła jej, choć sama nie wiedziała dlaczego.

- Chyba mogłabym - odpowiedziała w końcu. - Pozwól tylko, że przyniosę swoją filiżankę.

Gdy wróciła do salonu, Paul siedział w jednym z dwóch bujanych foteli przy kominku. Był to ulubiony pokój Adrienne. Na jednej ścianie wisiały czarno-białe zdjęcia przedstawiające życie na Outer Banks w latach dwudziestych oraz długa półka z podniszczonymi od ciągłego kartkowania książkami, na przeciwległej znajdowały się dwa okna wychodzące na ocean. Obok

kominka leżała nieduża sterta polan oraz stał pojemnik z podpalką. Wszystkie te przedmioty zdawały się zwiastować miły wieczór w rodzinnym gronie.

Paul bujał się w fotelu, trzymając filiżankę na kolanach i chłonąc widok rozciągający się za oknem. Wiatr wzniecał tumany piasku, kłębiła się mgła, co stwarzało złudzenie, że na dworze zapanował już zmierzch. Adrienne usiadła na sąsiednim fotelu i przez chwilę również patrzyła w okno, próbując opanować zdenerwowanie.

Paul odwrócił się do niej.

- Myślisz, że sztorm zmiecie nas jutro z powierzchni ziemi? - spytał.

Adrienne przeczesła palcami włosy.

- Raczej wątpliwe. Ten dom stoi od sześćdziesięciu lat i jakoś dotąd przetrwał wszystkie sztormy.

- Przeżyłaś tutaj kiedyś atak północno-wschodniego wiatru? chodzi mi o tak silny jak huragan, którego się spodziewają teraz?

- Nie. Ale Jean przeżyła niejedną, to znaczy, że nie jest chyba tak bardzo źle. Inna sprawa, że ona pochodzi stąd i mogła się przyzwyczaić.

Paul przyglądał się uważnie Adrienne, gdy odpowiadała na jego pytanie. Była zapewne o kilka lat od niego młodsza, miała ciemnoblonde włosy, sięgające mniej więcej do łopatek i lekko falujące. Nie była szczupłą, ale też nietęgą. W jego odczuciu miała figurę ponętną w sposób przeczący nierealistycznym standardom, kreowanym przez telewizję oraz rozmaite magazyny. Miała nieznaczny garbek na nosie, kruche łapki wokół oczu, jej skóra znalazła się w łagodnym okresie przejściowym pomiędzy młodością a starszym wiekiem, zanim jeszcze naznaczyła ją swym piętnem zwiotczałość.

- Mówiłaś, że to twoja przyjaciółka?

- Poznałyśmy się w college'u wiele lat temu. Jean była jedną z koleżanek, z którymi mieszkałam podczas studiów, i od tamtej pory się przyjaźnimy. To był kiedyś dom jej dziadków, ale rodzice Jean przekształcili go w pensjonat. Gdy ustaliłeś z nią, że przyjeżdżasz, zadzwoniła do mnie, ponieważ musiała wyjechać na ślub poza miasto.

- Ale ty tutaj nie mieszkasz?

- Nie, mieszkam w Rocky Mount. Byłeś tam kiedyś?

- Wiele razy. Przejeżdżałem tamtędy podczas podróży do Greenville.

Słyszając jego odpowiedź, Adrienne jeszcze raz pomyślała o adresie wpisanym do formularza meldunkowego. Upiła łyk kawy i również postawiła swoją filiżankę na kolanach.

- Wiem, że to nie moja sprawa - powiedziała - ale czy mogę spytać, co cię tu przywiało? Nie musisz odpowiadać, jeśli nie chcesz. Pytam ze zwykłej ciekawości.

Paul poprawił się w fotelu.

- Przyjechałem, żeby z kimś porozmawiać.

- Przebyłeś długą drogę, żeby odbyć tę rozmowę.

- Nie miałem wielkiego wyboru. Ten człowiek chciał spotkać się ze mną osobiście.

W jego głosie dało się słyszeć napięcie, dobiegał jak gdyby z oddali i przez chwilę Paul wydawał się całkowicie zatopiony w myślach. W ciszy Adrienne słyszała łopot flagi na wietrze.

Paul odstawił filiżankę na stolik.

- Czym się zajmujesz? - spytał w końcu znowu ciepłym głosem. - Poza wyręczaniem przyjaciółek w zajmowaniu się pensjonatem?

- Pracuję w bibliotece publicznej.

- Naprawdę?

- Czyżbym słyszała w twoim głosie zdziwienie?

- Bo chyba jestem zaskoczony. Spodziewałem się całkiem innej odpowiedzi.

- Na przykład?

- Szczerze mówiąc, nie bardzo wiem. Ale nie pomyślałbym, że możesz być bibliotekarką. Nie wyglądasz na osobę dość starą, żeby trudnić się tym zajęciem. Tam gdzie mieszkam, wszystkie były po sześćdziesiątce.

Adrienne uśmiechnęła się.

- Jestem na niepełnym etacie. Mam trójkę dzieci, toteż muszę być również mamą.

- W jakim wieku?

- Osiemnaście, siedemnaście i piętnaście.

- Dużo masz przy nich roboty?

- Nie, nie bardzo. Dopóki wstaję o piątej i nie kładę się spać przed północą, jest całkiem nieźle.

Paul roześmiał się cicho i Adrienne poczuła, że zaczyna się rozluźniać.

- A ty? Masz dzieci?

- Jedno. Syna. - Spuścił na chwilę wzrok, ale zaraz spojrział na nią znowu. - Jest lekarzem w Ekwadorze.

- Mieszka tam?

- Przejściowo. Od dwóch lat pracuje jako ochotnik w klinice w pobliżu Esmeraldas.

- Musisz być z niego dumny.

- Jestem. - Umilkł. - Lecz szczerze mówiąc, odziedziczył dobre cechy po mojej żonie. A raczej, mojej byłej żonie. To zdecydowanie bardziej jej zasługa niż moja.

Uśmiechnęła się.

- Miło to słyszeć.

- Co?

- Że doceniasz jej zalety. Nawet po rozwodzie. Niewiele osób zdobywa się na to, żeby mówić takie rzeczy po rozstaniu. Zwykle gdy ludzie opowiadają o swoich eks, wyciągają sprawy, które się nie udały, albo skarżą się na zło doznane od tej osoby.

Paulowi przemknęło przez myśl przypuszczenie, że Adrienne mówi tak na podstawie własnego doświadczenia.

- Opowiedz mi o swoich dzieciach, Adrienne. Jakie są ich ulubione zajęcia?

Podniosła znowu do ust filiżankę z kawą, myśląc, jak dziwnie brzmi jej imię w jego ustach.

- Moje dzieci? No cóż, zacznijmy po kolei... Matt był pierwszym rozgrywającym w drużynie futbolowej, a teraz przerzucił się na koszykówkę. Amanda uwielbia teatr i właśnie udało jej się zdobyć rolę Marii w „West Side Story”. I jeszcze Dan... teraz również gra w koszykówkę, ale w przyszłym roku ma zamiar zająć się zapasnictwem. Trener zaczął namawiać go do tego sportu, gdy zobaczył go zeszłego lata na obozie sportowym.

Paul uniósł brwi.

- Imponujące.

- Cóż mam powiedzieć? To wszystko sprawka ich matki - zażartowała Adrienne.

- Czemu mnie to nie dziwi?

- Oczywiście mówię o dobrych stronach - powiedziała z uśmiechem Adrienne. - Nie wspominam o huśtawkach nastroju, różnym zachowaniu, dzikim bałaganie w pokojach, ponieważ wtedy z pewnością pomyślałbyś sobie, że okropnie ich wychowuję.

Paul również się uśmiechnął.

- Nie sędę. Myślę wyłącznie o tym, że masz przecież do czynienia z nastolatkami.
- Innymi słowy, próbujesz insynuować, że twój syn, odpowiedzialny lekarz, przeszedł przez taki sam etap rozwoju, toteż nie powinnam tracić nadziei?
- Jestem pewien, że tak właśnie się zachowywał.
- Ale nie całkiem pewien?
- Szczerze mówiąc, nie. Nie poświęcałem mu tyle czasu, ile powinienem był. W pewnym okresie mego życia za dużo pracowałem.

Adrienne czuła wyraźnie, że trudno było mu się do tego przyznać, i zaciekało ją, dlaczego w ogóle o tym powiedział. Zanim jednak zdążyła zastanowić się głębiej, zadzwonił telefon i oboje odwrócili się na jego dźwięk.

- Przepraszam - powiedziała, wstając z fotela. - Muszę odebrać.

Paul odprowadził ją wzrokiem. I tym razem nie uszło jego uwagi, że jest atrakcyjną kobietą. Mimo kierunku praktyki lekarskiej, który podjął w późniejszych latach, zawsze mniej interesowała go powierzchowność niż to, czego nie da się zobaczyć, a mianowicie życzliwość i uczciwość, poczucie humoru i wrażliwość. Był przekonany, iż Adrienne ma wszystkie te cechy, odnosił jednak wrażenie, że były przez długi czas niedoceniane, może nawet przez nią samą.

Zauważył, że siadając obok niego, była wyraźnie zdenerwowana, i uznał to za osobliwie ujmujące. Bardzo często, zwłaszcza w jego specjalności, ludzie wyraźnie próbują imponować innym, stworzyć wrażenie, że to, co mówią, jest słuszne, pochwalić się swoimi osiągnięciami. Inni znowu rozwodzą się, jak gdyby dla nich rozmowa była jednokierunkową ulicą, a nie ma nikogo bardziej nużącego od samochwały. Żadna z tych cech nie pasowała chyba do Adrienne.

Poza tym musiał przyznać, że miło było rozmawiać z kimś, kto go nie znał. W ciągu kilku ostatnich miesięcy albo spędzał czas samotnie, albo zbywał pytania zadawane w trosce o jego samopoczucie. Kilkakrotnie koledzy polecili mu dobrego terapeuty, zwierając się, że ta właśnie osoba ogromnie im kiedyś pomogła. Paula zmęczyło już wyjaśnianie, że wie, co robi, i że jest pewny swojej decyzji. A jeszcze bardziej miał dosyć zatroskanych spojrzeń, którymi go obrzucali, w reakcji na jego słowa.

W Adrienne było coś takiego, co sprawiało, że wyczuwał jej zrozumienie dla tego, przez co przechodzi. Nie potrafił wyjaśnić, skąd się bierze to wrażenie albo dlaczego jest dla niego ważne. Tak czy owak, był tego pewny.

ROZDZIAŁ 7

Po kilku minutach Paul odstawił pustą filiżankę na tacę i odniósł wszystko do kuchni.

Gdy tam wszedł, Adrienne wciąż jeszcze rozmawiała przez telefon. Stała tyłem do niego, opierając się o bufet. Lewą nogę miała założoną za prawą, okręcała wokół palca kosmyk włosów. Wywnioskował z jej tonu, że kończy rozmowę, i postawił tacę na bufecie.

- Tak, znalazłam list od ciebie... aha... tak, już się zameldowałam...

Umilkła na dłuższą chwilę, słuchając swej rozmówczynie, a gdy odezwała się znowu, wyraźnie zniżyła głos.

- Tak, mówią o tym przez cały dzień w wiadomościach... Słyszałam, że ma być silny... Och, dobrze... Pod domem?... Tak, chyba potrafię to zrobić... Ale jak bardzo może być gwałtowny?... Nie ma za co... Baw się dobrze na weselu... Do widzenia.

Odwróciła się; Paul wkładał właśnie filiżankę do zlewozmywaka.

- Nie musiałeś tego tutaj przynosić - powiedziała.

- Wiem, ale i tak szedłem do kuchni. Chciałem się dowiedzieć, co będzie na kolację.

- Zgłodniałeś?

Paul odkręcił kran.

- Troszeczkę. Ale mogę poczekać, jeśli ty wolałabyś zjeść później.

- Nie, ja też mam ochotę coś przekąsić. - Widząc, że Paul najwyraźniej bierze się do zmywania, dodała: - Zaraz, zaraz, pozwól, że ja to zrobię. Jesteś gościem.

Paul odsunął się na bok, dopuszczając Adrienne do zlewu. Mówiła do niego, myjąc jednocześnie filiżanki i dzbanek.

- Dzisiaj masz do wyboru kurczaka, befsztyk lub makaron z sosem śmietanowym. Mogę przyrządzić, co zechcesz, ale pamiętaj o tym, że prawdopodobnie jutro zjesz to, czego nie wybierzesz dzisiaj. Niestety nie mogę ci zagwarantować, że któryś ze sklepów będzie otwarty podczas tego weekendu.

- Wszystko brzmi zachęcająco. Ty wybierz.

- Kurczak? Jest już rozmrożony.

- Świetnie.

- Myślałam też o ziemniakach i zielonym groszku.

- Doskonale.

Adrienne wytarła ręce papierowym ręcznikiem i sięgnęła po fartuszek przewieszony przez uchwyt piekarnika. Obwiążując się nim w pasie, mówiła dalej:

- A co powiedziałbyś na surówkę?

- Jeśli masz sałatę, to chętnie. Ale jeśli nie masz, to też nie ma sprawy.

Adrienne uśmiechnęła się.

- O rany, naprawdę nie żartowałeś, twierdząc, że absolutnie nie jesteś wybredny.

- Postępuję zgodnie z dewizą: dopóki nie muszę sam gotować, zjadam właściwie wszystko.

- Nie lubisz gotować?

- Nigdy naprawdę nie musiałem. Martha - moja eksmałżonka - zawsze wypróbowała nowe przepisy. A odkąd odeszła, w zasadzie co wieczór jadałem poza domem.

- No cóż, tylko nie próbuj wymagać ode mnie, żebym dorównała restauracyjnym normom. Potrafię gotować, lecz daleko mi do umiejętności mistrza kucharskiego. Moich synów z reguły bardziej interesuje ilość niż oryginalność.

- Bez wątplenia wszystko będzie smaczne. Ale będzie mi bardzo miło, jeśli pozwolisz mi pomóc.

Spojrzała na niego, zaskoczona ofertą.

- Jeśli masz ochotę. Jeżeli wolałbyś odpocząć na górze lub poczytać, dam ci znać, gdy kolacja będzie gotowa.

Paul pokręcił głową.

- Nie wziąłem ze sobą niczego do czytania, a gdybym się teraz położył, nie udałoby mi się zmrużyć oka w nocy.

Adrienne zawahała się, rozważając jego propozycję, po czym wskazała mu stół stojący w drugim końcu kuchni.

- Wobec tego... dziękuję. Możesz zacząć od obrania ziemniaków. Są w spiżarni, o tam, na drugiej półce, obok ryżu.

Paul skierował się do spiżarni. Otwierając lodówkę, żeby wyjąć kurczaka, Adrienne obserwowała mężczyznę kątem oka i myślała, że świadomość, iż pomaga jej w kuchni, jest miła i zarazem nieco krępująca. Implikowało to poufałość, która zbiła ją lekko z tropu.

- Masz tam coś do picia? - zawołał zza jej pleców Paul. - To znaczy w lodówce?

Adrienne odsunęła na bok kilka przedmiotów, żeby zerknąć na najniższą półkę. Za słojem z marynatami stały trzy butelki.

- Lubisz wino?

- To zależy jakie.

Adrienne położyła kurczaka na bufecie, po czym wyjęła z lodówki jedną z butelek.

- Pinot grigio. Może być?

- Nigdy go nie piłem. Moje ulubione wino to chardonnay. A ty piłaś je kiedykolwiek?

- Nigdy.

Paul przeszedł przez kuchnię, niosąc kartofle. Położył je na bufecie i wziął do ręki butelkę. Przez dłuższą chwilę przyglądał się etykietce, po czym podniósł wzrok na Adrienne.

- Zapowiada się na całkiem niezłe. Tu jest napisane, że ma delikatny posmak jabłek i pomarańczy, jak więc może być złe? Wiesz, gdzie mogę znaleźć korkociąg?

- Zdaje się, że widziałam jakiś w jednej z szuflad. Momencik, zaraz sprawdzę.

Adrienne otworzyła szufladę pod przyborami kuchennymi, potem następną, bez powodzenia jednak. Wreszcie znalazła korkociąg, a gdy podawała go Paulowi, jej palce dotknęły w przelocie jego palców. Paul odkorkował butelkę kilkoma zręcznymi ruchami. Pod szafką obok kuchenki wisały kieliszki i skierował się do nich. Zdjął jeden i popatrzył pytająco na Adrienne.

- Czy mogę nalać ci również?

- Czemu nie? - odpowiedziała, czując wciąż lekkie mrowienie, wywołane jego dotykiem. Powąchał wino i upił łyk. Adrienne uczyniła to samo. Smakując wino na języku, próbowała spojrzeć na sytuację z rozsądnego punktu widzenia.

- No i jak ci smakuje? - spytał.

- Dobrze.

- Ja też tak uważam. - Obrócił kieliszek w palcach. - Szczerze mówiąc, jest lepsze, niż się spodziewałem. Muszę zapamiętać nazwę.

Adrienne ogarnęło nagle pragnienie ucieczki. Cofnęła się o krok.

- Pozwól, że zacznę szykować kurczaka.

- Rozumiem, że to sygnał, żebym ja też zabrał się do pracy.

Znalazła brytfannę w szufladzie pod piekarnikiem, Paul zaś odstawił kieliszek i podszedł do zlewu. Odkręcił kran, namydlił ręce i zaczął je starannie szorować. Adrienne zauważyła, że

myje kolejno wierzch i wewnątrz dłoni, a następnie każdy palec z osobna. Włączyła piekarnik, ustawiła temperaturę, która była jej potrzebna, i usłyszała, jak gaz zapala się z pstryknięciem.

- Czy znajdzie się tu obieraczka do kartofli? - spytał Paul.

- Nie udało mi się jej znaleźć przedtem, toteż będziesz chyba musiał zadowolić się nożykiem do obierania. Może być?

Paul roześmiał się cicho.

- Przypuszczam, że sobie poradzę. Jestem chirurgiem - wyjaśnił.

Gdy wypowiedział te słowa, wszystko dopasowało się nagle jak elementy układanki: brudzy na twarzy, badawcze spojrzenie, sposób, w jaki mył ręce. Zastanawiała się, czemu wcześniej nie przyszło jej to do głowy. Paul zbliżył się do niej i sięgnąwszy po ziemniaki, zaczął je oczyszczać.

- Praktykowałeś w Raleigh? - spytała.

- Tak. Sprzedałem gabinet w ubiegłym miesiącu.

- Przeszedłeś na emeryturę?

- W pewnym sensie. Tak naprawdę mam zamiar dołączyć do mojego syna.

- W Ekwadorze?

- Gdyby mnie pytał o radę, poleciłbym mu południe Francji, wątpię jednak, czyby mnie posłuchał.

Adrienne uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- A czy dzieci kiedykolwiek nas słuchają?

- Nie. Ale muszę przyznać, że ja też nie słuchałem mojego ojca. To chyba typowe dla okresu dojrzewania.

Przez chwilę żadne z nich się nie odzywało. Adrienne nacierała kurczaka różnymi przyprawami, a Paul zaczął obierać kartofle. Jego dłonie poruszały się sprawnie.

- Pewnie Jean niepokoi się z powodu sztormu - zauważył.

Adrienne rzuciła mu zdziwione spojrzenie.

- Jak się domyśliłeś?

- Po prostu ze sposobu, w jaki rozmawiałś przez telefon. Czasami długo milczałaś, więc wywnioskowałem, że mówi ci, w jaki sposób powinnaś zabezpieczyć dom.

- Jesteś niezwykle spostrzegawczy.

- Czy spodziewają się, że huragan będzie bardzo gwałtowny? chciałem powiedzieć, że chętnie ci pomogę, jeśli będzie trzeba.

- Uważaj, bo jeszcze potraktuję serio tę deklarację. To mój były mąż umiał obchodzić się z młotkiem, nie ja. A szczerze mówiąc, on też nie był w tym wcale za dobry.

- Zawsze uważałem, że to przereklamowana umiejętność. - Odłożył pierwszy ziemniak na deskę do krojenia i sięgnął po drugi. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, że cię spytam, od jak dawna jesteś rozwiedziona?

Nie była pewna, czy ma ochotę o tym rozmawiać, lecz ku swemu zdziwieniu jednak odpowiedziała:

- Od trzech lat. Ale mój mąż odszedł rok wcześniej.

- Czy dzieci mieszkają z tobą?

- Przez większość czasu. W tej chwili mają ferie i pojechały w odwiedziny do ojca. A ty kiedy się rozwiodłeś?

- Kilka miesięcy temu. Ostatnia rozprawa odbyła się w październiku zeszłego roku. Moja żona również odeszła rok wcześniej.

- To ona odeszła?

Paul skinął twierdząco głową.

- Tak, lecz była to raczej moja wina niż jej. Bywałem rzadkim gościem w domu i po prostu miała tego dość. Na jej miejscu prawdopodobnie zachowałbym się tak samo.

Adrienne przetrawiała w myślach jego odpowiedź, dochodząc do wniosku, że mężczyzna stojący obok niej w niczym nie przypomina tego, którego właśnie opisał.

- Jakie zabiegi chirurgiczne robiłeś?

Gdy jej wyjaśnił, podniosła głowę, spoglądając na niego. Paul mówił dalej, jak gdyby przewidział jej pytania.

- Zdecydowałem się na to, ponieważ cieszyło mnie, gdy rezultaty mojej pracy były natychmiast widoczne, a świadomość, że pomagam ludziom, sprawiała mi ogromną satysfakcję. Na początku zajmowałem się głównie zabiegami odtwórczymi po wypadkach lub wadami wrodzonymi, historiami tego typu. Ale w ostatnich latach to się zmieniło. Ludzie teraz często chcą poddać się operacjom plastycznym. W ciągu minionych sześciu miesięcy zrobiłem więcej nosów, niż mogłem sobie wyobrazić.

- A co ja powinnam sobie zrobić? - spytała Adrienne żartobliwie.

Paul pokręcił głową.

- Absolutnie nic.

- A poważnie?

- Mówię poważnie. Nie zmieniłbym ani jednej rzeczy.

- Naprawdę?

Podniósł dwa palce w geście przysięgi.

- Słowo harcerza.

- Byłeś kiedyś harcerzem?

- Nie.

Adrienne roześmiała się, ale mimo to poczuła, że się czerwieni.

- No cóż, dziękuję.

- Bardzo proszę.

Gdy kurczak był już przyprawiony, Adrienne włożyła go do piekarnika, ustawiła minutnik, po czym umyła ręce. Paul opłukał ziemniaki i zostawił je obok zlewu.

- Co teraz?

- W lodówce są pomidory i ogórki na surówkę. Gdy przechodził obok Adrienne, żeby wyjąć z lodówki warzywa, w powietrzu rozszedł się znowu zapach jego wody kolońskiej; utrzymywał się jeszcze przez długą chwilę.

- Opowiedz mi o swoim dzieciństwie w Rocky Mount - poprosił Paul.

Adrienne nie bardzo wiedziała, od czego zacząć, ale już po kilku minutach gawędziła o sprawach dobrze znanych i przyjemnych. Opowiadała o matce i ojcu, napomknęła o koniu, którego ojciec kupił jej, gdy miała dwanaście lat, wspominała czas, który spędzali razem, opiekując się nim, i jak nauczyło ją to odpowiedzialności bardziej niż cokolwiek innego, co robiła do tej pory. Opisywała z rozrzewnieniem lata w college'u, nie pominęła swego pierwszego spotkania z Jackiem na balu korporacji, gdy była na ostatnim roku studiów. Spotykali się przez dwa lata, a gdy składała w kościele przysięgę, wierzyła, że jej małżeństwo będzie trwało wiecznie. Głos załamał jej się lekko, pokręciła głową i zmieniła temat. Wolała mówić o dzieciach niż o rozwodzie.

Śłuchając jej opowieści, Paul wymieszał surówkę, posypując ją z wierzchu grzankami, zapobiegliwie kupionymi wcześniej przez Adrienne, i zadając co chwila pytania, żeby dać swojej

rozmówcy do zrozumienia, że interesuje go to, o czym opowiada. Uśmiechnął się z rozbawieniem, spostrzegłszy ożywienie na jej twarzy, gdy mówiła o swoim ojcu i o dzieciach.

Zapadał zmierzch i w kuchni zaczęły kłaść się cienie. Adrienne nakryła do stołu, a Paul dołał im obojgu trochę wina do kieliszków. Gdy kolacja była gotowa, usadowili się wygodnie przy stole.

Podczas kolacji mówił głównie Paul. Opowiedział jej o swoim dzieciństwie na farmie, o ciężkiej próbie, jaką były dla niego studia medyczne, o czasie poświęconym biegom przełajowym i o swoich wcześniejszych wizytach na Outer Banks. Gdy dzielił się z nią wspomnieniami o ojcu, Adrienne przeszło przez myśl, żeby zdradzić mu, jakie ma problemy ze swoim, wstrzymała się jednak w ostatniej chwili. O Jacku i Marcie napomknęli tylko mimochodem. Podobnie o Marku. Ich rozmowa przeważnie muskała powierzchownie problemy i na razie żadne z nich nie było gotowe, żeby się w nie wgłębiać.

Kiedy kończyli kolację, wiatr prawie się uspokoił, a chmury zastygły w bezruchu przed burzą. Paul wkładał naczynia do zlewozmywaka, podczas gdy Adrienne chowała resztki jedzenia do lodówki. Butelka po winie była pusta, zbliżał się przypływ, a daleko na horyzoncie widać było pierwsze zwiastuny błyskawic, rozświetlające niebo, jak gdyby ktoś robił zdjęcia, żeby zapamiętać tę noc na zawsze.

ROZDZIAŁ 8

Paul pomógł jej uporać się z naczyniami, po czym wskazał gestem głowy drzwi kuchenne.

- Czy zechciałabyś pójść ze mną na spacer brzegiem morza? - zapytał. - Zdaje się, że wieczór jest piękny.

- Nie robi się zimno?

- Pewnie tak, ale myślę, że to nasza ostatnia szansa, przez parę dni raczej nie uda nam się wytknąć nosa z domu.

Adrienne wyjrzała przez okno. Powinna zostać i dokończyć sprzątanania kuchni, ale przecież to może poczekać, prawda?

- Masz rację - przyznała. - Momencik, tylko włożę kurtkę.

Pokój Adrienne znajdował się obok kuchni. Było to pomieszczenie, które Jean dobudowała kilkanaście lat temu, większe od innych, z łazienką zaprojektowaną wokół ogromnej wanny Jacuzzi. Jean regularnie brała w niej masaż wodny i ilekroć Adrienne dzwoniła do przyjaciółki, gdy była w kiepskim nastroju, zawsze słyszała radę, żeby wzięła kąpiel dla poprawienia samopoczucia.

- Potrzebujesz długiej, gorącej, relaksującej kąpieli - mówiła Jean, zapominając o tym, że w domu przebywa trójka dzieci, monopolizujących łazienki, a nawet zajęć nie pozostawia Adrienne wiele wolnego czasu.

Adrienne wyjęła z szafy kurtkę, potem szalik. Otulając nim szyję, zerknęła na zegar i zdumiała się, jak prędko upłynęły godziny. Gdy wróciła do kuchni, czekał tam już na nią Paul ubrany do wyjścia.

- Jesteś gotowa? - spytał.

Poprawiła kołnierz kurtki.

- Chodźmy. Muszę cię jednak uprzedzić, że niespecjalnie lubię taki ziąb. Moja południowa krew jest dość rzadka.

- Nie będzie to zbyt długi spacer. Obiecuję.

Uśmiechnął się, gdy wyszli na zewnątrz i Adrienne zapaliła lampę oświetlającą schodki. Idąc ramię w ramię, ruszyli przez płaską wydmy w kierunku ubitego piasku tuż nad wodą.

Wieczór miał w sobie jakieś egzotyczne piękno. Powietrze było świeże i rześkie, kłębiąca się mgła miała słonawy smak. Na horyzoncie niebo rozdzierały błyskawice, zapalające się i gasnące w równomiernym rytmie, co stwarzało wrażenie, że chmury się mienia. Kiedy spojrzała w tamtą stronę, zauważyła, że Paul również obserwuje niebo. Przeszło jej przez myśl, że jego oczy rejestrują chyba wszystko.

- Widziałaś kiedyś coś takiego? Takie błyskawice? - spytał.

- Nie w zimie. W lecie zdarzają się od czasu do czasu właśnie takie wyładowania atmosferyczne.

- To dlatego, że ścierają się dwa fronty. Zauważyłem, że zaczęło się to, już gdy jedliśmy kolację, i dlatego podejrzewam, że zapowiada się gwałtowniejszy sztorm, niż przewidują w prognozach meteorologicznych.

- Obyś się mylił.

- To całkiem możliwe.

- Ale raczej wątpisz. Paul wzruszył ramionami.

- Powiedzmy, że gdybym wiedział, iż się zbliża nawałnica, spróbowałbym zmienić harmonogram podróży.

- Dlaczego?

- Od pewnego czasu nie jestem szczególnym entuzjastą sztormów. Czy pamiętasz huragan Hazel? W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym roku?

- Jasne, ale byłam wtedy małą dziewczynką. Raczej mnie to wówczas podniecało, niż przerażało, szczególnie gdy wysiadł prąd w całym domu. Zresztą Rocky Mount nie ucierpiało zbyt wiele, a przynajmniej nie nasze najbliższe sąsiedztwo.

- Poszczyliło ci się. Miałem dwadzieścia jeden lat i byłem akurat w Duke. Gdy usłyszeliśmy, że zbliża się huragan, kilku chłopaków z drużyny biegaczy przełajowych wymyśliło, iż będzie to świetne doświadczenie, sprzyjające stworzeniu prawdziwej męskiej więzi między nami, jeśli udamy się na plażę Wrightsville i urządzimy tam „huraganową balangę”. Nie miałem na to ochoty, ponieważ jednak byłem kapitanem drużyny, w pewnym sensie zmusili mnie do tego.

- Czy to nie tam huragan uderzył w wybrzeże?

- Niedokładnie tam, ale blisko. Gdy dotarliśmy na wyspę, większość ludzi już ewakuowała się z niej, lecz my byliśmy młodzi i głupi. Wbrew wszystkiemu wybraliśmy się na

plażę. Początkowo świetnie się bawiliśmy. Próbowaliśmy biegać pod wiatr, utrzymując równowagę. Uważaliśmy, że jest po prostu fantastycznie, i zastanawialiśmy się, o co wszyscy podnoszą tyle krzyku. Ale po kilku godzinach wiatr dał już zbyt silnie, żeby można było wyczyniać harce na plaży, w dodatku deszcz zaczął lać jak z cebra, toteż postanowiliśmy wrócić do Durham. Nie mogliśmy jednak wydostać się z wyspy. Gdy siła wiatru osiągnęła dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę, zamknięto mosty i zostaliśmy uwięzieni. A sztorm srożył się coraz bardziej. O drugiej nad ranem sytuacja wyglądała tak, jakbyśmy znaleźli się w strefie działań wojennych. Wichura przewracała drzewa, zrywała dachy i w którąkolwiek stronę spojrzeliśmy, obok okien samochodu przefruwały jakieś przedmioty zagrażające naszemu życiu. I panował niewyobrażalny wprost hałas. Deszcz bębnił o karoserię auta, uderzały weń gwałtowne podmuchy huraganu. Na dobitkę była pora przyływu i pełnia księżyca; nigdy w życiu nie widziałem tak ogromnych fal toczących się jedna za drugą. Szczęściem znajdowaliśmy się dość daleko od plaży, ale widzieliśmy na własne oczy, jak cztery domy zostały tej nocy zmiecione z powierzchni ziemi. Gdy sądziliśmy, że już nic gorszego nie może się zdarzyć, zaczęły się rwać linie wysokiego napięcia. Przyglądaliśmy się, jak eksplodują kolejno transformatory, jeden z przewodów wyładował w pobliżu naszego samochodu. Nieustannie miotaly nim podmuchy wiatru. Był tak blisko, że widzieliśmy wyraźnie iskry, kilkakrotnie omal nie uderzył w auto. Przez resztę nocy poza modlitwą żaden z nas nie wypowiedział nawet jednego słowa. Była to najgłupsza rzecz, jaką zrobiłem kiedykolwiek w życiu.

Adrienne ani na chwilę nie spuściła wzroku z Paula podczas jego opowieści.

- Miałeś szczęście, że przeżyłeś.

- Wiem.

Na plaży nacierające gwałtownie fale tworzyły pianę, która przypominała bańki mydlane w wanience dziecka.

- Nigdy dotąd nie opowiadałem tej historii - dodał Paul. - To znaczy, nikomu.

- Dlaczego?

- Ponieważ w pewnym sensie... to nie byłem ja. Nigdy przedtem nie dopuściłem się czegoś tak ryzykownego, w przyszłości zresztą również. Czułem się niemal tak, jak gdyby przytrafiło się to komuś innemu. Musiałabyś znać mnie dobrze, żeby zrozumieć. Byłem typem faceta, który nie wypuszczał się nigdzie w piątkowe wieczory, żeby nie narobić sobie zaległości w nauce.

Adrienne wybuchnęła śmiechem.

- Nie wierzę.

- To prawda. Siedziałem i zakuwałem.

Gdy szli ubitym piaskiem, spojrzała na domy za diunami. W żadnym nie paliły się światła i pogrążone w ciemności Rodanthe sprawiło na niej wrażenie wymarłego miasta.

- Czy nie będziesz miał do mnie pretensji, jeśli coś ci powiem? - spytała. - chodzi mi o to, żebyś nie zrozumiał mnie opacznie.

- Możesz się o to nie obawiać.

Przeszli kilka metrów, a Adrienne wciąż milczała, usiłując znaleźć właściwe słowa.

- Cóż... - odważyła się wreszcie. - Po prostu kiedy mówisz o sobie, wydaje mi się, jak gdybyś opowiadał o kimś zupełnie innym. Twierdzisz, że pracowałeś za dużo, ale tacy ludzie nie likwidują prywatnej praktyki, żeby wyjechać do Ekwadoru. Zapewniasz, że nie popełniałeś w życiu żadnych szaleństw, po czym z twojej opowieści wynika, że je popełniłeś. Staram się tylko jakoś cię rozgryźć.

Zawahał się. Nie musiał wywnętrzać się ani przed nią, ani przed nikim innym, ale przechadzając się pod migotliwym niebem w zimny styczniowy wieczór, zdał sobie nagle sprawę, iż chce, żeby Adrienne go poznała - naprawdę go poznała, z jego wszystkimi sprzecznościami.

- Masz rację - powiedział - bo rzeczywiście mówię o dwóch osobach. Byłem Paulem Flannerem, harującym ciężko dzieciakiem, który chciał koniecznie zostać chirurgiem. Facetem, który wyłącznie pracował. Albo Paulem Flannerem, mężem i ojcem, właścicielem wielkiego domu w Raleigh. Ale teraz nie jestem żadnym z tych mężczyzn. Teraz próbuję zgłębić, kim naprawdę jest Paul Flanner, i szczerze mówiąc, zaczynam wątpić, czy kiedykolwiek znajdę odpowiedź na to pytanie.

- Myślę, że każdy się czasami czuje tak jak ty. Lecz niewielu osobom przyszedłby w takiej sytuacji do głowy wyjazd do Ekwadoru.

- I sądzisz, że dlatego wyjeżdżam?

Przeszli w milczeniu kilka kroków, zanim Adrienne podniosła głowę i spojrzała na niego.

- Nie - odpowiedziała. - Przypuszczam, że wyjeżdżasz tam, żeby mieć okazję poznać naprawdę swego syna. - Widząc zdziwienie na jego twarzy, dodała: - Wcale nie było trudno

domyślić się tego. Nie wspominałeś o nim prawie przez cały wieczór. Jeśli jednak uważasz, że to pomoże, cieszę się, że tam jedziesz.

Paul uśmiechnął się smutno.

- Wobec tego jesteś pierwsza. Nawet Mark nie był zachwycony, kiedy go o tym poinformowałem.

- Przejdzie mu to.

- Myślisz?

- Mam nadzieję. Pocieszam się w ten sposób, gdy mam kłopoty z moimi dziećmi.

Paul roześmiał się krótko i obejrzał.

- Chcesz już wracać? - spytał.

- Czekałam, kiedy to zaproponujesz. Uszy zaczynają mi marznąć.

Zawrócili i poszli przed siebie, stąpając po swoich śladach na piasku. Chociaż księżyc był ukryty za chmurami, przeświecał przez nie srebrzyście. Z daleka dobiegł pierwszy pomruk grzmotu.

- Jaki był twój mąż?

- Jack? - Zastanawiała się przez chwilę, czy spróbować zmienić temat, stwierdziła jednak, że nie ma to znaczenia. Komu niby Paul ma o tym powiedzieć? - Zupełnie inny niż ty - rzekła w końcu. - Jack uważa, że się już odnalazł. Tak się zdarzyło, że związał się z kimś, gdy jeszcze byliśmy małżeństwem.

- Przykro mi.

- Mnie też. A w każdym razie było mi przykro. Teraz nie ma to już takiego znaczenia. Staram się nie myśleć o tym.

Paul przypomniał sobie łzy, które widział wcześniej.

- I udaje ci się?

- Nie, ale nie ustaję w wysiłkach. Co innego mogę zrobić?

- Zawsze możesz pojechać do Ekwadoru.

Adrienne przewróciła oczami.

- Jasne, czy nie byłoby to miłe? Mogłabym wrócić do domu i powiedzieć coś w rodzaju: „Przykro mi, dzieciaki, ale musicie radzić sobie same, mamusia wybywa na pewien czas”. - Pokręciła głową. - Nie, na razie jestem upupiona. Przynajmniej dopóki nie złączą studiów. W tej

chwili potrzebna im jest stabilizacja, w takim stopniu, w jakim jest to możliwe w obecnej sytuacji.

- Jesteś chyba dobrą matką.
- Staram się. Ale moje dzieci nie zawsze są tego zdania.
- Popatrz na to w ten sposób: nadejdzie czas zemsty, kiedy będą mieli własne dzieci.
- Och, spodziewam się tego. Zaczęłam się nawet wprawiać. Może trochę frytek przed obiadem? Nie, oczywiście nie musicie sprzątać pokoju. Jasne, kładźcie się późno spać...

Paul uśmiechnął się znowu, myśląc, jak przyjemnie mu się z nią rozmawia. Jak jest mu z nią dobrze. W srebrzystym świetle poprzedzającym nadejście sztormu wyglądała pięknie i Paul nie mógł się nadziwić, jak też mąż mógł od niej odejść.

Szli z powrotem do domu spokojnym, wolnym krokiem, oboje pogrążeni w myślach, chłonąc dźwięki i widoki, żadne z nich nie odczuwało potrzeby mówienia.

To taki komfort psychiczny, pomyślała Adrienne. Zbyt wiele osób najwyraźniej uważa, że milczenie jest pustką, którą koniecznie trzeba wypełnić, jeśli nawet nie mają nic ważnego do powiedzenia. Doświadczyła tego mnóstwo razy podczas niezliczonych koktajli, na które chodziła z Jackiem. Najbardziej lubiła chwile, gdy udało jej się wymknąć niezauważenie i pobyć trochę na ustronnej werandzie. Czasami zdarzało się, że spotykała na niej drugą osobę, której nie znała, ale następowała tylko krótka wymiana spojrzeń i skinienie głową, jak gdyby na potwierdzenie zawartego w milczeniu paktu. Żadnych pytań, żadnych pogaduszek... zgoda.

Tutaj, na plaży, to uczucie powróciło. Wieczór był rześki, wiatr wiejący od oceanu igrał z jej włosami i szlifował skórę. Przed nią tańczyły cienie na piasku, przesuając się i zmieniając kształty, tworząc niemal rozpoznawalne wzory, a następnie znikając z pola widzenia. Ocean przypominał wir płynnego węgla. Wiedziała, że Paul również chłonie to wszystko. On też musiał zdawać sobie sprawę, że gdyby w tej chwili zaczęli rozmawiać, czar mógłby prysnąć.

Szli dalej w przyjaznym milczeniu. Adrienne z każdym krokiem zyskiwała większą pewność, że chce spędzić z nim więcej czasu. Ale nie było w tym nic dziwnego, prawda? On jest sam, ona również, samotni wędrowcy, którym sprawia przyjemność spacer po pustej piaszczystej plaży w położonej nad oceanem miejscowości o nazwie Rodanthe.

* * *

Po powrocie do domu weszli oboje do kuchni i zdjęli kurtki. Adrienne powiesiła swoją na wieszaku przy drzwiach, razem z szalikiem. Paul umieścił swoją obok.

Adrienne stuliła dłonie i podniosła do ust, ogrzewając je oddechem. Zauważyła, że Paul spojrział na zegar, następnie powiódł wzrokiem po kuchni, jak gdyby się zastanawiał, czy ich wspólny wieczór dobiegł już końca.

- Co powiedziałbyś na coś gorącego do picia? - zaproponowała spieszenie. - Mogę zaparzyć świeży dzbanek kawy bezkofeinowej.

- A masz może herbatę? - spytał.

- Chyba gdzieś tu widziałam. Zaraz sprawdzę.

Przeszła przez kuchnię, otworzyła szafkę obok zlewozmywaka, po czym odsunęła na bok różne artykuły, zadowolona, że nadarza się okazja, żeby spędzili razem trochę więcej czasu. Znalazła na drugiej półce pudełko herbaty Earl Grey i gdy się odwróciła, żeby mu pokazać, Paul pokiwał głową z uśmiechem. Okrążyła go, by wziąć czajnik. Nalewając wodę, miała świadomość, jak blisko siebie stoją. Kiedy czajnik zagwizdał, napełniła dwie filiżanki i poszli do salonu.

Zajęli swoje dawne miejsca w fotelach bujanych. Wygląd pokoju zmienił się, gdy słońce zaszło. W ciemności zrobiło się w nim przytulniej, zaciszniej.

Przez kolejną godzinę rozmawiali o tym i owym, popijając herbatę. Była to swobodna rozmowa przypadkowych znajomych. Jednakże w miarę upływu czasu, gdy wieczór się kończył, Adrienne zdała sobie sprawę, że zwierza się Paulowi z problemów z ojcem i obaw przed przyszłością. Paul wysłuchiwał kiedyś często podobnych historii. Jako lekarz stykał się z takimi sytuacjami. Ale zawsze do tej pory były to dla niego jedynie historie. Jego rodzice nie żyli, rodzice Marthy żyli i mieli się dobrze, mieszkali na Florydzie. Z miny Adrienne jednak mógł wyczytać, że jej problem jest tak trudny, że powinien cieszyć się, iż jego nie spotkało nic podobnego i nie musi stawić temu czoła.

- Może udałoby mi się pomóc w jakimkolwiek sposób? - zaproponował. - Znam mnóstwo specjalistów, którzy mogliby przejrzeć kartę jego choroby i zorientować się, czy nie da się czegoś dla niego zrobić.

- Dziękuję ci bardzo za dobre chęci, ale ja już próbowałam wszystkiego. Ostatni wylew naprawdę go pokonał. Jeśli nawet jest coś, co mogłoby odrobinę pomóc, nie widzę najmniejszej szansy na to, żeby mógł funkcjonować bez całodobowej opieki.

- Co zrobisz?

- Nie mam pojęcia. Mogę tylko mieć nadzieję, że Jack zmieni zdanie i pomoże finansowo w zapewnieniu właściwej opieki mojemu tacie. Stać go i powinien to zrobić. Był czas, że łączyła ich duża zażyłość. Jeśli jednak się na to nie zdobędzie, zacznę pracować na etacie, żeby starczyło mi na pokrycie kosztów.

- Czy nie możesz liczyć na żadną pomoc ze strony państwa?

Już wypowiadając te słowa, wiedział, jaka padnie odpowiedź.

- Niewykluczone, że ojciec spełnia niezbędne warunki, żeby otrzymać taką pomoc, ale na miejsce w dobrych placówkach tego typu trzeba czekać bardzo długo, poza tym dojazd do większości z nich zajmowałby kilka godzin, nie mogłabym więc odwiedzać go regularnie. A nie zrobię mu tego, żeby umieścić go w jakimś nie najlepszym domu opieki.

Adrienne umilkła, myśląc o przeszłości, to znów wracając do terażniejszości.

- Gdy ojciec odchodził na emeryturę - powiedziała w końcu - urządzono dla niego w fabryce małe przyjęcie pożegnalne. Pamiętam, że przypuszczałam, iż będzie mu brakowało codziennego chodzenia do pracy. Zaczął pracować w wieku piętnastu lat i w ciągu czterdziestu lat, które tam spędził, wziął tylko dwa dni zwolnienia. Obliczyłam to kiedyś... gdyby podsumować godziny, które spędził w fabryce, wyniosłoby to prawie dokładnie piętnaście lat jego życia. Gdy jednak spytałam go o to, zapewnił mnie, że nie będzie ani trochę tęsknił za pracą, że teraz, kiedy jest już wolny, ma wielkie plany. - Twarz Adrienne złagodniała. - Co oznaczało, że zaplanował, iż będzie robił to, na co ma ochotę, a nie to, co musi. Spędzał czas ze mną, z wnukami, ze swoimi książkami lub z przyjaciółmi. Zasłużył na kilka spokojnych lat po tym wszystkim, co przeżył, a potem... - Umilkła, spoglądając Paulowi w oczy. - Polubiłbyś go, gdybyś go poznał. Nawet teraz.

- Jestem tego pewien. Ale czy on polubiłby mnie?

Uśmiechnęła się.

- Mój tata lubi wszystkich. Zanim dostał kolejnych wylewów, nic nie sprawiało mu większej przyjemności od wysłuchiwania ludzi, żeby dowiedzieć się, o co im wszystkim chodzi. Był bezgranicznie cierpliwy i dlatego ludzie zawsze otwierali się przed nim. Nawet obcy. Mówili mu rzeczy, których nie powiedzieliby nikomu innemu, wiedzieli bowiem, że mogą mieć do niego absolutne zaufanie. - Adrienne zawahała się. - A wiesz, co zapamiętałam najlepiej? - Paul uniósł lekko brwi. - Coś, co mi zawsze powtarzał od czasów, gdy byłam małą dziewczynką. Nieważne, czy zrobiłam coś dobrze, czy źle, nieważne, czy byłam szczęśliwa, czy też smutna, mój tata

zawsze obejmował mnie i mówił: „Jestem z ciebie dumny”. - Przez chwilę Adrienne milczała. - Nie wiem, co tkwi w tych słowach, lecz zawsze mnie wzruszały. Z pewnością słyszałam je milionkrotnie, ale za każdym razem, gdy ojciec je wypowiadał, pozostawało we mnie uczucie, że będzie mnie kochał bez względu na wszystko. To zabawne, bo gdy już dorosłam, żartowałam z nim sobie na ten temat. Lecz nawet wtedy, gdy już szykowałam się do wyjścia, powtarzał to i tak, a mnie zawsze robiło się miękko na sercu. Paul uśmiechnął się ciepło.

- Twój ojciec naprawdę musi być niezwykłym człowiekiem.

- Bo jest - potwierdziła Adrienne, poprawiając się w fotelu. - I dlatego zrobię wszystko, żeby nie musiał opuścić tej placówki. To dla niego najlepsze miejsce pod słońcem. Przede wszystkim znajduje się blisko domu, a poza tym ojciec ma tam nie tylko wyjątkową opiekę, lecz traktują go jak człowieka, a nie wyłącznie pacjenta. Zasługuje na takie miejsce i przynajmniej tyle mogę dla niego zrobić.

- Ma wielkie szczęście, że trafiła mu się taka córka jak ty, troszcząca się o niego.

- Ja też mam szczęście. - Gdy wpatrzyła się w przeciwległą ścianę, jej wzrok wyraźnie się zamglił. Pokręciła głową, uprzytamniając sobie nagle, co mówi. - Ale słuchasz bez przerwy moich wynurzeń. Przepraszam.

- Nie masz powodu przepraszać. Cieszę się, że mi o tym opowiedziałas.

Pochyliła się z uśmiechem lekko do przodu.

- Czego ci najbardziej brakuje po rozwodzie?

- Myślałem, że zmieniamy temat.

- Teraz twoja kolej na zwierzenia.

- Przynajmniej tyle możesz zrobić? Adrienne wzruszyła ramionami.

- Coś w tym rodzaju. Ja się już wywnętrzyłam, teraz twoja kolej.

Paul udał, że ciężko wzdycha, i utkwiał wzrok w suficie.

- Dobra, a więc czego mi brakuje? - Złożył dłonie. - chyba pewności, że ktoś czeka na mnie, gdy wracam do domu po pracy. Zwykle wracałem bardzo późno i czasami Martha kładła się wcześniej spać. Jednakże świadomość, że ona tam jest, wydawała się naturalna i kojąca, traktowałem to jako coś naturalnego, niezmiennego. A tobie czego brakuje?

Adrienne odstawiła filiżankę z resztką herbaty na stolik między nimi.

- Zwykłych rzeczy. Kogoś, z kim mogłabym rozmawiać, jeść wspólne posiłki, krótkich porannych pocałunków, zanim jeszcze każde z nas umyło zęby. Lecz jeśli mam być szczerą, to

ponieważ mam dzieci, bardziej martwię się tym, czego im teraz brakuje, niż roztkliwiam nad sobą. To przede wszystkim z ich powodu odczuwam nieobecność Jacka. Myślę, że małe dzieci bardziej potrzebują matki niż ojca, ale gdy mają kilkanaście lat, potrzebują ojca. Zwłaszcza dotyczy to dziewczynek. Nie chcę, żeby moja córka nabrała przekonania, że wszyscy mężczyźni to dranie, którzy pozostawiają swoje rodziny, lecz jak mam ją przed tym ustrzec, skoro jej własny ojciec tak postąpił?

- Nie wiem. Adrienne pokręciła głową.
- Czy mężczyźni myślą o takich sprawach?
- Ci przyzwoici z pewnością myślą. Jak zresztą o wszystkich innych.
- Jak długo byłeś żonaty?
- Trzydzieści lat. A ty?
- Osiemnaście.
- Mówiąc między nami, mogliśmy to znaleźć, prawda?
- Co? Klucz do szczęśliwej przyszłości? Nie sędzę, żeby coś takiego w ogóle istniało.
- Chyba masz rację.

Usłyszeli dobiegające z przedpokoju bicie ściennego zegara. Gdy nastąpiła cisza, Paul potarł kark, zeszywniały z powodu długiego siedzenia za kierownicą samochodu.

- Chyba się już położę. Niedługo będzie jutro.
- Wiem - zgodziła się. - Myślałam właśnie o tym samym.

Nie wstali jednak od razu. Siedzieli jeszcze przez kilka minut w milczeniu, podobnie jak podczas spaceru po plaży. Od czasu do czasu Paul spoglądał w stronę Adrienne, odwracał jednak spojrzenie, zanim zdążyła go na tym przyłapać.

- Adrienne podniosła się z westchnieniem z fotela i wyciągnęła rękę po jego filiżankę.
- Zaniósę naczynia do kuchni. Idę tamtędy do sypialni. Podał jej filiżankę z uśmiechem.
- Miło spędziłem czas dzisiaj wieczorem.
- Ja również.

Po chwili Adrienne odprowadziła go wzrokiem, gdy wchodził na schody, po czym odwróciła się i zaczęła zamykać Gospodę.

Kiedy już znalazła się w swoim pokoju, rozebrała się i otworzyła walizkę, aby wyjąć piżamę. Podnosząc wzrok, uchwyciła swoje odbicie w lustrze. Całkiem nieźle, ale, obiektywnie

oceniając, wygląda na swój wiek. Pomyślała, że Paul zachował się bardzo miło, mówiąc, że niepotrzebna jej żadna operacja kosmetyczna.

Wiele czasu upłynęło od chwili, gdy ktoś sprawił, że poczuła się atrakcyjna.

Włożyła piżamę i wślizgnęła się do łóżka. Jean trzymała na stojaku stertę czasopism i Adrienne przeglądała artykuły przez kilka minut, zanim zgasła światło. Leżąc w ciemności, nie potrafiła przestać myśleć o wieczorze, który właśnie minął. Odtwarzała bez końca w pamięci ich rozmowy. Widziała, jak kąciki ust wykrzywają mu się do góry w uśmiechu, ilekroć powiedziała coś, co wydawało mu się zabawne. Przez całą godzinę kręciła się i przewracała, nie mogąc zmrużyć oka, coraz bardziej podenerwowana i absolutnie nieświadoma faktu, że w pokoju na górze Paul Flanner zachowuje się dokładnie tak samo.

ROZDZIAŁ 9

Mimo że Paul spuścił wieczorem żaluzje i zaciągnął zasłony, żeby raniem nie przeszkadzało mu światło, obudził się o świcie, a potem przez dziesięć minut gimnastykował się, żeby rozluźnić obolałe mięśnie.

Podciągnął żaluzje i wyjrzał przez okno. Nad wodą kłębiła się gęsta mgła, niebo miało stalowoszarą barwę. Pędziły po nim cumulusy, skręcając tuż nad linią brzegową. Pomyślał, że sztorm uderzy przed zapadnięciem nocy, choć raczej bardziej prawdopodobne, że stanie się to późnym popołudniem.

Przysiadł na brzegu łóżka, wkładając swój kostium do biegania, po namyśle włożył na to jeszcze wiatrówkę. Wyjął z szuflady drugą parę skarpetek i wsunął je na ręce. Potem zszedł cicho po schodach i rozejrzał się. Adrienne najwyraźniej jeszcze nie wstała i Paul poczuł ukłucie zawodu, że jej nie zobaczy, po czym się zastanowił, dlaczego jest to dla niego takie ważne. Odryglował drzwi i chwilę później maszerował ulicą, pozwalając, by jego ciało rozgrzało się, zanim puścił się biegiem.

Adrienne słyszała ze swojej sypialni, jak Paul schodzi po skrzypiących stopniach. Usiadła na łóżku, odrzuciła kołdrę i wsunęła stopy w kapcie, żałując, że nie zaparzyła mu kawy, żeby mógł się napić, kiedy wstanie. Nie była pewna, czy miał na to ochotę przed biegiem, lecz mogła mu przynajmniej zaproponować.

Paul poczuł, że napięcie mięśni i stawów zaczęło powoli ustępować, i przyśpieszył kroku. Nie biegał już tak szybko, jak wtedy gdy miał dwadzieścia czy trzydzieści lat, ale utrzymywał równe tempo i był coraz bardziej odprężony.

Nigdy nie uważał biegania za proste ćwiczenie. Osiągnął etap, w którym jogging nie sprawiał mu najmniejszej trudności. Przebiegnięcie dziesięciu kilometrów kosztowało go chyba mniej energii niż przeczytanie gazety. Traktował to jako formę medytacji, rzadką chwilę, kiedy mógł być sam.

Ranek był wspaniały na uprawianie joggingu. W nocy musiał padać deszcz, Paul widział krople na przednich szybach samochodów, pewnie jednak był słaby i minął szybko, większość nawierzchni zdążyła już bowiem wyschnąć. Kłaczki mgły snuły się wciąż w powietrzu, sunąc w widmowej procesji od domku do domku. Paul wolałby wprawdzie pobiegać po plaży, ponieważ rzadko trafiała mu się taka okazja, postanowił jednak, że spróbuje odnaleźć dom Roberta

Torrelsona. Biegł najpierw główną ulicą przez centrum, po czym skręcił w pierwszą przecznicę, rozglądając się po okolicy.

W jego ocenie Rodanthe było rzeczywiście tym, na co wyglądało - starą nadmorską wioską rybacką, miejscem, do którego nowoczesność docierała w żółwym tempie. Wszystkie domy były drewniane i choć niektóre z nich były w lepszym stanie od innych, z niewielkimi, ładnie utrzymanymi podwórkami i wąskimi grządkami, na których wiosną zakwitną kwiaty, Paul wszędzie, gdzie tylko spojrzął, widział ślady działania ostrego nadmorskiego klimatu. Niszczyły nawet domy, które nie miały więcej niż kilkanaście lat. Płoty i skrzynki na listy były upstrzone drobnymi dziurkami, wyżartymi przez sól i wilgoć, farba obłaziła, blaszane dachy pokrywały długie, szerokie smugi rdzy. Na podwórkach od frontu leżały porozrzucane najrozmaitsze przedmioty codziennego użytku, typowe dla tej części świata: lekkie łódki i niesprawne silniki łodzi, sieci rybackie, stanowiące dekorację, liny i łańcuchy, służące do trzymania obcych na dystans.

Niektóre domy były zwykłymi budami, miały niebezpiecznie pochylone ściany i wyglądały tak, jak gdyby kolejny silny wiatr groził im zawaleniem. Gdzieniedzie frontowe werandy zapadały się i żeby zapobiec całkowitemu obsunięciu, zostały podparte różnymi przedmiotami użytkowymi - betonowymi kostkami i ceglami, kantówkami, które sterczały od spodu niczym krótkie chińskie pałeczki.

Mimo bardzo wczesnej pory panował tutaj ruch, nawet w pozornie opuszczonych domostwach. Biegając, widział dym idący z kominów, przyglądał się, jak mężczyźni i kobiety zasłaniają okna dyktą. Powietrze zaczął wypełniać stuk młotków.

Skręcił w kolejną przecznicę, sprawdził na tabliczce jej nazwę i biegł dalej. W kilka minut później znalazł się na ulicy, na której mieszkał Robert Torrelson. Znał numer domu Torrelsona - trzydzieści cztery.

Minał numer osiemnasty, potem dwudziesty i podniósł wzrok, spoglądając przed siebie. Na pobliskiej posesji dwoje jej mieszkańców przerwało pracę i zagapiło się na biegnącego mężczyznę, w ich spojrzeniu czaiła się nieufność. Po chwili dotarł do domu Roberta Torrelsona i rzucił na niego okiem, starając się zrobić to w możliwie dyskretny sposób.

Był to dom, który nie różnił się od większości budynków na tej ulicy. Nie był szczególnie zadbane, ale też trudno nazwać go barakiem. Raczej znajdował się gdzieś pośrodku - rodzaj patowej sytuacji w walce o dom, toczony przez człowieka z naturą. Liczył przynajmniej pół

wieku, był jednopiętrowy, z blaszanym dachem. Ponieważ nie miał rynien, które odprowadzałyby wodę spływającą z dachu, deszcze przynieszone przez setki sztormów, poznały białą farbę szarymi smugami. Na werandzie stały dwa podniszczone fotele bujane, przysunięte do siebie. Wokół okien Paul dostrzegł długi sznur świątecznych lampek.

Na tyłach posesji znajdował się niewielki budynek gospodarczy, przez otwarte drzwi widać było dwa stoły warsztatowe, na których leżały sieci i wędkę, skrzynki i narzędzia. O ścianę stały oparte dwa bosaki i Paul dostrzegł też wiszący na kołku żółty błyszczący płaszcz przeciwdeszczowy. Z półmroku szopy wynurzył się nagle mężczyzna z wiadrem. Jego widok kompletnie zaskoczył Paula, zawrócił więc szybko, zanim mężczyzna zdążył zauważyć, że przygląda się domostwu. Pora była zbyt wczesna na wizytę, poza tym wołał nie składać jej w kostiumie do biegania. Podniósł brodę, wystawiając twarz na podmuchy wiatru, skręcił za róg i spróbował odnaleźć dawne tempo biegu.

Nie było to łatwe. Miał wciąż przed oczyma postać mężczyzny, co spowalniało jego ruchy i czyniło każdy kolejny krok trudniejszy od poprzedniego. Mimo chłodu, gdy wreszcie dobiegł z powrotem do Gospody, jego twarz lśniła od potu.

Ostatnie pięćdziesiąt metrów, dzielących go od pensjonatu, przeszedł, nie zważając na to, że marzną mu nogi. Jeszcze z drogi zobaczył, że w kuchni pali się światło. Uśmiechnął się, uświadamiając sobie, co to oznacza.

* * *

Podczas nieobecności Paula zadzwoniły dzieci Adrienne i rozmawiała z każdym z nich przez kilka minut, zadowolona, że mile spędzają czas ze swoim ojcem. Nieco później, o okrągłej godzinie, zadzwoniła do domu spokojnej starości.

Wiadomo, że ojciec nie mógł odebrać telefonu, toteż umówiła się z Gail, jedną z pielęgniarek, która robiła to za niego. Teraz podniosła słuchawkę po drugim sygnale.

- W samą porę - powiedziała Gail. - Właśnie mówiłam twojemu ojcu, że za chwileczkę zadzwonisz.

- Jak się dzisiaj czuje?

- Jest trochę zmęczony, ale poza tym wszystko w porządku. Zaczekaj moment, przyłożę słuchawkę do jego ucha.

Adrienne zamknęła oczy, słysząc w słuchawce świszczący oddech ojca.

- Cześć, tatusiu - powiedziała na przywitanie i przez kilka minut rozmawiała z nim tak jak zwykle, gdy siedziała przy jego łóżku. Opowiadała mu o Gospodzie, o plaży, o burzowych chmurach i błyskawicach; mimo że nie wspomniała o Paulu, zastanawiała, czy ojciec słyszy to samo drżenie w jej głosie, które ona wyczuwała, gdy skrętnie omijała imię mężczyzny.

* * *

Kiedy Paul wszedł po schodkach na werandę, a następnie do środka, w powietrzu unosił się smakowity zapach bekonu, jak gdyby zapraszając go do domu. Po sekundzie otworzyły się drzwi wahadłowe i z kuchni wyszła Adrienne. Miała na sobie dzinsy i jasnoniebieski sweter, podkreślający kolor jej oczu. W blasku poranka były niemal turkusowe i przywiodły mu na myśl czyste wiosenne niebo.

- Wcześniej wstałeś - zauważyła, wsuwając za ucho niesforny kosmyk włosów.

Paulowi ten gest wydał się osobliwie zmysłowy; patrząc na nią, otarł pot z czoła.

- Owszem, chciałem odwalić codzienne ćwiczenia, zanim tak naprawdę rozpocznie się dzień.

- Dobrze ci to zrobiło?

- Bywało, że czułem się lepiej, ale przynajmniej mam to z głowy. - Przesząpił z nogi na nogę. - A zmieniając temat, coś tutaj wspaniale pachnie.

- Zaczęłam szykować śniadanie, gdy cię nie było. - Wskazała gestem głowy przez ramię. - Czy chciałbyś zjeść teraz, czy też wolisz trochę odczekać?

- Jeśli pozwolisz, wezmę najpierw prysznic.

- Jasne. Miałam zamiar ugotować owsiankę, a to zajmie mi jakieś dwadzieścia minut. Jakie życzysz sobie jajka?

- Jajecznicę?

- Myślę, że sobie poradzę. - Umilkła, patrząc mu w oczy. Podobała jej się szczerść, jaką w nich widziała, toteż chciała przedłużyć tę chwilę. - No, muszę dopilnować bekonu, zanim całkiem się spali - rzekła w końcu. - Zobaczymy się niedługo?

- Jasne.

Paul odprowadził ją spojrzeniem, po czym ruszył po schodach do swego pokoju, kręcąc głową na myśl, jak ładnie wyglądała. Rozebrał się, wyplukał koszulę w umywalce i przewiesił ją przez stalowy pręt, na którym była zawieszona zasłona prysznicowa, i odkręcił kran. Tak jak uprzedzała Adrienne, upłynęła dobra chwila, zanim pociekła z niego ciepła woda.

Wziął prysznic, ogolił się, włożył drelichowe spodnie Dockers, koszulę z kołnierzykiem, mokasyny i zszedł do kuchni. Adrienne nakryła do stołu i właśnie stawiała na nim dwa ostatnie półmiski - jeden z tostami, drugi z pokrojonymi owocami. Przechodząc obok niej, Paul poczuł delikatny zapach jaśminowego szamponu, którym umyła rano włosy.

- Mam nadzieję, że nie będzie ci przeszkadzało, jeśli i tym razem zjem z tobą - powiedziała.

Paul wysunął krzesło.

- Ani trochę. Wręcz przeciwnie, myślałem o tym, że byłoby mi bardzo miło, gdybyś zechciała. Proszę - zaprosił ją gestem, żeby usiadła.

Pozwoliła, żeby podsunął jej krzesło, a potem przyglądała mu się, gdy sam zajmował miejsce przy stole.

- Próbowałam zdobyć gazetę - powiedziała Adrienne - ale stoisko w wielobranżowym sklepie było już puste, gdy tam dotarłam.

- Ani trochę mnie to nie dziwi. Od rana panuje duży ruch w miasteczku. Przypuszczam, że wszyscy myślą dzisiaj o tym, jak gwałtowna będzie wichura.

- Nie wydaje mi się, żeby było gorzej niż wczoraj.

- To dlatego że nie mieszkasz tutaj na stałe.

- Przecież to samo odnosi się do ciebie.

- Tak, ale ja przeżyłem już huragan. A właściwie, czy opowiadałem ci o przygodzie, którą przeżyłem dawno temu, gdy studiowałem jeszcze w college'u i pojechałem do Wilmington...

Adrienne roześmiała się.

- I przysięgłeś, że nigdy w życiu nikomu o tym nie opowiesz.

- Będzie to chyba łatwiejsze teraz, gdy już przełamałem pierwsze lody. I jest to moja jedyna dobra historia. Wszystkie inne są nudne.

- Nie wierzę. Z tego, co od ciebie usłyszałam, wnioskuję, że twoje życie z pewnością nie było nudne.

Paul uśmiechnął się niepewnie, nie bardzo wiedząc, czy Adrienne traktowała to jako komplement, ale mimo wszystko zadowolony.

- Co Jean zaleciła dzisiaj zrobić?

Adrienne nałożyła sobie jajecznicę i podsunęła mu półmisek.

- Trzeba pochować do szopy meble z obu werand, pozamykać okna i zamocować od wewnątrz żaluzje. Potem założyć panele przeciwsztormowe. Zapewne łączy się je ze sobą. Muszą mieć jakieś haki, za pomocą których zaczepia się je, żeby trzymały się dobrze na miejscu. Następnie umocnimy je poprzecznymi belkami, które powinniśmy znaleźć w piwnicy razem z panelami.

- Mam nadzieję, że Jean ma drabinę.

- Tak, stoi pod domem.

- Czyli nie jest źle. Ale, tak jak obiecałem wczoraj, z przyjemnością pomogę ci wszystko zabezpieczyć, gdy odbędę już dzisiejsze poranne spotkanie.

Adrienne spojrzała na niego.

- Dzięki. Naprawdę nie musisz tego robić.

- Żaden problem. I tak nie planowałem niczego innego. Poza tym, szczerze mówiąc, nie wytrzymałbym, siedząc beczynnie, podczas gdy ty robiłabyś wszystko. Miałbym okropne wyrzuty sumienia, mimo że jestem gościem.

- Dziękuję.

- Nie ma za co.

Nałożyli sobie jedzenia, nalali kawy i zaczęli jeść. Paul przyglądał się, jak Adrienne smaruje grzanekę masłem, pochłonięta chwilowo swoją czynnością. W szarym świetle poranka była naprawdę ładna, nawet ładniejsza, niż zapamiętał wczoraj.

- Wybierasz się na rozmowę z tamtym człowiekiem, o którym wspomniałeś, gdy piliśmy kawę?

Paul skinął twierdząco głową.

- Po śniadaniu.

- Nie wydajesz się specjalnie szczęśliwy z tego powodu.

- Nie wiem, czy mam się cieszyć, czy wręcz przeciwnie.

- Dlaczego?

Po chwili wahania opowiedział jej o Jill i Robercie Torrelsonach - o operacji, sekcji i wszystkim, co zdarzyło się później, łącznie z listem, który otrzymał. Gdy skończył, zobaczył, że Adrienne przygląda mu się z natężeniem.

- I nie masz pojęcia, o co mu chodzi?

- Przypuszczam, że ma to coś wspólnego z procesem.

Adrienne miała co do tego wątpliwości, ale pozostawiła jego słowa bez komentarza. Podniosła do ust filiżankę z herbatą.

- Cóż, niezależnie od tego, co się stanie, uważam, że postępujesz słusznie. Podobnie jak w wypadku Marka.

Paul nic nie odpowiedział. Fakt, że go rozumiała, znaczył dla niego bardzo dużo. Ostatnio zależało mu wyłącznie na tym, żeby ktoś go zrozumiał, i chociaż poznał Adrienne nie dalej jak wczoraj, wyczuwał, że jakimś dziwnym sposobem rozszyfrowała go trafniej niż zdecydowana większość osób.

A może, pomyślał, trafniej niż wszyscy.

ROZDZIAŁ 10

Po śniadaniu Paul wsiadł do samochodu i zaczął grzebać w kieszeni kurtki w poszukiwaniu kluczyków. Stojąca na werandzie Adrienne pomachała mu, jak gdyby chciała życzyć mu szczęścia. W chwilę później Paul obejrzał się przez ramię i wycofał samochód z podjazdu.

Dotarł pod dom Torrelsona w ciągu kilku minut. Mógł wprawdzie pójść piechotą, nie wiedział jednak, jak szybko pogorszy się pogoda, i nie chciał, żeby zaskoczył go deszcz. Nie miał też ochoty poczuć się złapany w potrzask, gdyby spotkanie potoczyło się nie najlepiej. Aczkolwiek nie wiedział, czego może się spodziewać, postanowił, że opowie Torrelsonowi o wszystkim, co się działo podczas operacji, lecz nie będzie snuł domysłów na temat przyczyn śmierci jego żony.

Zwolnił, zjechał na pobocze i wyłączył silnik. Siedział przez chwilę bez ruchu, zbierając siły psychiczne, po czym wysiadł i ruszył przed siebie chodnikiem. Sąsiad Torrelsonów stał na drabinie, zabijając dyktą okno. Popatrzył na Paula, próbując odgadnąć, kim jest. Paul nie zwrócił na niego uwagi, zapukał do drzwi Torrelsona i cofnął się o krok, czekając, aż mu ktoś otworzy.

Gdy nikt się nie pojawił, zapukał jeszcze raz, tym razem nasłuchując, czy ktoś się poruszył. Cisza. Przeszedł na róg werandy. Drzwi szopy były otwarte, ale nie było widać nikogo. Zastanawiał się, czy nie zawołać, lecz zrezygnował z tego pomysłu. Podeszedł do samochodu i otworzył go. Wyjął z apteczki długopis i wyrwał kartkę z notesu, który tam wcześniej włożył.

Napisał na niej swoje nazwisko, adres, pod którym się zatrzymał, jak również krótką wiadomość, że zostanie w miasteczku do wtorku rano, na wypadek gdyby Robert w dalszym ciągu chciał z nim porozmawiać. Zwinąwszy kartkę, wsunął ją w szparę między drzwiami a framugą, żeby się upewnić, że wiatr jej nie zwieje, i skierował się z powrotem do samochodu, czując równocześnie ulgę i rozczarowanie. Niespodziewanie usłyszał za sobą męski głos.

- Czy mogę w czymś panu pomóc?

Odwróciwszy się, Paul stwierdził, że nie zna mężczyzny stojącego przed domem. Mimo że nie pamiętał, jak wygląda Robert Torrelson - jego twarz była dla niego jedną z tysięcy - miał jednak pewność, że nigdy w życiu nie spotkał tego człowieka. Był to młody mężczyzna chyba po trzydziestce, chudy, o przerzedzających się czarnych włosach, ubrany w bluzę od dresu i robocze dżinsy. Wpatrywał się w Paula z taką samą nieufnością jak przedtem sąsiad. Paul odchrząknął.

- Tak - odpowiedział. - Szukam Roberta Torrelsona. Czy trafiłem pod właściwy adres?

Młody mężczyzna skinął głową, nie zmieniając wyrazu twarzy.

- Tak, mieszka tutaj. To mój tata.

- Zastąpiłem go?

- Jest pan z banku?

Paul pokręcił przecząco głową.

- Nie. Nazywam się Paul Flanner.

Minęła dobra chwila, zanim mężczyzna skojarzył nazwisko. Zmrużył oczy.

- Lekarz?

- Tak. Pański ojciec napisał do mnie list, w którym prosił o spotkanie i o rozmowę.

- Po co?

- Nie mam pojęcia.

- Nie wspomniał mi o liście. - Gdy mówił, widać było wyraźnie, jak zaczynają mu drgać mięśnie policzka.

- Czy może pan mu powiedzieć, że przyjechałem? Mężczyzna wsunął palec za pasek spodni.

- Nie ma go w domu.

Mówiąc to, rzucił szybkie spojrzenie na budynek. Ciekawe, pomyślał Paul, czy to prawda?

- Czy może pan przynajmniej powiedzieć mu, że tu byłem? Zostawiłem w drzwiach wiadomość, gdzie może mnie zastać.

- On nie chce z panem rozmawiać.

Paul opuścił wzrok, po czym znowu spojrzał na mężczyznę.

- Sądzę, że decyzja należy do niego, a nie do pana - rzekł.

- Za kogo pan się, do cholery, uważa? Myśli pan, że może przychodzić tutaj i rozmawiać o tym, co pan zrobił? Jak gdyby to była jakaś głupia pomyłka czy coś w tym rodzaju? - Paul nic nie odpowiedział. Wyczuwając jego rozterkę, młody mężczyzna zrobił krok w jego kierunku i mówił dalej, coraz bardziej podnosząc głos: - Wynos się pan stąd do diabła! Nie chcę pana tutaj więcej widzieć, mój ojciec również!

- Dobrze... już dobrze...

Syn Torrelsona chwycił stojącą nieopodal łopatę i Paul podniósł ręce, cofając się.

- Już sobie idę...

Odwrócił się i ruszył w stronę samochodu.

- I proszę nigdy tu się nie pokazywać! - krzyczał za nim mężczyzna. - Nie wydaje się panu, że już dość pan złego narobił? Moja matka umarła z pańskiej winy!

Paul wzdrygnął się, słysząc te słowa i czując, jak przenika go piekący ból. Wsiadł do samochodu, uruchomił silnik i odjechał, nie oglądając się za siebie.

Nie widział, że sąsiad zszedł z drabiny, żeby porozmawiać z młodym człowiekiem. Nie widział, jak ów odrzucił ze złością łopatę. Nie widział, jak w oknie salonu opadła uchylona zasłona.

Nie widział też, jak otworzyły się frontowe drzwi i pomarszczona, starcza dłoń podniosła jego kartkę, która spadła na podłogę werandy.

* * *

W kilka minut po tym incydencie Adrienne słuchała uważnie Paula zdającego jej relację z tego, co się stało. Znajdowali się w kuchni, Paul stał oparty o bufet, ze skrzyżowanymi ramionami, zapatrzony w okno. Jego twarz miała nieobecny, obojętny wyraz. Sprawiał wrażenie znacznie bardziej zmęczonego niż wczesnym rankiem. Gdy skończył swoją opowieść, Adrienne popatrzyła na niego ze współczuciem i troską.

- Przynajmniej próbowałeś - powiedziała.

- I na niewiele się to zdało, prawda?

- Może on nie wiedział o liście ojca? Paul pokręcił głową.

- Nie o to chodzi. Myślę o celu mojej podróży. Chciałem się przekonać, czy uda mi się choć częściowo coś naprawić albo przynajmniej jakoś wyjaśnić, ale nie będę miał nawet tej szansy.

- To nie twoja wina.

- To dlaczego tak się czuję?

W ciszy, która zapadła po jego słowach, Adrienne słyszała cichy terkot grzejnika.

- Ponieważ cię to obchodzi. Ponieważ się zmieniłeś.

- Nic się nie zmieniło. Oni wciąż uważają, że ją zabiłem - rzekł z westchnieniem. - Potrafisz sobie wyobrazić, jakie to uczucie... świadomość, że ktoś tak o tobie myśli?

- Nie - przyznała - nie potrafię. Nigdy nie musiałam przez coś takiego przechodzić.

Pokiwał ze znużeniem głową.

Adrienne przyglądała się Paulowi uważnie, czekając, by zmienił się wyraz jego twarzy, a gdy tak się nie stało, sama zdziwiona swoją reakcją, podeszła do niego bliżej i wzięła go za rękę. Sztywna w pierwszej chwili dłoń mężczyzny rozluźniła się i Adrienne poczuła, jak jego palce splatają się z jej palcami.

- Choć trudno się z tym pogodzić, a także bez względu na to, co kto powie - rzekła ostrożnie - musisz zrozumieć, że prawdopodobnie nie zmieniłbyś nastawienia syna, nawet gdyby udało ci się porozmawiać dzisiaj rano z jego ojcem. On cierpi i łatwiej mu oskarżać kogoś takiego jak ty, niż zaakceptować fakt, że czas jego matki dobiegł końca. I niezależnie od tego, co myślisz o dzisiejszym spotkaniu, idąc tam, zrobiłeś coś bardzo ważnego.

- Co takiego?

- Wysłuchałeś, co miał ci do powiedzenia syn. Mimo że jest w błędzie, dałeś mu szansę na wyrażenie uczuć. Pozwoliłeś, żeby zrzucił ciężar z serca, a ostatecznie prawdopodobnie o to przez cały czas chodziło ojcu. Ponieważ wie, że proces sądowy do niczego nie doprowadził, chciał, żebyś usłyszał osobiście, co on o tym myśli. Żebyś się dowiedział, co przeżywają oni. Paul roześmiał się ponuro.

- Dzięki temu czuję się o niebo lepiej.

Adrienne ścisnęła jego dłoń.

- A czego oczekiwałeś? Że wysłuchają tego, co masz do powiedzenia, i zaakceptują wszystko po kilku minutach? Po tym jak zaangażowali adwokata i ciągnęli proces, chociaż wiedzieli, że nie mają szansy na wygranie sprawy? Po tym jak poznali opinie innych lekarzy? chcieli, żebyś przyjechał i usłyszał, jak sprawa wygląda z ich strony. Nie ma innego wyjaśnienia.

- Paul nic nie odpowiedział, w głębi duszy jednak zdawał sobie sprawę, że Adrienne ma rację. Czemu więc nie dostrzegł tego wcześniej? - Rozumiem, że nie było ci łatwo tego słuchać - mówiła dalej - i wiem, że to oni się mylą i niesłusznie zrzucają na ciebie winę za to, co się stało. Ale dzisiaj dałeś im coś bardzo ważnego, a na dodatek jest to coś, czego nie musiałeś robić. Możesz być z tego dumny.

- Nic z tego, co się zdarzyło, nie zaskoczyło cię, mam rację?

- Prawdę mówiąc, nie zaskoczyło.

- Wiedziałaś o tym dzisiaj rano? Kiedy po raz pierwszy opowiedziałem ci o Torrelsonach?

- Nie byłam pewna, lecz przyszło mi na myśl, że tak właśnie może potoczyć się to spotkanie.

Jego twarz rozświetlił krótki uśmiech.

- Jesteś niesamowita, wiesz?

- Czy to ma być komplement, czy wręcz przeciwnie?

Paul uściśnął jej dłoń, myśląc, że przyjemnie jest czuć płynące z niej ciepło. Wydawało się to takie naturalne, niemal jakby trzymał ją w ten sposób od lat.

- Ogromny komplement - powiedział.

Odwrócił się do niej przodem, uśmiechając się łagodnie, i Adrienne uświadomiła sobie z zaskoczeniem, że Paul myśli o tym, żeby ją pocałować. Chociaż w głębi serca sama tego pragnęła, rozsądek przypomniał jej nagle, że jest właśnie piątek, poznali się wczoraj, a Paul wkrótce wyjeżdża. Ona zresztą również. Poza tym tak naprawdę nie jest sobą. Prawdziwa Adrienne jest kimś zupełnie innym - zatroskaną matką i córką, żoną, porzuconą przez męża dla innej kobiety, albo panią bibliotekarką porządkującą książki. Podczas tego weekendu stała się nową osobą, kimś, kogo sama ledwie poznawała. Żyła jak gdyby w sennym marzeniu i choć te sny były przyjemne, wiedziała, że są wyłącznie snami i niczym więcej.

Cofnęła się o krok, puszczając jego dłoń. Przez mgnienie oka dostrzegła błysk rozczarowania w oczach mężczyzny, natychmiast jednak odwrócił wzrok.

Uśmiechnęła się do niego, dokładając starań, żeby jej głos brzmiał spokojnie.

- Czy twoja propozycja pomocy w zabezpieczeniu domu przed sztormem jest wciąż aktualna? To znaczy, zanim zepsuje się pogoda?

- Jasne - potwierdził Paul. - Zaczekaj tylko chwilę, pójdę na górę włożyć jakieś robocze ubranie.

- Masz trochę czasu. I tak muszę pojechać najpierw do sklepu. Zapomniałam kupić lód i podręczną styropianową lodówkę, na wypadek gdyby zabrakło prądu i trzeba było jakoś przechować żywność.

- Rozumiem.

Umilkła, spoglądając na niego, po czym spytała:

- Dobrze się czujesz?

- Dam sobie radę.

Adrienne odczekała chwilę, jak gdyby chcąc się upewnić, że Paul mówi prawdę, po czym odwróciła się. Tak, pomyślała, postąpiła słusznie. Miała rację, wycofując się i puszczając jego

rękę. A jednak gdy już wyszła za drzwi, nie potrafiła oprzeć się uczuciu, że właśnie straciła szansę na znalezienie odrobiny szczęścia, za którym tęskniła od tak dawna.

* * *

Paul był na górze, kiedy usłyszał, że Adrienne uruchamia samochód. Podszedł do okna i zaczął przyglądać się spienionym falom, próbując poukładać sobie to, co się stało. Przed kilkoma minutami, gdy na nią patrzył, miał przez moment wrażenie, że łączy ich jakaś szczególna więź, coś między nimi zaiskrzyło, ale to uczucie minęło równie szybko, jak się pojawiło, a jej mina powiedziała mu dlaczego.

Potrafił zrozumieć obiekcje Adrienne - przecież wszyscy żyją w świecie wyznaczonym przez ograniczenia, które są wrogiem naturalności, nie pozwalają na spontaniczną próbę cieszenia się chwilą. Wiedział, że w ludzkim życiu przeważają pewne określone normy postępowania, aczkolwiek w ostatnich miesiącach zachowywał się tak, jak gdyby usiłował się im przeciwstawić, odrzucić pewne zasady, którym podporządkowywał się przez tyle lat.

To nie fair wobec Adrienne, że oczekiwał od niej tego samego. Jej życie wyglądało zupełnie inaczej - miała wiele obowiązków i, jak dała mu wczoraj jasno do zrozumienia, ta odpowiedzialność wymaga stabilizacji i możliwości przewidywania. Kiedyś znajdował się w takiej samej sytuacji i choć obecnie warunki pozwalały mu żyć według własnych zasad, zdawał sobie sprawę, że z Adrienne jest inaczej.

Mimo to jednak coś się zmieniło podczas jego krótkiego pobytu w Gospodzie. Nie był pewien, kiedy to nastąpiło. Może wczoraj, gdy spacerowali wieczorem po plaży albo gdy po raz pierwszy opowiedziała mu o swoim ojcu, a może nawet dzisiejszego ranka, kiedy jedli razem śniadanie w łagodnym świetle kuchennej lampy. Albo wtedy gdy stał blisko niej, trzymając ją za rękę i nie pragnąc nic innego, jak tylko przywrzeć delikatnie wargami do jej ust.

Nie miało to najmniejszego znaczenia. Wiedział natomiast z całą pewnością, że jest na najlepszej drodze do zakochania się w kobiecie o imieniu Adrienne, która wyręczała przyjaciółkę w prowadzeniu Gospody w małej nadmorskiej miejscowości w Karolinie Północnej.

ROZDZIAŁ 11

Robert Torrelson siedział w salonie przy wiekowym sekretarzyku z żaluzjowym zamknięciem, słuchając, jak jego syn zabija deskami okna z tyłu domu. W dłoni trzymał kartkę z wiadomością od Paula Flannera. Składał ją i rozkładał z nieobecną miną, wciąż nie mogąc uwierzyć, że lekarz naprawdę przyjechał.

Nie spodziewał się tego. Mimo że napisał do niego list z prośbą, był pewien, że Flanner go zignoruje. Był przecież dynamicznym lekarzem w metropolii, reprezentowanym przez prawników, którzy nosili krzykliwe krawaty i szykowne paski. Od przeszło roku wyglądało na to, że za grosz nie obchodzi ich ani on, ani jego rodzina. Zamożni mieszkańcy dużych miast są właśnie tacy. Cieszył się, że nigdy nie musiał przebywać w otoczeniu ludzi, którzy zarabiają na życie przerzucaniem papierków i nie czują się dobrze, gdy temperatura w biurze nie wynosi dokładnie dwadzieścia jeden stopni. Nie lubił też przestawać z ludźmi, którzy uważają się za lepszych od innych tylko dlatego, że otrzymali staranne wykształcenie albo mają więcej pieniędzy czy większy dom. Gdy spotkał Paula Flannera po zabiegu operacyjnym, lekarz zrobił na nim wrażenie człowieka tego właśnie pokroju. Był sztywny i pełen dystansu i chociaż próbował się usprawiedliwić, zrobił to tak lapidarnie, że Robert pozostał w przeświadczeniu, że to, co się stało, nawet na minutę nie spędzi mu snu z powiek.

I tu się pomylił.

Robert uznawał w życiu inne wartości. Były to wartości, które szanowali i które wpoili mu jego ojciec, dziadek i pradziadek. Zdołał prześledzić korzenie swojej rodziny na Outer Banks do dwustu lat wstecz. Jego przodkowie z pokolenia na pokolenie łowili ryby w wodach cieśniny Pamlico, gdy była ich taka obfitość, że wystarczyło raz zarzucić sieć, by wyciągnąć tyle, iż ledwie mieściły się na dziobie. Ale sytuacja kompletnie się zmieniła. Obecnie są kontyngenty, przepisy, licencje i wielkie firmy odławiające ryby, których jest mniej niż kiedykolwiek. Teraz, gdy Robert wsiada do łodzi, w większości wypadków uważa się za szczęściarza, jeśli uda mu się złowić dość, by wystarczyć na zapłacenie za paliwo, które zużywa.

Robert Torrelson miał sześćdziesiąt siedem lat, ale wyglądał o dziesięć lat starzej. Twarz miał ogorzałą, poznaczoną plamami, jego ciało powoli przegrywało walkę z czasem. Długa blizna przecinała mu policzek od lewego oka do ucha. Cierpiał na artretyzm, bolały go ręce,

brakowało mu prawego serdecznego palca, który wkręcił się w linę kołowrotu podczas wyciągania sieci z wody.

Jill nie przeszkadzał jednak żaden z tych mankamentów. A teraz Jill odeszła na zawsze.

Na sekretarzyku stała jej fotografia i Robert łapał się często na tym, że wpatruje się w nią, ilekroć zostaje sam w pokoju. Tęsknił za wszystkim, co wiązało się z żoną. Za tym jak rozcierała mu ramiona, gdy wracał do domu w mroźne zimowe wieczory, jak siadywali przytuleni do siebie na werandzie z tyłu domu, słuchając dobiegającej z radia muzyki. Brakowało mu jej zapachu, gdy pudrowała sobie dekolt, zapachu, który był naturalny i czysty, świeży jak woń noworodka.

Paul Flanner zabrał mu to wszystko. Wiedział, że Jill byłaby tutaj z nim, gdyby tamtego dnia nie poszła do szpitala.

Jego syn miał już swoje pięć minut. Teraz przyszła kolej na niego.

* * *

Adrienne odbyła krótką podróż do miasta i wjechała na niewielki zwirowany parking przed wielobranżowym sklepem. Odetchnęła z ulgą, widząc, że sklep jest otwarty. Na parkingu stały jeszcze trzy byle jak zaparkowane samochody, wszystkie pokryte cieniutką warstwą soli. Przed sklepem stało dwóch starszych mężczyzn w baseballowych czapczkach. Palili papierosy i popijali kawę. Przyglądając się Adrienne wysiadającej z samochodu, przerwali rozmowę. Gdy mijala ich, wchodząc do sklepu, skinęli jej głowami na powitanie.

Był to typowy dla tej okolicy wiejski sklep - porysowana drewniana podłoga, podsufitowe wentylatory, półki zapchane do granic możliwości tysiącami najrozmaitszych artykułów. Obok kasy stała mała beczułka z ogórkami konserwowymi, przeznaczonymi do sprzedaży luzem. Obok niej w drugim pojemniku znajdowały się prażone orzeszki ziemne. Z tyłu był ustawiony nieduży grill, gdzie można było kupić upieczone na poczekaniu hamburgery i kanapki z rybą. Mimo że za ladą nie było nikogo, w powietrzu unosiła się woń smażeniny.

Maszyna do lodu była umieszczona w drugim końcu sklepu, obok chłodni z piwem i wodą mineralną i Adrienne skierowała się prosto w tamtą stronę. Wyciągając rękę, żeby otworzyć drzwiczki, dostrzegła swoje odbicie w błyszczącej jak lustro powierzchni. Zastygła na chwilę w bezruchu, próbując spojrzeć na siebie oczyma obcego człowieka.

Kiedy ostatnio - zastanawiała się - ktoś uznał ją za pociągającą? Albo miał ochotę ją pocałować, choć dopiero się poznali? Gdyby zadano jej to pytanie przed przyjazdem do Rodanthe, odpowiedziałaby bez chwili wahania, że nic takiego jej się nie przytrafiło od dnia, w

którym Jack wyprowadził się z domu. Ale nie byłaby to w stu procentach prawda. W każdym razie nie można porównywać obu sytuacji. Jack był jej mężem, a nie obcym człowiekiem, ponieważ zaś spotykali się przez dwa lata, zanim stanęli na ślubnym kobiercu, minęło już około dwudziestu trzech lat od chwili, gdy doświadczyła czegoś podobnego.

Oczywiście, gdyby Jack nie odszedł, pewnie żyłaby z tą wiedzą i nigdy by się nad tym nie zastanawiała. Teraz jednak wydało jej się to niemożliwe. Przeszło połowa życia minęła jej bez zainteresowania atrakcyjnego mężczyzny i niezależnie od tego, jak bardzo starała się przekonać samą siebie, że odsunęła się od Paula, kierując się po prostu zdrowym rozsądkiem, nie mogła przestać myśleć, że wpłynął na to również fakt, iż przez dwadzieścia trzy lata wyszła z wprawy.

Bezsprzecznie Paul ją pociągał. Nie tylko dlatego, że był przystojny i interesujący, a nawet czarujący na swój spokojny sposób. Ani też dlatego, że sprawił, iż poczuła się godna pożądania. Nie, najbardziej ujęła ją jego autentyczna gotowość zmiany - chęć bycia lepszym człowiekiem, niż był dotąd. Znała przedtem w życiu ludzi podobnych do niego - lekarze, prawnicy często są nałogowymi pracoholikami - ale tym razem spotkała kogoś, kto nie tylko postanowił, że zmieni zasady, którymi zawsze się kierował, lecz uczynił to w taki sposób, o jakim inni ludzie baliby się nawet pomyśleć.

Doszła do wniosku, że jest w tym coś szlachetnego. Chciał usunąć słabe punkty, które w sobie widział, pragnął nawiązać kontakt ze swoim przebywającym w odległym kraju synem, przyjechał tutaj, ponieważ obcy człowiek, który żądał od niego zadośćuczynienia, przysłał mu list z prośbą o spotkanie.

Kto zrobiłby coś takiego? Ile potrzeba siły psychicznej, żeby zdobyć się na to? Albo odwagi? Adrienne pomyślała, że ona z pewnością nie ma jej tyle. Ani też żadna ze znajomych jej osób. I chociaż próbowała wyprzeć się tego, cieszyło ją, że ktoś taki jak on uważał ją za atrakcyjną.

Zastanawiając się nad tym wszystkim, Adrienne chwyciła dwie ostatnie torebki lodu oraz podręczną lodówkę ze styropianu i podeszła z zakupami do kasy. Zapłaciwszy, wyszła ze sklepu i skierowała się do samochodu. Jeden ze starszych mężczyzn siedział wciąż na werandzie, a gdy skinęła mu głową na pożegnanie, zrobił dziwną minę jak ktoś, kto tego samego dnia był obecny na ślubie i na pogrzebie.

* * *

Podczas jej krótkiej nieobecności niebo pociemniało. Kiedy wysiadła z samochodu, aż się zachwiała pod silnym uderzeniem wiatru. Nacierając na Gospodę, zaczynał gwizdać niemal upiornie, niczym widmowy flet, grający tylko na jednej nucie. Chmury kłębiły się i ścierały, przesuając się całymi ławicami nad głową. Powierzchnia oceanu była upstrzona aż po widnokrąg białymi grzywaczami, fale przelewały się znacznie poza wskaźnik maksymalnego przyływu z poprzedniego dnia.

Wyjmując lód z samochodu, Adrienne dostrzegła Paula wynurzającego się zza bramy.

- Zacząłeś beze mnie? - zawołała.

- Nie, właściwie nie. Sprawdzalem, czy uda mi się znaleźć wszystkie potrzebne rzeczy. -

Wskazał na zakupy. - Pomóc ci to zanieść?

Adrienne pokręciła przecząco głową.

- Dam sobie radę, nie ma tu nic ciężkiego. - Kiwnęła głową w stronę drzwi. - Ale czas zacząć zabezpieczać dom. Czy nie masz nic przeciwko temu, że pójde do twojego pokoju i opuszczę żaluzje?

- Ależ skąd, proszę bardzo.

Adrienne weszła do kuchni i postawiła styropianowy pojemnik obok lodówki, przecięła nożem woreczki z lodem i wysypała do niego ich zawartość. Wyjęła trochę sera, owoce, które zostały po śniadaniu, oraz kurczaka z wczorajszej kolacji, upchnęła je razem z lodem, myśląc, że nie jest to może najwspanialszy posiłek, ale całkiem wystarczający z braku czego innego. Potem, stwierdziwszy, że jest jeszcze trochę miejsca, położyła na wierzchu butelkę wina, czując zakazany dreszcz emocji na myśl o tym, że będzie je piła później z Paulem.

Odpędzając to uczucie, przez następne kilka minut sprawdzała, czy wszystkie okna są zamknięte, i spuściła żaluzje. Zaczęła od parteru, a następnie przeszła do pustych pokoi gościnnych, a na końcu do pokoju, w którym spał Paul.

Gdy tam zajrzała, otworzywszy drzwi, zwróciła uwagę, że Paul pościelił łóżko. Jego worki podróżne leżały starannie złożone obok komody. Ubrania, które miał na sobie rano, znajdowały się już na swoim miejscu, mokasyny stały równiutko obok siebie na podłodze pod ścianą, czubkami do zewnątrz. Pomyślała, że jej dzieci mogłyby się czegoś od niego nauczyć na temat zalet utrzymywania porządku w pokoju.

W łazience zamknęła małe okno. Przy okazji wypatrzyła mydelniczkę i pędzel do golenia, leżące obok maszynki do golenia przy umywalce. Był tam również flakonik z wodą kolońską.

Mimo woli wyobraziła sobie Paula stojącego nad umywalką dzisiejszego ranka. W tym samym momencie instynkt podpowiedział jej, że pragnął wtedy mieć ją koło siebie.

Pokręciła głową, czując się dziwnie, jak gdyby była nastolatką myszkującą w sypialni rodziców, i podeszła do okna przy łóżku Paula. Gdy się do niego zbliżała, zobaczyła, że Paul niesie z werandy jeden z foteli bujanych, żeby schować go w piwnicy.

Poruszał się jak człowiek młodszy o dwadzieścia lat. Jack różnił się bardzo od niego. Przez lata przybyło mu sporo centymetrów w pasie z powodu nadużywania koktajli i brzuch trząsał mu się, gdy zajmował się czymkolwiek, co wymagało ruchu.

Paul był inny. Wiedziała, że Paul absolutnie w niczym nie przypomina Jacka, i nagle, właśnie wtedy, w jego pokoju, Adrienne po raz pierwszy ogarnęło nieuchwytnie uczucie niespokojnego oczekiwania, przybliżone do tego, co może czuć hazardzista, gdy ma nadzieję na szczęśliwy rzut kostką.

* * *

W piwnicy Paul przygotowywał sprzęt do zabezpieczenia budynku.

Panele przeciwsztormowe, wykonane z falistej blachy aluminiowej, miały siedemdziesiąt pięć centymetrów szerokości i metr osiemdziesiąt wysokości i na każdym było zaznaczone niezmywalnym flamastrem, do którego okna służy. Paul zaczął zdejmować je po kolei ze sterty i odkładać systematycznie na bok, grupując odpowiednio i planując w myśli, co ma robić.

Właśnie kończył, gdy Adrienne wróciła na dół. W oddali rozległ się długi, niski grzmot, przetaczając się powoli nad wodą. Temperatura wyraźnie zaczęła spadać.

- Jak ci idzie? - spytała. Pomyślała, że jej głos zabrzmiał obco, jak gdyby należał do innej kobiety.

- Lepiej, niż się spodziewałem - odpowiedział Paul. - Muszę tylko dopasować panele i wsunąć je odpowiednio w szyny, a następnie zamocować dobrze zaciski.

- A co z poprzeczkami przytrzymującymi panele?

- Też nie najgorzej. Złącza są już gotowe, muszę więc tylko ułożyć kantówki na podpórkach i przybić kilkoma gwoździami. Tak jak powiedziała Jean, to robota dla jednej osoby.

- Myślisz, że zajmie ci to dużo czasu?

- Pewnie z godzinkę. Możesz zaczekać w środku, jeśli wolisz.

- Czy mogłabym coś zrobić? To znaczy pomóc?

- Właściwie nie, ale jeśli masz ochotę, możesz dotrzymać mi towarzystwa.

Adrienne uśmiechnęła się, słysząc w jego głosie wyraźne zaproszenie. Podobało jej się to.
- No dobrze, ubiłeś interes.

Przez następną godzinę, a może odrobinę dłużej, Paul przechodził kolejno od okna do okna, zakładając panele przeciwsztormowe, podczas gdy Adrienne mu asystowała. Przez cały czas czuł na sobie jej spojrzenie i był równie speszony jak dzisiejszego ranka w kuchni, kiedy puściła nagle jego dłoń.

Po kilku minutach zaczął kropić deszcz, który z każdą chwilą stawał się bardziej rześisty. Adrienne przysunęła się bliżej ściany domu, nie chcąc przemoknąć, nie na wiele się to jednak zdało z powodu zawirowań wiatru. Paul ani nie przyśpieszył, ani nie zwolnił - deszcz i wiatr zdawały się nie robić na nim żadnego wrażenia.

Jeszcze jedno okno zostało zabezpieczone, potem następne. Paul wsuwał panel, mocował haczykami, przesuwiał drabinę. Gdy wszystkie okna były zasłonięte i Paul zaczął umacniać je kantówkami, niebo nad oceanem rozświecilały błyskawice i lało już jak z cebra. Mimo to nie przerwał pracy. Każdy gwóźdź został wbity czterema rytmicznymi uderzeniami, jak gdyby Paul od lat zajmował się stolarką.

Deszcz nie przeszkadzał im w rozmowie. Adrienne zauważyła, że Paul wybierał lekkie tematy, chcąc uniknąć fałszywej interpretacji czegokolwiek. Opowiedział jej o tym, co musieli naprawiać razem z ojcem na farmie, i o tym, że spodziewa się, iż tego typu prace czekają go również w Ekwadorze. Żartował, że dobrze się złożyło i bardzo mu się przyda ta mała zaprawa.

Adrienne, słuchając jego opowieści dotyczących różnych spraw, miała wrażenie, że Paul daje jej trochę luzu, którego, jak sądził, potrzebowała. Gdy tak mu się przyglądała, zrozumiała nagle, że absolutnie nie ma zamiaru trzymać się od niego na dystans. Osobowość i powierzchowność Paula sprawiły, że zatęskniła za czymś, czego nigdy nie знаła. Wszystko, co robił, każda czynność wydawała się w jego wykonaniu łatwa, a biodra i nogi w dżinsach, kiedy stał wysoko nad nią na drabinie, miały świetny kształt, oczy zaś zawsze odzwierciedlały jego myśli i uczucia. Stojąc w ulewnym deszczu, czuła magnetyzm tego człowieka i uświadomiła sobie, że sama chciałaby mieć jego cechy.

Gdy Paul wreszcie skończył, jego bluza i kurtka były przemoknięte na wylot, twarz pobiładła mu z zimna. Schował drabinę i narzędzia do piwnicy, po czym stanął obok Adrienne na werandzie. Przeczesała palcami włosy, odgarniając je z twarzy. Łagodne loki zniknęły, po

makijażu nie było śladu, zastąpiło je naturalne piękno. Mimo że miała na sobie grubą kurtkę, Paul wyczuwał pod nią ciepłe kobiece ciało.

Właśnie w tej chwili, kiedy stali pod daszkiem werandy, sztorm rozpętał się z całą gwałtownością. Długa błyskawica połączyła niebo z oceanem, rozległ się huk, jak gdyby zderzyły się samochody pędzące po autostradzie. Wiał porywisty wiatr, wyginając gałęzie drzew w jednym kierunku. Deszcz padał ukośnie, jak gdyby próbował pokonać siłę przyciągania ziemskiego.

Przez jakiś czas po prostu patrzyli, wiedząc, że za chwilę deszcz nie będzie miał znaczenia. Potem, poddając się w końcu temu, co ewentualnie mogło się wydarzyć, odwrócili się i weszli bez słowa do domu.

ROZDZIAŁ 12

Przemoczeni i zziębnięci, udali się do swoich pokojów. Paul zrzucił ubranie i odkręcił kran. Czekał, aż zza zasłony zaczęła wydobywać się para, i dopiero wtedy wskoczył pod prysznic. Minęło dobre kilka minut, zanim poczuł, że jego ciało zaczyna się rozgrzewać. Mimo że stał pod prysznicem dużo dłużej niż zwykle i ubierał się powoli, Adrienne nie było jeszcze na dole, gdy tam wrócił.

Przy zasłoniętych szczelnie oknach w domu panował mrok i Paul zapalił światło w salonie, zanim przeszedł do kuchni, żeby nalać sobie filiżankę kawy. Deszcz bębnił wściekle w panele przeciwsztormowe i ten dźwięk rozchodził się wibrującym echem po całym domu. Grzmiało bez przerwy, huk dochodził jednocześnie z bliska i z daleka, przypominało to dudnienie pociągów na ruchliwej stacji. Paul wrócił z kawą do salonu. Chociaż paliła się lampa, ciemne okna stwarzały złudzenie, że zapadł już wieczór. Paul podszedł do kominka.

Otworzył szyber i włożył do paleniska trzy polana, układając je tak, żeby uzyskać dobry przepływ powietrza, następnie dorzucił trochę podpałki. Rozejrzał się za zapalkami i znalazł je wreszcie w drewnianej skrzyneczce na gzymsie kominka. Gdy zapalił pierwszą, w powietrzu rozeszła się woń siarki.

Podpałka była sucha i zajęła się szybko. Niebawem usłyszał dźwięk przypominający trzask miętego papieru; zaczęły zajmować się również polana. Po kilku minutach dębowe szczapy rozpały się na dobre, wydzielając ciepło, i Paul przysunął fotel bliżej kominka.

Jest przyjemnie, pomyślał, wstając z bujaka, ale czegoś jeszcze brakuje. Przeszedł przez pokój i zgasił światło.

Uśmiechnął się do siebie. Tak jest lepiej. O niebo lepiej.

* * *

W swoim pokoju Adrienne nie śpieszyła się. Gdy wrócili do domu, postanowiła pójść za radą Jean i zaczęła napełniać jacuzzi. Nawet gdy zakręciła kran i weszła do wanny, słyszała szum wody w rurach i wiedziała, że Paul bierze długi prysznic na górze. Było coś zmysłowego w tej świadomości i Adrienne poddała się uczuciu, które ją ogarnęło.

Dwa dni temu nie umiałaby sobie nawet wyobrazić tego, co się jej przydarzyło, a tym bardziej nie podejrzewała siebie, że stać ją na takie uczucia wobec kogokolwiek, nie mówiąc już

o dopiero co poznanym mężczyźnie. Życie nie pozwalało jej na tego rodzaju historie, w każdym razie ostatnio. Łatwo było zwać winę na dzieci albo wmawiać w siebie, że obowiązki nie pozwalają jej na żadne przyjemności, ale była to tylko częściowo prawda. Wiązało się to również z tym, jaką osobą się stała w następstwie rozvodu.

Tak, czuła się zdradzona i była wściekła na Jacka. Każdy powinien to zrozumieć. Lecz fakt, że mąż zostawił ją dla innej kobiety, pociągał za sobą pewne skutki i żeby nie wiem jak starała się ich nie rozpamiętywać, czasami nie mogła nic na to poradzić. Jack ją odepchnął, odrzucił też życie, które spędzili razem. Był to miazdzący cios dla niej jako żony i matki, ale też jako kobiety. Jeśli nawet - jak twierdził - nie planował, że zakocha się w Lindzie, i zaskoczyło to jego samego, nie było przecież tak, że po prostu poddał się fali uczucia, nie podejmując po drodze świadomych decyzji. Musiał myśleć o tym, co robi, musiał zastanawiać się nad perspektywami, gdy zaczął spotykać się z Lindą. I niezależnie od tego jak bardzo usiłował bagatelizować to, co się stało, Adrienne odbierała tę sytuację tak, jak gdyby powiedział jej, że Linda nie tylko jest pod każdym względem lepsza od niej, lecz że ona sama nie jest warta czasu i wysiłku, jaki trzeba poświęcić na naprawienie tego, co w jego odczuciu popsuło się w ich małżeństwie.

Jak miała zareagować na ten rodzaj całkowitego odrzucenia? Łatwo było innym mówić, że nie ma to nic wspólnego z nią, że Jack przeżywa kryzys wieku średniego, ale oddziaływało to fatalnie na osobę, za jaką się uważała. Godziło to zwłaszcza w jej poczucie kobiecości. Trudno myśleć o zmysłowych rozkoszach, gdy kobieta nie czuje się atrakcyjna, a trzy kolejne lata bez randki przyczyniły się jeszcze do pogłębienia jej kompleksu niższości.

I jak sobie z tym radziła? Poświęciła życie dzieciom, ojcu, domowi, pracy, rachunkom. Świadomie czy podświadomie przestała robić rzeczy, które dawałyby jej możliwość pomyślenia o sobie. Skończyły się odprężające rozmowy przez telefon z przyjaciółkami, spacerzy czy kąpiele, a nawet praca w ogródku. Wszystko, co robiła, miało konkretny cel, i choć wierzyła, że w ten sposób prowadzi zdyscyplinowane życie, teraz zrozumiała, że to był błąd.

W każdym razie wcale jej to nie pomogło. Była stale czymś zajęta, od chwili gdy wstała z łóżka aż do późnego wieczora, kiedy kładła się spać, a ponieważ sama ograbiła siebie z jakiegokolwiek możliwości nagrody, nie było na co czekać. Cały dzień miała wypełniony różnymi uciążliwymi obowiązkami, które wykończyłyby każdego. Uzmysłowała sobie nagle, że

wyrzekając się drobnych przyjemności, które czynią życie interesującym, zrobiła wszystko, żeby zapomnieć, kim jest naprawdę.

Przypuszczała, że Paul już to o niej wie. I w pewnym sensie dzięki spędzonym z nim chwilom sama zdała sobie sprawę z wielu rzeczy, które jej dotyczyły.

Ten weekend jednak nie tylko pozwolił jej uświadomić sobie błędy popełnione w przeszłości. Wiązał się również z jej przyszłością, z tym, jakie życie będzie odtąd pędziła. Jej przeszłość została poza nią, nie mogła już nic zrobić, ale przyszłość wciąż stała przed nią otworem. Adrienne nie chciała przeżyć reszty życia, czując się tak, jak czuła się przez ostatnie trzy lata.

Ogoliła nogi i leżała w wannie jeszcze przez kilka minut, na tyle długo, że zniknęły ostatnie bąbelki piany i woda zaczęła stygnąć. Wytarła się i - wiedząc, że Jean nie miałaby nic przeciwko temu - sięgnęła po balsam stojący na półeczce. Wtarła go najpierw w nogi i brzuch, następnie piersi i ramiona, ciesząc się, że jej skóra w widoczny sposób ożywa.

Owinąwszy się ręcznikiem, podeszła do swojej walizki. Siłą przyzwyczajenia sięgnęła po dzinsy i sweter, ale po wyjęciu obu tych rzeczy, odłożyła je na bok. Skoro myślę poważnie o zmianie stylu życia, doszła do wniosku, mogą równie dobrze zacząć od tej chwili.

Nie przywiozła ze sobą wiele rzeczy, z pewnością nic wytwornego, lecz miała czarne spodnie i białą bluzkę, którą dostała od Amandy na gwiazdkę. Zabrała je ze sobą, powodowana niejasną nadzieją, że może wybierze się gdzieś któregoś wieczoru, i choć teraz nie wybierała się nigdzie, pomyślała, że to chyba również doskonała okazja, żeby je włożyć.

Wysuszyła suszarką włosy i zakręciła je. Potem przyszła kolej na makijaż - tusz do rzęs i róż w pudrze, szminkę, którą kupiła kilka miesięcy temu u Belka i której bardzo rzadko używała. Zbliżając twarz do lustra, dodała odrobinę cienia do powiek, tylko tyle, żeby podkreślić kolor oczu, jak zwykła czynić w pierwszych latach małżeństwa.

Gdy już była gotowa, zaczęła poprawiać bluzkę, aż wreszcie, zadowolona z efektu, uśmiechnęła się do swego odbicia w lustrze. Już bardzo dawno nie wyglądała tak dobrze.

Wyszła w końcu z sypialni. Przechodząc przez kuchnię, poczuła aromat kawy. Właśnie kawę piła zwykle w takim dniu jak ten, zwłaszcza wczesnym popołudniem, zamiast jednak nalać sobie filiżankę, wyjęła butelkę wina, która została w lodówce, następnie wzięła korkociąg i dwa kieliszki. Czuła się jak kobieta światowa, miała wrażenie, że nareszcie stała się na powrót panią swego życia.

Niosąc wszystko do salonu, zauważyła, że Paul napalił w kominku, co w jakiś sposób zmieniło pokój. Można by pomyśleć, że przewidział zmianę jej nastroju. Na twarz Paula padał odblask płomieni i choć weszła cichutko, wiedziała, że wyczuł jej obecność. Odwrócił się, żeby coś powiedzieć, ale gdy zobaczył Adrienne, z jego ust nie wydobyły się żadne słowa. Siedział bez ruchu, wpatrując się w nią.

- Masz dość? - spytała w końcu.

Paul pokręcił przecząco głową, nie spuszczać z niej wzroku.

- Nie... ani trochę. Wyglądasz... pięknie.

Adrienne uśmiechnęła się nieśmiało.

- Dziękuję - odpowiedziała cicho, niemal szeptem, głosem znanym jej z dalekiej przeszłości.

Przypatrywali się sobie dalej, aż w końcu Adrienne uniosła lekko butelkę.

- Napijesz się trochę wina? - spytała. - Wiem, że zaparzyłeś kawę, ale pomyślałam, że przy tej pogodzie wino może nam poprawić humor.

Paul odchrząknął.

- Miałaś świetny pomysł. Czy chcesz, żebym to ja otworzył butelkę?

- Lepiej zrób to, jeśli nie lubisz wina z pływającymi okruchami korka. Nigdy nie miałam smykałki do takich spraw.

Gdy Paul wstał z fotela, podała mu korkociąg. Odkorkował butelkę kilkoma zręcznymi ruchami, Adrienne zaś podsunęła mu trzymane w obu rękach kieliszki. Nalał, odstawił butelkę na stolik i wziął od niej swoje wino. Gdy siadali, Adrienne zauważyła, że fotele na biegunach stoją bliżej siebie niż wczoraj wieczorem.

Upiła łyk wina, po czym opuściła dłoń z kieliszkiem, zadowolona zarówno ze swego wyglądu, jak i samopoczucia, ze smaku i aromatu wina, z samego pokoju. Migotliwy odblask płonących polan sprawiał, że cienie tańczyły wokół nich. Strumienie deszczu uderzały o ściany.

- Tu jest wspaniała - powiedziała. - Cieszę się, że rozpalisz ogień na kominku.

W ogrzewającym się powietrzu Paul poczuł delikatną woń jej perfum i poprawił się w fotelu.

- Ciągle jeszcze byłem przemarznięty po tym lodowatym prysznicu na dworze - zauważył.

- chyba z każdym rokiem potrzebuję więcej czasu na rozgrzania się.

- Mimo takiego wysiłku fizycznego? Poza tym myślałam, że zajmujesz się odwracaniem niszczącego działania czasu.

Paul roześmiał się cicho.

- Chciałbym.

- Wygląda na to, że dobrze sobie radzisz.

- Nie widzisz mnie rano.

- Ale przecież rano uprawiasz jogging.

- Mam na myśli te chwile, zanim jeszcze zacznę biegać. Kiedy zwlekam się z łóżka, ledwo się ruszam. Kuśtykam jak staruszek. Całe to bieganie przez tyle lat musiało dać się we znaki.

Gdy kołysali się rytmicznie w fotelach, Paul widział, jak w jej oczach odbijają się błyski płomieni.

- Miałaś dziś wiadomości od dzieci? - spytał, starając się nie gapić na Adrienne zbyt natarczywie.

Skinęła twierdząco głową.

- Dzwoniły rano, kiedy ciebie nie było. Wybierały się na narty, lecz chciały przedtem pogadać. Na ten weekend jadą do Snowshoe w Wirginii Zachodniej. Nie mogły się doczekać, szykują się na tę wycieczkę już od dwóch miesięcy.

- Czyli wnioskuje, że będą się dobrze bawić.

- Bez wątplenia. Jack jest dobry w tych sprawach. Ilekroć jadą go odwiedzić, zawsze planuje wcześniej rozrywki, jak gdyby życie z nim było jedną wielką imprezą. - Umilkła. - Ale nie szkodzi. On też stracił wiele rzeczy i nie zamieniłabym się z nim za żadne skarby. Nie da się cofnąć tych lat.

- Wiem - powiedział cicho. - Wierz mi, wiem dobrze.

Adrienne skrzywiła się.

- Przepraszam, nie powinnam była tego powiedzieć.

Paul pokręcił głową.

- Nie przejmuj się. Jeśli nawet nie miałaś na myśli mnie, zdaję sobie sprawę, że straciłem więcej, niż mam nadzieję odzyskać. Lecz przynajmniej próbuję teraz coś z tym zrobić. Staram się wierzyć, że mi się uda.

- Na pewno.

- Serio tak myślisz?

- Ja to wiem. Sprawiasz na mnie wrażenie człowieka, który osiąga prawie każdy cel, jaki sobie postawi.

- Tym razem nie będzie to łatwe.

- Dlaczego?

- Nie jesteśmy w tej chwili z Markiem w zbyt dobrych stosunkach. Prawdę mówiąc, nie utrzymujemy żadnych. Od wielu lat właściwie ze sobą w ogóle nie rozmawiamy.

Adrienne spojrzała na niego, mając kłopot ze znalezieniem właściwych słów.

- Nie przypuszczałam, że aż tak długo - rzekła po chwili milczenia.

- A skąd mogło ci to przyjść do głowy? Nie jest to coś, do czego mógłbym przyznać się z dumą.

- Co zamierzasz mu powiedzieć? Myślę o pierwszych chwilach spotkania.

- Nie mam pojęcia. - Paul popatrzył na nią pytająco. - Masz jakiś pomysł? Wydaje mi się, że naprawdę świetnie radzisz sobie z wychowaniem dzieci.

- Bo ja wiem. Ale przede wszystkim musiałabym chyba wiedzieć dokładnie, na czym polega problem.

- To długa historia.

- Mamy przed sobą cały dzień, jeśli chciałbyś o tym porozmawiać.

Paul podniósł kieliszek do ust, bijąc się z myślami. Wreszcie zdecydował się i przez następne pół godziny opowiadał Adrienne, przy akompaniamencie wyjącego coraz głośniejszego wiatru i bębniącego o ściany deszczu, o tym jak nie było go przy Marku, gdy syn dorastał, o kłótni w restauracji, o swej bezsilności i braku silnej woli, by usunąć rozdźwięk między nimi. Zanim skończył, ogień zdążył przygasnąć. Adrienne milczała przez chwilę.

- To nie będzie łatwe - przyznała.

- Wiem.

- Ale przecież to nie jest wyłącznie twoja wina. Do sporu potrzeba dwojga ludzi.

- To niemal filozoficzne stwierdzenie.

- Lecz to prawda.

- Co mam zrobić?

- Chyba nie powinieneś zbyt mocno naciskać. Wydaje mi się, że musicie obaj lepiej się poznać, zanim przystąpicie wspólnie do rozwiązywania waszych problemów.

Paul uśmiechnął się, rozważając jej słowa.

- Wiesz co, mam nadzieję, że twoje dzieci zdają sobie sprawę z tego, jaką mądrą mają matkę.

- Nie zdają. Lecz nie tracę nadziei.

Roześmiał się, myśląc, że jej skóra wydaje się promieniować w łagodnym świetle. Polano strzeliło skrami, które ciąg powietrza porwał do komina. Paul dolał wina do kieliszków.

- Jak długo zamierzasz zostać w Ekwadorze? - spytała Adrienne.

- Nie jestem jeszcze pewny. Zależy to chyba od Marka, nie wiem też, przez jaki czas będę tam potrzebny. - Bawił się przez chwilę kieliszkiem, zanim spojrzął na nią. - Ale przypuszczam, że co najmniej rok. Tak przynajmniej umówiłem się z dyrektorem.

- A co będziesz robił, gdy wrócisz? Paul wzruszył ramionami.

- Kto wie. Myślę, że mogę udać się gdziekolwiek. Nie zostawiłem raczej w Raleigh nic, do czego chciałbym wrócić. Szczerze mówiąc, nie myślałem w ogóle o tym, co będę robił po powrocie. Może podejmę się pilnowania małych pensjonatów podczas nieobecności ich właścicieli. Roześmiała się.

- Przypuszczam, że prędko by ci się to znudziło.

- Ale byłbym dobry w sytuacjach, gdy grozi sztorm.

- To prawda, musiałbyś jednak nauczyć się gotować.

- Słuszna uwaga. - Paul rzucił jej spojrzenie, twarz miał częściowo pograżoną w cieniu. - Może wobec tego przeprowadzę się do Rocky Mount i wezmę tam parę lekcji.

Na te słowa Adrienne poczuła, jak krew napływa jej gwałtownie do twarzy. Pokręciła głową i odwróciła się.

- Nie mów takich rzeczy.

- Jakich?

- Które nic nie znaczą.

- Dlaczego uważasz, że nie mówię serio?

Adrienne unikała jego wzroku, nic nie powiedziała i w ciszy, która zaległa w pokoju, Paul widział, jak jej pierś unosi się i opada przy każdym oddechu. Zauważył, że po twarzy Adrienne przemknął cień obawy, nie wiedział jednak, czy pragnie, żeby przyjechał, i obawia się, że nie przyjedzie, czy też wręcz przeciwnie - nie chce, żeby przyjechał, i obawia się, że przyjedzie.

Wyciągnął rękę i położył ją na ramieniu Adrienne. Gdy się znów odezwał, jego ton był tak łagodny, jak gdyby próbował pocieszyć małe dziecko.

- Przepraszam, jeżeli wprowadziłem cię w zakłopotanie, ale ten weekend... jest czymś, czego nigdy nie znałem, nie podejrzewałem nawet, że może istnieć. To jak marzenie senne. Ty jesteś spełnieniem moich marzeń.

Ciepło płynące z jego dłoni zdawało się przenikać ciało Adrienne aż do kości.

- Ja też wspaniale spędzam czas - powiedziała.

- Lecz nie czujesz tego samego. Adrienne podniosła głowę i spojrzała na niego.

- Paul... ja...

- Nie, nie musisz nic mówić... Nie pozwoliła mu dokończyć.

- Owszem, muszę. Chcesz odpowiedzi, a ja chciałabym ci jej udzielić, dobrze? - Umilkła na chwilę, zbierając myśli. - Kiedy rozstaliśmy się z Jackiem, było to coś więcej niż tylko kres małżeństwa. Był to koniec wszystkiego, na co miałam nadzieję w przyszłości. Umarła też osoba, którą byłam. Sądziłam, że chcę prowadzić dalej normalne życie, i próbowałam, lecz świat nie wydawał się już zainteresowany tym, kim jestem. Ogólnie mówiąc, mężczyźni nie zwracali na mnie uwagi i chyba otoczyłam się skorupą. Dzięki temu weekendowi uświadomiłam to sobie i ciągle staram się z tym pogodzić.

- Nie jestem pewien, co chcesz mi przez to powiedzieć.

- Nie mówię, że odpowiedź brzmi „nie”. Chciałabym cię znowu spotkać. Jesteś uroczy i inteligentny, a ostatnie dwa dni znaczyły dla mnie więcej, niż prawdopodobnie potrafisz sobie wyobrazić. Ale przeprowadzka do Rocky Mount? Rok to bardzo długo i nie wiadomo, kim każde z nas wtedy będzie. Zobacz, jak bardzo zmieniłeś się w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Czy możesz z ręką na sercu obiecać, że za rok będziesz czuł to samo co dzisiaj?

- Tak - odpowiedział. - Mogę.

- Skąd ta pewność?

Na dworze szalał huragan, napierając z dzikim wyciem na Gospodę. Deszcz tarabanił w dach i ściany. Stary budynek trzeszczał pod nieustającym naporem sztormu.

Paul odstawił kieliszek na stolik. Wpatrywał się w Adrienne z absolutnym przekonaniem, że nigdy w życiu nie widział piękniejszej kobiety.

- Bo wiem - odpowiedział powoli - że jesteś jedynym powodem, dla którego w ogóle bym tu wrócił.

- Paul... nie...

Adrienne zamknęła oczy i przez chwilę Paul myślał, że ją utraci. Ta świadomość przeraziła go straszliwie, nie wyobrażał sobie nigdy przedtem, że można bać się tak bardzo, i poczuł, że ustępują ostatnie resztki jego oporów. Spojrzał w sufit, potem na podłogę, w końcu utkwiał na powrót wzrok w Adrienne. Wstał z fotela i podszedł bliżej. Ujął ją pod brodę i odwrócił jej twarz ku sobie, przepełniony miłością do niej całej.

- Adrienne... - wyszeptał, a gdy wreszcie odważyła się spojrzeć mu w oczy, zobaczyła, że są rozświetlone uczuciem.

Nie wypowiedział tych słów, ale Adrienne w nagłym przypływie intuicji wyobraziła sobie, że je słyszy, i to jej wystarczyło. Ponieważ właśnie wtedy, więziona jego uporczywym spojrzeniem, zrozumiała, że ona też go kocha.

Przez długą chwilę żadne z nich nie bardzo wiedziało, jak się zachować, w końcu Paul wyciągnął rękę. Z westchnieniem, Adrienne podała mu swoją, odchylając się na oparcie fotela, gdy zaczął wodzić delikatnie palcem po jej skórze.

Uśmiechnął się, czekając na jej reakcję, lecz Adrienne wyraźnie wołała nie zmieniać pozycji. Nie potrafił wyczytać wiele z wyrazu jej twarzy, ale wydawało mu się, że widzi na niej wszystko to, co czuł sam - nadzieję i obawę, zmieszanie i aprobatę, namiętność i rezerwę. Pomyślał jednak, że Adrienne może potrzebować trochę luzu. Puścił jej rękę i podszedł do kominka.

- Dołożę dREW, dobrze? - powiedział. - Ogień zaczyna wygasać.

Adrienne skinęła głową, obserwując go spod na wpół przymkniętych powiek; gdy kucnął przed kominkiem, dzinsy napięły się na jego muskularnych udach. To nie mogło się zdarzyć, pomyślała. Na miłość boską, ma czterdzieści pięć lat, nie jest nastolatką. Jest wystarczająco dojrzała, żeby wiedzieć, że coś takiego nie może się zdarzyć naprawdę. Wszystkiemu jest winien ten sztorm, wino, fakt, że są w Gospodzie sami. Mówiła sobie, że składa się na to wiele rzeczy, ale nie jest to miłość.

A jednak, gdy przyglądała się Paulowi, który dokładał dREW do kominka i patrzył spokojnie w ogień, wiedziała z całą pewnością, że właśnie tak. Niepozostawiające żadnych wątpliwości spojrzenie, drzenie w głosie, gdy wypowiadał szeptem jej imię... wiedziała, że jego uczucia są prawdziwe. Podobnie jak jej.

Cóż to jednak oznaczało? Dla niego lub dla niej? Cudownie jest wiedzieć, że Paul ją kocha, lecz nie tylko to wchodziło tutaj w grę. Jego spojrzenie mówiło również o pożądaniu i to ją przeraziło nawet bardziej od miłości. Zawsze uważała, że miłość fizyczna jest czymś więcej niż tylko przyjemnym aktem, w którym bierze udział dwoje ludzi. Obejmuje wszystko, co powinno łączyć ową parę - zaufanie i oddanie, nadzieje i marzenia, obietnicę, że przetrwają niezależnie od tego, co przyniesie przyszłość. Nigdy nie rozumiała trwających jedną noc przygód ani też ludzi, którzy co dwa miesiące wędrują z jednego łóżka do drugiego. To sprowadzało ten akt do czegoś niemal bez znaczenia, równie zdawkowego jak pocałunek na dobranoc na schodkach domu. Jeśli nawet się kochają, wiedziała, że wszystko zmieniłoby się, gdyby poddała się uczuciom. Przekroczyłyby granicę, którą nakreśliła w swojej głowie, i nie byłoby już powrotu. Gdyby dopuściła do zbliżenia z Paulem, oznaczałoby to związek na resztę życia, a ona nie była pewna, czy jest na to gotowa.

Nie była też pewna, czy wie, co robić. Jack był nie tylko jedynym mężczyzną, z którym kiedykolwiek się kochała. Przez osiemnaście lat był jedynym mężczyzną, z którym chciała się kochać. Miłość fizyczna jest subtelnym tańcem wzajemnych ustępstw, a myśl, że mogłaby go rozczarować, wystarczała, żeby powstrzymać ją przed zrobieniem kolejnego kroku. A jednak nie mogła się powstrzymać. Już nie. Zwłaszcza gdy patrzył na nią w taki sposób i gdy sama czuła się tak w jego obecności.

W gardle jej zaschło, nogi miała miękkie jak z waty, kiedy wstała z fotela. Paul siedział w kucki przed kominkiem. Przysunąwszy się bliżej, położyła dłonie na miękkim odcinku między szyją a ramionami. Mięśnie napięły mu się natychmiast, ale rozluźniły się, gdy odetchnął głęboko. Odwrócił głowę, unosząc na nią wzrok, i właśnie w tej chwili Adrienne poddała się całkowicie.

Wszystko wydawało jej się właściwe, dobre. I Paul był odpowiednim mężczyzną. Stojąc za nim, wiedziała, że pozwoli sobie na to, by znaleźć się w miejscu, do którego pchało ją przeznaczenie.

Na dworze wzrastał się łoskot gromów. Wichura i ulewny deszcz szturmowały wspólnie ściany budynku. W salonie zrobiło się cieplej, gdy płomienie w palenisku strzeliły wyżej. Paul wstał i odwrócił się twarzą do niej. Patrząc na nią czule, ujął jej rękę. Adrienne spodziewała się, że ją pocałuje, on jednak uniósł tylko jej dłoń i przytulił do policzka, zamykając oczy, jak gdyby chciał na zawsze zapamiętać jej dotyk.

Pocałował ją w rękę, zanim ją puścił. Potem otworzył oczy i przechyliwszy głowę, przysunął się bliżej, aż poczuła ciepło jego ciała. Przez chwilę muskał leciutko wargami jej policzek, aż wreszcie ich usta się spotkały.

Adrienne przywarła do niego całym ciałem, on zaś otoczył ją ramionami. Czowała, jak jej piersi napierają na klatkę piersiową mężczyzny, czuła lekki zarost na jego twarzy, gdy pocałował ją po raz drugi.

Paul przesunął dłońmi po jej ramionach, po plecach, i Adrienne rozchyliła wargi, smakując dotyk jego wilgotnego języka. Obsypywał pocałunkami jej szyję, policzki, a gdy dotknął jej brzucha, przeszył ją elektryzujący dreszcz. Potem dłoń Paula powędrowała ku jej piersiom, co sprawiło, że Adrienne wstrzymała oddech. Pocałowali się jeszcze raz i jeszcze raz, a cały otaczający ich świat roztapiał się, stawał się odległy i nierealny.

W tym momencie zakończył się dla obojga pewien etap życia i gdy tak tulili się coraz mocniej, nie tylko obejmowali się wzajemnie, lecz trzymali na dystans wszystkie bolesne wspomnienia.

Paul zanurzył twarz we włosach Adrienne, ona zaś oparła głowę na jego piersi, słysząc, że serce wali mu równie głośno i szybko jak jej. Potem, gdy wreszcie odsunęli się od siebie, Adrienne wzięła go za rękę. Cofnęła się o krok i popychając go lekko, zaczęła prowadzić do sypialni na górze.

ROZDZIAŁ 13

W matczynej kuchni Amanda wpatrywała się bez słowa w Adrienne.

Nie odezwała się ani razu od momentu, gdy matka rozpoczęła swoją opowieść, wypła natomiast dwa kieliszki wina, drugi trochę szybciej od pierwszego. W tej chwili obie milczały i Adrienne wyczuwała niecierpliwość córki czekającej na relację z rozwoju wypadków.

Adrienne nie mogła opowiedzieć o tym Amandzie, zresztą nie było takiej potrzeby. Amanda była dorosłą kobietą. Wiedziała, co to znaczy kochać się z mężczyzną. I na tyle dojrzała, by zdawać sobie sprawę, że jeśli nawet była to cudowna strona ich wzajemnego odkrycia, to właśnie tylko jedna z wielu stron. Adrienne kochała Paula i gdyby nie znaczył dla niej tak wiele, gdyby ten weekend polegał wyłącznie na zaspokojeniu pragnień cielesnych, nie pozostawiłby tylu innych wspomnień poza kilkoma chwilami rozkoszy, niezwykłymi tylko dlatego, że tak długo była sama. Ich jednak połączyły uczucia dawno już pogrzebane, uczucia, które były przeznaczone właśnie dla nich dwojga. I jedynie dla nich dwojga.

Poza tym Amanda była jej córką. Niech nazwie ją nawet staroświecką, ale opowiadanie o szczegółach byłoby niestosowne. Niektórzy potrafią rozmawiać o takich sprawach, lecz Adrienne nigdy ich nie rozumiała. Zawsze uważała, że to, co się dzieje w sypialni, jest wyłącznie sprawą między dwojgiem ludzi.

Gdyby jednak chciała nawet o tym mówić, nie umiałaby znaleźć słów. Jak ma opisać swoje doznania, kiedy Paul zaczął rozpinąć jej bluzkę, albo dreszcze, które przebiegały po całym ciele, gdy przesuwał palcami po jej brzuchu? Albo jak rozplomieniały się ich ciała, gdy się ze sobą stykały? Albo smak jego ust, gdy ją całował, lub swoje uczucia, gdy wbijała mu palce w skórę? Albo ich oddechy, które przyspieszały, gdy zaczęli poruszać się we wspólnym rytmie?

Nie, nie opowiadała o tym. Pozwoliła córce wyobrażać sobie, co się zdarzyło, wiedziała bowiem, że tylko za sprawą swojej wyobraźni Amanda zdoła wychwycić choć odrobinę z tych czarodziejskich chwil, jakie przeżyła w ramionach Paula.

- Mamo? - wyszeptała w końcu Amanda.

- Chcesz wiedzieć, co się wydarzyło? Amanda przełknęła nerwowo ślinę.

- Tak - odpowiedziała Adrienne. I na tym koniec.

- Chcesz powiedzieć...

- Tak - powtórzyła Adrienne.

Amanda upiła spory łyk wina. Starając się uspokoić, odstawiła kieliszek na stół.

- I?...

Adrienne pochyliła się do przodu, jak gdyby obawiała się, że ktoś może podsłuchać ich rozmowę.

- Tak - powtórzyła cicho jeszcze raz, odwracając wzrok i powracając pamięcią w przeszłość.

Tamtego popołudnia kochali się i spędzili resztę dnia w łóżku. Na zewnątrz srożył się huragan - połamane gałęzie i targane wichrem drzewa tłukły o dach i ściany domu - a Paul trzymał ją mocno w objęciach, tuląc wargi do jej policzka. Oboje wspominali przeszłość i razem snuli plany na przyszłość, zadziwieni myślami i uczuciami, które doprowadziły ich do tej chwili.

Było to dla niej równie nowe jak dla Paula. W ostatnich latach małżeństwa z Jackiem - a być może przez większość wspólnego życia (pamiętała, że o tym właśnie wtedy myślała) - ilekroć się kochali, było to jakieś zdawkowe, krótkie pożądanie i krótki akt, pozbawiony czułości. Po zbliżeniu rzadko rozmawiali, ponieważ Jack zwykle odwracał się tyłem i w ciągu kilku minut zasypiał.

Paul nie tylko trzymał ją godzinami w ramionach, lecz czułość, z jaką ją tulił, świadczyła o tym, że ta bliskość jest dla niego równie ważna jak zbliżenie fizyczne. Całował jej włosy, jej twarz, i za każdym razem gdy pieścił jakąś część jej ciała, mówił, że jest piękna, i zapewniał, że ją uwielbia. Robił to wszystko w swój poważny, sugestywny sposób, który bardzo szybko pokochała.

Mimo że nie widzieli, co się dzieje na dworze, ponieważ okna były zasłonięte panelami przeciwsztormowymi, niebo przybrało złowieszczą matowoczną barwę. Gnane wiatrem fale nacierały na diunę i rozmywały ją. Woda uderzała z pluskiem w fundamenty budynku. Anteny zostały zmiecione z dachu i spadły na ziemię w drugim końcu wyspy. Piasek i deszcz wdzierały się do domu przez nieszczelne drzwi kuchenne, które drżały pod naporem huraganu. Dopływ prądu został przerwany gdzieś we wczesnych godzinach rannych. Po raz drugi kochali się w kompletnych ciemnościach, kierując się samym dotykiem, a gdy w końcu zasnęli w swoich ramionach, Rodanthe znalazło się w oku cyklonu.

ROZDZIAŁ 14

Obudzili się w sobotę rano i umierali z głodu. Ponieważ nie było elektryczności i wiatr powoli się uspokajał, Paul przyniósł podręczną lodówkę do pokoju i zjedli śniadanie w przytulnej atmosferze łóżka, na przemian to śmiejąc się, to rozmawiając poważnie, dokuczając sobie żartobliwie lub po prostu milcząc, rozkoszując się chwilą i sobą nawzajem.

Około południa wiatr uciszył się na tyle, że mogli wyjść na werandę. Niebo zaczynało się przecierać, ale plaża była zaśmiecona najróżniejszymi przedmiotami - starymi oponami, zerwanymi schodkami domów, które wybudowano za blisko wody, przyniesionymi przez wzburzone fale. Robiło się coraz cieplej i choć było jeszcze za zimno, żeby przebywać na dworze bez kurtki, Adrienne zdjęła rękawiczki, chciała bowiem czuć dłoń Paula w swojej dłoni.

Około drugiej włączono prąd, światło zamrugało i znowu zgasło, po czym wróciło na dobre po przeszło dwudziestu minutach. Jedzenie w lodówce się nie zepsuło, Adrienne usmażyła więc dwa befsztyki i zjedli niespiesznie posiłek, racząc się ostatnią z trzech butelek wina. Potem wzięli razem kąpiel. Paul siedział za nią, a ona póżeżała, z głową opartą na jego piersi. Paul przesuwał myjką po jej brzuchu i piersiach. Adrienne zamknęła oczy, tonąc w jego ramionach, czując, jak ciepła woda obmywa jej skórę.

Tamtego wieczoru pojechali do miasteczka. Rodanthe wracało do życia po sztormie i część wieczoru przesiedzieli w barze, słuchając muzyki z szafy grającej i trochę tańcząc. Bar był zatłoczony miejscowymi, którzy chcieli podzielić się swoimi opowieściami o sztormie, toteż jedynie Paul i Adrienne odważyli się wyjść na parkiet. Paul przytulił ją mocno i zataczali powolne kręgi po małej salce, wtuleni w siebie, obojętni na gwar rozmów i spojrzenia innych gości.

W niedzielę Paul zdjął panele przeciwsztormowe i zaniósł je do piwnicy, następnie ustawił z powrotem fotele bujane na werandzie. Rozpogodziło się całkowicie po raz pierwszy od sztormu i wybrali się na spacer brzegiem morza, tak jak pierwszego wieczoru po jego przyjeździe. Od tamtego czasu wygląd plaży bardzo się zmienił. Ocean wyrzeźbił długie, głębokie karby tam, gdzie zmył częściowo piasek z plaży, niektóre drzewa były powyrywane z korzeniami. Po przejściu niecałego kilometra Paul i Adrienne przystanęli, patrząc na budynek, który padł ofiarą ataku huraganu, stojący w połowie na fundamencie, a w połowie na piasku. Większość ścian się powyginała, okna były powybijane, część dachu zerwana. Zmywarka do

naczyń leżała na boku w pobliżu sterty połamanych desek, które niegdyś były werandą. Przy drodze zebrała się grupka ludzi. Robili zdjęcia dla firmy ubezpieczeniowej w celu uzyskania odszkodowania. Po raz pierwszy Paul i Adrienne zdali sobie sprawę, jak gwałtowny był w istocie huragan.

Gdy ruszyli z powrotem, zaczął się przypływ. Szli powoli, stykając się lekko ramionami, i właśnie wtedy znaleźli muszlę. Miała karbowaną powierzchnię i była do połowy zagrzebana w piasku. Wokół niej leżały drobniutkie odłamki strzaskanych muszelek. Paul podał ją Adrienne, podniosła muszlę do ucha i to wówczas drażnił się z nią z powodu jej stwierdzenia, że słyszy w niej zakłęty szum oceanu. Otoczył ją ramionami, mówiąc, że jest tak doskonała jak muszla, którą przed chwilą znaleźli. Choć Adrienne wiedziała, że zachowają na zawsze, nie miała pojęcia, jak wiele będzie dla niej kiedyś znaczyła.

Wiedziała tylko, że stoi w objęciach mężczyzny, którego kocha, marząc, żeby mógł trzymać ją w ten sposób aż po wieczność.

* * *

W poniedziałek rano Paul wymknął się z łóżka, zanim się obudziła, i chociaż twierdził, że w sprawach kuchennych ma dwie lewe ręce, zaskoczył Adrienne, przynosząc jej na tacy śniadanie do łóżka i budząc aromatem świeżo zaparzonej kawy. Siedział obok niej, gdy jadła, śmiejąc się, gdy oparta na poduszkach bezskutecznie próbowała podciągnąć prześcieradło na tyle wysoko, żeby zasłonić piersi. Grzanki francuskie były wyśmienite, bekon chrupiący, ale nie zbyt spieczony, do jajecznicy Paul dodał właściwą ilość startego cheddara.

Owszem, dzieci podawały jej od czasu do czasu śniadanie do łóżka w Dzień Matki, lecz Paul był pierwszym mężczyzną, który zrobił to dla niej. Jack był facetem, któremu nigdy nie przyszłoby to do głowy.

Gdy skończyła jeść, Paul postanowił trochę pobiegać, Adrienne zaś wzięła prysznic i ubrała się. Po joggingu Paul wrzucił brudne ubrania do pralki i również umył się pod prysznicem. Gdy przyszedł do Adrienne do kuchni, rozmawiała przez telefon z Jean. Przyjaciółka zadzwoniła, żeby się dowiedzieć, jak wygląda sytuacja. Kiedy Adrienne zdawała relację z tego, co się działo, Paul objął ją, stojąc z tyłu, i muskał nosem jej kark.

Jeszcze podczas rozmowy Adrienne usłyszała charakterystyczne skrzypnięcie frontowych drzwi Gospody i stuk roboczych butów o drewnianą podłogę. Przeprosiła Jean i odwiesiwszy

sluchawkę, wyszła z kuchni, żeby sprawdzić, kogo przyniosło. Nie było jej niecałą minutę, a gdy wróciła, patrzyła na Paula, jak gdyby nagle zabrakło jej słów. Wciągnęła głęboko powietrze.

- Przyjechał tutaj porozmawiać z tobą - powiedziała w końcu.

- Kto?

- Robert Tonelson.

* * *

Robert Torrelson czekał w salonie. Gdy Paul wszedł do pokoju, siedział na kanapie ze spuszczoną głową. Podniósł wzrok, bez uśmiechu, z jego twarzy nie dało się nic wyczytać. Zanim Paul go zobaczył, nie był pewien, czy rozpoznałby Roberta Torrelsona w tłumie, ale z bliska nie miał wątpliwości, że zna mężczyznę siedzącego w salonie. Poza włosami, które znacznie posiwiały w ciągu minionego roku, wyglądał zupełnie tak samo jak wtedy w szpitalnej poczekalni. Spojrzenie miał tak surowe, jak spodziewał się Paul.

Robert nie odezwał się od razu. Przyglądał się Paulowi, który przestawiał fotel w taki sposób, żeby siedzieli twarzami do siebie.

- Przyjechał pan - rzekł wreszcie Robert Torrelson. Mówił z południowym akcentem, miał silny, chrapliwy głos, jak gdyby palił przez wiele lat papierosy marki Camel bez filtra.

- Tak.

- Nie sądziłem, że się pan na to zdobędzie.

- Przez jakiś czas ja również nie byłem tego pewien. Robert prychnął, jak gdyby się tego spodziewał.

- Syn powiedział mi, że rozmawiał z panem.

- Rzeczywiście.

Robert uśmiechnął się z goryczą, znając treść rozmowy.

- Podobno nie próbował pan się usprawiedliwić.

- Nie - odparł Paul. - Nie próbowałem.

- Ale w dalszym ciągu pan uważa, że nie popełnił pan żadnego błędu, prawda?

Paul odwrócił wzrok, przypominając sobie to, co powiedziała Adrienne. Nie, pomyślał, nigdy nie uda mi się zmienić ich nastawienia. Wyprostował się.

- Napisał pan w liście, że chciałby pan porozmawiać ze mną osobiście i że to dla pana bardzo ważne. No i jestem tutaj. Co mogę dla pana zrobić, panie Torrelson?

Robert sięgnął do kieszeni koszuli i wyjął paczkę papierosów oraz pudełko zapalek. Zapalił jednego, przysunął sobie bliżej popielniczkę i usiadł wygodniej na kanapie.

- Co poszło źle? - spytał.

- Nic - odpowiedział Paul. - Operacja poszła dobrze, tak jak się spodziewałem.

- To dlaczego umarła?

- Chciałbym bardzo wiedzieć, ale nie mam pojęcia.

- Czy to kazali panu mówić prawnicy?

- Nie - odparł spokojnie Paul. - Taka jest prawda. Myślałem, że właśnie na prawdzie panu zależało. Gdybym znał odpowiedź, bez wątpienia nie kryłbym jej przed panem.

Robert podniósł papierosa do ust i zaciągnął się. Gdy wypuszczał dym, Paul usłyszał ciche rżenie, jak gdyby powietrze uchodziło ze starego akordeonu.

- Czy podczas naszego pierwszego spotkania wiedział pan, że moja żona ma guza?

- Nie - odrzekł Paul. - Nie wiedziałem.

Robert po raz drugi zaciągnął się głęboko dymem z papierosa. Gdy się znowu odezwał, jego głos brzmiał łagodniej, przytłumiony wspomnieniami.

- Oczywiście nie był wtedy taki duży. Nie większy od połówki orzecha włoskiego, no i nie miał też takiego brzydkiego koloru. Mimo to był wyraźnie widoczny, jak gdyby coś zaklinowało jej się pod skórą, i zawsze ją denerwował, nawet gdy była mała. Jestem kilka lat od niej starszy i pamiętam, że zawsze szła do szkoły ze wzrokiem wbitym w czubki butów. Nie trudno się było domyślić dlaczego. - Robert umilkł na chwilę, zbierając myśli, a Paul był dość mądry, by nie przerywać ciszy. - Jak wiele osób w tamtych czasach, Jill nie ukończyła nauki, ponieważ musiała iść do pracy, żeby pomóc w utrzymaniu rodziny, i właśnie wtedy ją poznałem. Stała przy wadze na przystani, gdzie wyładowywaliśmy to, co złowiliśmy. Próbowałem nawiązać z nią rozmowę chyba przez rok, zanim raczyła się do mnie odezwać, ale i tak ją lubiłem. Była uczciwa i ciężko pracowała. I mimo że nawet wtedy czesała się tak, że włosy zakrywały jej twarz, od czasu do czasu udawało mi się zobaczyć, że kryją się pod nimi najpiękniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziałem. Były ciemnobrązowe i łagodne. Sama była łagodna, nigdy w całym życiu nikomu nie sprawiła przykrości, nie leżało to w jej naturze. Nie przestawałem jej zagadywać, a ona nie zwracała na mnie uwagi, aż wreszcie doszła chyba do wniosku, że się od niej nie odczepię. Zgodziła się umówić ze mną, ale przez cały wieczór prawie na mnie nie spojrziała. Wpatrywała się w czubki swoich bucików. - Robert splótł dłonie. - Mimo to umówiłem

się z nią jeszcze raz. I wtedy poszło lepiej. Zorientowałem się, że jest zabawna, jeśli tylko chce. Im lepiej ją poznawałem, tym bardziej ją lubiłem i zacząłem myśleć, że chyba jestem w niej zakochany. Nie przeszkadzała mi ani trochę ta rzecz na jej twarzy. Nie przejmowałem się nią ani dawniej, ani w zeszłym roku. Ale jej nie było to obojętne. Nigdy. - Umilkł na chwilę. - W ciągu kolejnych dwudziestu lat urodziło nam się siedmioro dzieci i mogłoby się wydawać, że podczas karmienia każdego następnego maleństwa guz się powiększał. Nie wiem, czy tak było naprawdę, ona jednak w kółko mi to powtarzała. Ale wszystkie moje dzieci, nawet John... ten, którego pan poznał, uważały ją za najlepszą mamę na świecie. I taka była. Surowa, kiedy trzeba, a przez resztę czasu najmiłsza osoba pod słońcem. Kochałem ją za to i byliśmy szczęśliwi. Życie przeważnie nie było łatwe, ale ona czyniła je łatwym dla mnie. I byłem z niej dumny, byłem dumny, gdy mnie z nią widziano, i czyniłem wszystko, żeby każdy o tym wiedział. Myślałem, że to wystarczy, ale chyba się myliłem. - Paul siedział bez ruchu, a Robert mówił dalej: - Pewnego wieczoru zobaczyła w telewizji program o kobiecie, która zoperowała sobie taki guz. Pokazywano zdjęcia przed zabiegiem i po zabiegu. Myślę, że Jill nabiła sobie głowę pomysłem, żeby pozbyć się tego raz na zawsze. I właśnie wtedy zaczęła mówić o operacji. Koszt był wysoki, a my nie mieliśmy ubezpieczenia, ona jednak wciąż drążyła, czy nie ma jakiegoś sposobu, żeby załatwić tę sprawę. - Robert spojrzał Paulowi w oczy. - Nie potrafiłem w żaden sposób wyperswadować jej tego pomysłu. Zapewniałem ją, że absolutnie mi to nie przeszkadza, ona jednak nie chciała słuchać. Czasami znajdowałem ją w łazience przed lustrem, obmacującą twarz, kiedy indziej znowu słyszałem, jak płacze, i wiedziałem, że pragnie tego zabiegu bardziej niż czegokolwiek. Żyła z tym guzem od dzieciństwa i była już tym zmęczona. Zmęczona sposobem, w jaki obcy ludzie starali się na nią nie patrzeć, a także zbyt długimi ciekawskimi spojrzeniami dzieci. W końcu się poddałem. Zebrałem nasze wszystkie oszczędności, poszedłem do banku i zaciągnąłem dług pod zastaw łodzi, po czym pojechaliśmy zobaczyć się z panem. Była taka podekscytowana tamtego ranka. Chyba nigdy w życiu nie widziałem jej tak szczęśliwej. Ten widok utwierdził mnie w przekonaniu, że postępuję słusznie. Obiecałem, że będę na nią czekał i przyjdę się z nią zobaczyć, gdy tylko się obudzi. Czy wie pan, co mi wtedy powiedziała? Jakie były jej ostatnie słowa? - Robert nie spuszczał wzroku z Paula, chcąc mieć pewność, że lekarz słucha go uważnie. - Powiedziała: „Przez całe moje życie chciałam być dla ciebie ładna”. A ja, słysząc to, pomyślałem, że przecież zawsze była.

Paul spuścił głowę i próbował przełknąć ślinę, lecz nie udało mu się, tak miał ściśnięte gardło.

- Ale pan nic o niej nie wiedział. Dla pana była po prostu kobietą, którą pan operował, lub kobietą, która zmarła, albo kobietą z guzem na twarzy, a może kobietą, której rodzina wytoczyła panu proces. Nie byłoby sprawiedliwe, gdyby nie poznał pan jej historii. Zaslugiwała na znacznie więcej. Zapracowała na więcej życiem, jakie wiodła. - Robert Torrelson strzepnął resztkę popiołu na popielniczkę, po czym odłożył papierosa. - Był pan ostatnim człowiekiem, z którym rozmawiała, ostatnim człowiekiem, którego widziała w życiu. Moja żona była najlepszą istotą na całym świecie, a pan nawet nie wiedział, z kim ma do czynienia. - Umilkł, czekając, by słowa dotarły do Paula. - Ale teraz już pan wie.

Z tymi słowy wstał z kanapy, a chwilę później już go nie było.

Gdy Adrienne wysłuchała, co powiedział Robert Torrelson, przesunęła palcami po twarzy Paula, ocierając mu łzy.

- Jak się czujesz?

- Nie wiem - odparł. - Jestem jak odrętwiały.

- Wcale mnie to nie dziwi. Zwaliło się na ciebie trochę za dużo jak na jeden raz.

- Tak - przyznał Paul. - To prawda.

- Jesteś zadowolony, że przyjechałeś? Że usłyszałeś to wszystko od niego?

- I tak, i nie. Dla Torrelsona było ważne, żeby się dowiedział, jaka była jego żona, dlatego jestem zadowolony. Ale jednocześnie mnie to smuci. Kochali się tak bardzo, a teraz ona odeszła na zawsze.

- Tak.

- Nie wydaje mi się to sprawiedliwe.

Adrienne uśmiechnęła się z zadumą.

- Bo nie jest. Im większa miłość, tym większa tragedia. Te dwa elementy zawsze idą w parze.

- Nawet dla nas?

- Dla każdego - powiedziała Adrienne. - Możemy jedynie mieć nadzieję na to, że długo, długo nam się to nie zdarzy.

Paul posadził ją sobie na kolanach. Ucałował jej wargi, potem otoczył ją ramionami, tuląc mocno do siebie, poddając się jej uściskowi. Przez długi czas pozostawali w tej pozycji.

Ale gdy kochali się później tego samego wieczoru, do Adrienne powróciły jak bumerang jej własne słowa. To była ich ostatnia noc w Rodanthe, ostatnia wspólna noc przed co najmniej roczną rozłąką. I gdy z całych sił starała się odpędzić te myśli, po jej policzkach spłynęły ciche łzy, których nie mogła powstrzymać.

ROZDZIAŁ 15

Gdy Paul obudził się we wtorek rano, Adrienne nie było w łóżku. Widział, że płakała w nocy, lecz nie powiedział nic, bo czuł, że jeśli się odezwie, sam się rozpłacze. Ale nie mógł z tego powodu zmrużyć oka przez wiele godzin, był kompletnie wykończony nerwowo. Gdy zasnęła w jego ramionach, leżał z otwartymi oczami, wtulając twarz w jej włosy i nie chcąc wypuścić jej z objęć, jak gdyby próbował nadrobić ten rok, kiedy nie będą razem.

Adrienne poskładała jego ubrania, te, które wyjęła z suszarki, i Paul odłożył to, co było mu potrzebne na dzień, a resztę schował do toreb podróżnych. Wziął prysznic, ubrał się, po czym usiadł na brzegu łóżka i zapisał szybko na kartce swoje myśli. Pozostawiwszy list w pokoju, zniósł rzeczy na dół i postawił je obok drzwi. Adrienne stała przy kuchence i mieszała na patelni jajecznicę, obok na bufecie parowała w filizance kawa. Gdy się odwróciła, zauważył, że ma zaczerwienione oczy.

- Cześć - powiedział.

- Cześć - odrzekła Adrienne, wlepiając spojrzenie w patelnię i coraz szybciej mieszając jajecznicę. - Pomyślałam, że może zechcesz coś przekąsić przed wyjazdem.

- Dziękuję.

- Jadąc tutaj, zabrałam z domu termos i gdybyś miał ochotę napić się kawy w podróży, możesz go sobie wziąć.

- Dziękuję, ale nie muszę. Poradzę sobie.

Adrienne nie przestawała mieszać jajecznicy.

- Może przyda ci się kilka kanapek na drogę? chętnie ci je przygotuję.

Paul podszedł do niej.

- Nie musisz tego robić. Kupię sobie coś później. I szczerze mówiąc, wątpię, czy będę głodny.

Adrienne zdawała się go nie słuchać, położył więc dłoń na jej plecach. Słyszał jej urywany oddech, jak gdyby usiłowała powstrzymać się od płaczu.

- Ejże...

- Nic mi nie jest - wyszeptała.

- Jesteś pewna?

Skinęła w milczeniu głową i pociągnęła nosem, zdejmując patelnię z palnika. Ocierając oczy, wzbraniała się przed spojrzeniem na niego. Paul, widząc ją w takim stanie, przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie na werandzie i gardło mu się ścisnęło. Nie mógł uwierzyć, że od tamtej chwili minął niecały tydzień.

- Adrienne... nie...

Podniosła w końcu głowę, patrząc mu w oczy.

- Nie co? Nie bądź smutna? Wyjeżdżasz do Ekwadoru, a ja muszę wracać do Rocky Mount. Cóż mogę poradzić na to, że nie chcę, żeby wszystko się już skończyło?

- Ja też nie chcę.

- I dlatego jestem smutna. Ponieważ z tego również zdaję sobie sprawę. - Zawahała się, starając się zapanować nad swoimi uczuciami. - Wiesz, kiedy wstałam dzisiaj rano, przyrzekłam sobie, że nie będę więcej płakała. Zapowiedziałam sobie, że muszę być silna i szczęśliwa, żebyś taką właśnie mnie zapamiętał. Ale gdy usłyszałam szum prysznic, dostałam jak obuchem w głowę. Uświadomiłam sobie, że gdy jutro się obudzę, nie będzie cię przy mnie, i łzy same popłynęły mi z oczu. Pozbieram się jednak. Naprawdę. Twarda ze mnie sztuka.

Mówiła to, jak gdyby próbowała przekonać samą siebie. Paul sięgnął po jej dłoń.

- Adrienne... gdy wczoraj zasnąłaś, pomyślałem, że mógłbym chyba zostać trochę dłużej. Miesiąc lub dwa nie zrobią wielkiej różnicy, a w ten sposób bylibyśmy razem...

Pokręciła głową, przerywając mu.

- Nie - powiedziała stanowczo. - Nie możesz zrobić tego Markowi. Nie po tym wszystkim, przez co obaj przeszliście. Ten wyjazd jest ci potrzebny, Paul. Gryziesz się nieporozumieniami z synem. Jeśli nie wyjedziesz teraz, zastanawiam się w głębi duszy, czy w ogóle się na to zdobędziesz. Fakt, że spędzisz ze mną więcej czasu, nie ułatwi ci pożegnania po paru miesiącach, a ja nie potrafiłabym żyć ze świadomością, że to przeze mnie nie spotkałeś się z synem. Jeśli nawet postanowilibyśmy, że wyjedziesz później, to również bym płakała. - Uśmiechnęła się dzielnie, po czym mówiła dalej: - Nie możesz zostać. Oboje wiedzieliśmy, że wyjeżdżasz, zanim jeszcze cokolwiek się między nami zaczęło. Chociaż jest nam obojgu trudno, wiemy, że tak właśnie należy postąpić... jesteś przecież ojcem i podjąłeś właściwą decyzję. Czasami rodzice muszą się zdobyć na poświęcenie, a to właśnie jest jedno z nich.

Paul skinął głową, ich usta się spotkały. Wiedział, że postępuje słusznie, ale rozpaczliwie pragnął, żeby było inaczej.

- Obiecasz mi, że będziesz na mnie czekała? - spytał w końcu drżącym głosem.

- Oczywiście. Gdybym myślała, że wyjeżdżasz na zawsze, płakałabym tak rzewnymi łzami, że musielibyśmy jeść śniadanie w łódce.

Wbrew wszystkiemu roześmiał się i Adrienne przytuliła się do niego. Pocałowała go, zanim pozwoliła się objąć. Czowała ciepło jego ciała, delikatny zapach wody kolońskiej. Było jej tak dobrze w ramionach Paula. Pasowała tam idealnie.

- Nie wiem, jak lub dlaczego tak się stało, ale myślę, że sprowadziło mnie tutaj przeznaczenie - powiedział. - Po to, bym cię poznał. Przez tyle lat tęskniłem za czymś w życiu, lecz sam nie wiedziałem za czym. A teraz już wiem.

Adrienne zamknęła oczy.

- Ja też - wyszeptła.

Zanurzył twarz w jej włosach, całując je, a potem przytulił policzek do jej policzka.

- Będziesz za mną tęskniła? Adrienne zmusiła się do uśmiechu.

- W każdej minucie.

* * *

Zjedli razem śniadanie. Adrienne nie była głodna, przełknęła jednak na siłę kilka kęsów jajecznic, uśmiechając się od czasu do czasu z przymusem. Paul znacznie wolniej niż zwykle opróżniał swój talerz, a gdy skończyli, wstawili naczynia do zlewu.

Była już prawie dziewiąta i oboje ruszyli w kierunku drzwi, mijając tablicę z wiszącymi na niej kluczami od pokojów. Paul podniósł worek podróżny i przewiesił go przez ramię. Adrienne trzymała skórzaną torebkę, w której znajdowały się bilety i paszport. Podała mu ją.

- To chyba wszystko - powiedział.

Adrienne zacisnęła wargi. Paul, podobnie jak ona, miał zaczerwienione powieki, stał ze spuszczonym wzrokiem, jak gdyby nie chciał, żeby zobaczyła jego oczy.

- Wiesz, jak złapać mnie w klinice. Nie mam pojęcia, czy poczta działa tam dobrze, ale listy powinny do mnie docierać. Mark zawsze dostawał wszystko, co wysyłała do niego Martha.

- Dzięki.

Paul potrząsnął torebką.

- Ja też mam tutaj twój adres. Napiszę do ciebie, gdy już dotrę na miejsce. I zadzwonię, kiedy tylko będę miał możliwość.

- Dobrze.

Wyciągnął rękę, by pogłaskać ją po policzku, a Adrienne przytuliła do niej twarz. Oboje wiedzieli, że nie pozostało im już nic więcej do powiedzenia.

Wyszła za nim na dwór i stanęła u dołu schodków, patrząc, jak ładuje worki podróżne na tylne siedzenie. Zatrzasnął drzwi samochodu i wpatrywał się w nią przez długą chwilę, nie mając siły się rozstać, żalując, że musi jechać. Wreszcie podszedł do niej, ucałował jej oba policzki, wargi. Zamknął ją w ramionach.

Adrienne zacisnęła powieki. Powtarzała sobie, że przecież Paul nie wyjeżdża na zawsze. Byli sobie przeznaczeni. Będą mieli dla siebie mnóstwo czasu, gdy wróci. Zestarzeją się razem. Przeżyła już tyle życia bez niego - cóż więc znaczy rok?

Nie było to jednak łatwe. Wiedziała, że gdyby jej dzieci były starsze, pojechałaby za nim do Ekwadoru. Gdyby jego syn go potrzebował, Paul mógłby tam zostać, zostać z nią. Ich życie pobiegło różnymi drogami, ponieważ mieli obowiązki wobec innych i nagle wydało się to Adrienne okrutnie niesprawiedliwe. Jak mogą tracić przez to swoją szansę na szczęście?

Paul westchnął głęboko i w końcu odsunął się od niej. Odwrócił na chwilę wzrok, potem znów spojrzał na Adrienne, ocierając oczy.

Obeszła z nim dookoła samochód i przystanąła z boku, patrząc, jak siada za kierownicą. Uśmiechając się blado, włożył kluczyk do stacyjki i przekręcił go, uruchamiając silnik. Adrienne cofnęła się od otwartych drzwi i Paul zamknął je, po czym opuścił szybę.

- Jeden rok - powiedział - i będę z powrotem. Masz na to moje słowo.

- Jeden rok - powtórzyła szeptem.

Uśmiechnął się do niej smutno, włączył wsteczny bieg i zaczął wycofywać samochód. Odprowadziła go wzrokiem, wijąc się wewnątrz z bólu, gdy Paul również pożegnał ją spojrzeniem.

Samochód skręcił z podjazdu w główną szosę i Paul po raz ostatni przyłożył dłoń do szyby. Adrienne uniosła rękę i pomachała mu, patrząc, jak samochód toczy się naprzód, pozostawiając za sobą Rodanthe, pozostawiając ją.

Stała na podjeździe ze spojrzeniem utkwionym w samochód, który stawał się coraz mniejszy, warkot silnika coraz cichszy. W chwilę później zniknął całkiem z pola widzenia, jak gdyby Paula w ogóle nigdy tutaj nie było.

Poranek był rześki, po błękitnym niebie mknęły białe obłoczki. Nad głową Adrienne przefrunęło stado rybitw. Fioletowe i żółte bratki otwierały płatki do słońca. Adrienne odwróciła się i ruszyła ku drzwiom.

Wewnątrz wszystko wyglądało tak samo, jak w dniu, kiedy tu przyjechała. Wszystko było na miejscu. Paul wyczyścił wczoraj kominek i ułożył obok nowy stos drewna na opał. Fotele zostały ustawione w pierwotnej pozycji. Na tablicy wisiały wszystkie klucze.

Pozostały zapachy. Zapach ich wspólnego śniadania, zapach wody kolońskiej po goleniu, zapach Paula... na jej dłoniach, na jej twarzy, na jej ubraniu. Czara gorzycy się przelała i Adrienne kompletnie się załamała. Dźwięki wypełniające Gospodę w Rodanthe nie były już takie jak przedtem. Nie słychać było echa cichych rozmów ani szumu wody płynącej szybko rurami, ani odgłosu kroków Paula, gdy chodził po swoim pokoju. Ustał ryk fal i nieustanne dzikie zawrodozenie wiatru, trzask ognia płonącego w kominku. Gospodę wypełniło rozpaczliwe łkanie kobiety pragnącej wyłącznie jednego - żeby pocieszył ją mężczyzna, którego kochała; kobiety, której nie pozostało absolutnie nic poza płaczem.

ROZDZIAŁ 16

Rocky Mount, 2002

Gdy Adrienne zakończyła swoją opowieść, zaschło jej w gardle. Poza ożywieniem, które zawdzięczała działaniu jednego kieliszka wina, czuła ból w plecach, spowodowany siedzeniem zbyt długo w jednej pozycji. Poprawiała się na krześle i przeszył ją kłujący ból, który świadczył o początkach artretyzmu. Kiedy wspomniała o tym swojemu lekarzowi, polecił jej usiąść na stole w pokoju, w którym unosiła się woń amoniaku. Kazał jej podnieść ręce i zgiąć kolana, po czym wypisał receptę, lecz przepisanych leków nigdy nie wykupiła. Mówiła sobie, że nie jest przecież poważnie chora. Poza tym hołdowała teorii, że jeśli zacznie brać pigułki na jedno schorzenie, nie minie wiele czasu, a będzie musiała łykać lekarstwa na wszystkie dolegliwości, na które są skazani ludzie w jej wieku. Niebawem przepiszą jej leki w różnych kolorach tęczy, jedno do stosowania rano, inne wieczorem, w trakcie jedzenia albo na czczo, aż wreszcie będzie musiała przyczepić grafik w apteczce, żeby się nie pomylić. Więcej kłopotu, niż jest to warte.

Amanda siedziała ze spuszczoną głową. Adrienne przyglądała się jej, wiedząc, że padną pytania. Było to nieuniknione, ale miała nadzieję, że córka nie zacznie drażnić od razu. Potrzebowała czasu, musiała pozbierać myśli, żeby mogła dokończyć to, co zaczęła.

Była zadowolona, że Amanda zgodziła się spotkać z nią tutaj, w jej domu. Mieszkała w nim od ponad trzydziestu lat i był to dla niej prawdziwy dom, bardziej niż ten, w którym mieszkała jako dziecko. To prawda, niektóre drzwi się wypaczyły, wytarty dywan w holu był cienki jak papier, kolory kafelków w łazience wyszły dawno z mody, ale było coś uspokajającego w świadomości, że znajdzie sprzęt turystyczny w lewym rogu na końcu strychu albo że pompa ciepła przy pierwszym użyciu w zimie przepali bezpiecznik. Ten dom miał swoje zwyczaje, ona również, i przez lata zazębiły się chyba w taki sposób, że czyniły jej życie bardziej przewidywalnym i dziwnie podnosiły ją na duchu.

To samo dotyczyło kuchni. I Matt, i Dan od dwóch lat proponowali, że urządzią ją na nowo. Na urodziny matki zaprosili wykonawcę, który przyszedł obejrzeć kuchnię. Opukiwał drzwi, wtykał śrubokręt w szpary popękanych bufetów, zapalał i gasił światło, zagwizdał pod nosem, gdy zobaczył staroświecką kuchenkę, na której gotowała. Na koniec stwierdził, że należałoby wymienić właściwie wszystko, po czym sporządził kosztorys, jak również zostawił listę osób, od których można uzyskać referencje. Chociaż Adrienne wiedziała, że synowie

kierowali się dobrymi intencjami, powiedziała im, żeby raczej zachowali pieniądze na coś, co przyda się ich rodzinom.

Podobała jej się ta stara kuchnia. Modernizacja zmieniałaby jej charakter, Adrienne zaś lubiła wspomnienia związane z kuchnią. Przecież to właśnie tutaj spędzali razem większość czasu jako rodzina, zarówno wtedy, gdy jeszcze mieszkał z nimi Jack, jak i po jego odejściu. Dzieci odrabiały lekcje przy tym samym stole, przy którym teraz siedziała. Przez lata jedyny telefon w domu wisiał na ścianie i jeszcze teraz pamiętała kabel tkwiący między drzwiami a framugą, gdy któreś z dzieci próbowało wywalczyć odrobinę prywatności i wychodziło na werandę, by tam porozmawiać. Na wspornikach półek w spiżarni widniały zaznaczone ołówkiem kreski, które pokazywały, jak szybko rosły dzieci przez te lata, i Adrienne po prostu nie wyobrażała sobie, żeby mogła chcieć pozbyć się tych pamiątek dla czegoś nowego i udoskonalonego, bez względu na to jak eleganckie byłoby to nowe wyposażenie. W przeciwieństwie do salonu, w którym bez przerwy chodził telewizor, i sypialń, dokąd wszyscy się wycofywali, kiedy chcieli być sami, było to jedyne miejsce, gdzie domownicy przychodzili rozmawiać, odrabiać lekcje i pomagać w lekcjach, śmiać się i płakać. To było miejsce, gdzie ich dom był tym, czym być powinien. Tutaj Adrienne czuła się zawsze najbardziej zadowolona.

I właśnie w tym miejscu Amanda się dowiedziała, kim naprawdę jest jej matka.

* * *

Adrienne dopiła wino i odsunęła kieliszek. Deszcz przestał padać, ale krople, które pozostały na szybach, załamywały światło w taki sposób, że świat na zewnątrz wyglądał zupełnie inaczej, nie poznawała go. Nie była tym zdziwiona. Gdy przybyło jej lat, odkryła, że kiedy wraca myślami do przeszłości, wszystko dookoła zdaje się zmieniać. Dzisiaj wieczorem, opowiadając swoją historię, miała wrażenie, że czas się cofnął, i choć wydawało się to absurdalne, była ciekawa, czy jej córka zauważyła w niej na nowo odkrytą młodość.

Nie, stwierdziła, raczej na pewno nie, ale to wiąże się z jej wiekiem. Dla Amandy bycie sześćdziesięciolatką jest pojęciem równie obcym jak bycie mężczyzną. Adrienne zastanawiała się czasami, czy Amanda zda sobie kiedyś sprawę, że w zdecydowanej większości ludzkie wcale się tak bardzo nie różnią. Młodzi i starzy, mężczyźni i kobiety, prawie wszyscy, których znała, pragnęli tego samego - odczuwać spokój w sercach, żyć bez nerwówki, pragnęli po prostu być szczęśliwi. Adrienne pomyślała, że różnica polega na tym, iż większość młodych ludzi

prawdopodobnie myśli, że to wszystko znajduje się gdzieś w przyszłości, podczas gdy starsi uważają, że należy do przeszłości.

W jej wypadku to też było prawdą, przynajmniej częściowo, ale jeśli nawet przeszłość była wspaniała, Adrienne nie pozwalała sobie na uczucie zagubienia, tak jak wiele jej przyjaciółek. Przeszłość nie była wyłącznie słoneczna i usłana różami. Bywały też chwile, kiedy serce pękało z bólu. Tak się czuła, gdy po przyjeździe do Gospody myślała o tym, jaki Jack miał wpływ na jej życie, a teraz, gdy wspominała Paula Flannera.

Dziś wieczorem popłacze sobie, ale - tak jak wmawiała w siebie codzienne, od dnia kiedy Paul wyjechał z Rodanthe - będzie żyła dalej. Jest twarda, ojciec powtarzał jej to wielokrotnie, i choć czerpała z tej świadomości pewną satysfakcję, nie zmniejszało to cierpienia ani żalu.

Teraz próbowała koncentrować się na tych sprawach, które sprawiały jej radość. Uwielbiała przyglądać się, jak jej wnuczeta odkrywają świat, lubiła spotykać się z przyjaciółkami i rozmawiać o tym, co się dzieje w ich życiu, zaczęła nawet czerpać przyjemność z pracy w bibliotece.

Praca nie była ciężka -: obecnie pracowała w specjalnym dziale podręcznym, skąd nie można było wypożyczać książek do domu - i ponieważ czasami mijały godziny, zanim była do czegoś potrzebna, mogła spokojnie obserwować ludzi, którzy wchodzili przez oszklone drzwi do budynku. Przez lata stało się to jej ulubionym zajęciem. Gdy sadowili się przy stolikach lub w fotelach w cichych salkach, wyobrażała sobie ich życie. Próbowwała na przykład domyślić się, czy dana kobieta jest mężatką, czy nie, czym się zajmuje, w której części miasta mieszka, jakie książki mogą ją interesować, a niekiedy miała okazję sprawdzić, czy się nie myliła. Bywało, że osoba, która ją interesowała, podchodziła do niej, prosząc o pomoc w znalezieniu konkretnej książki, ona zaś nawiązywała przyjazną rozmowę. Najczęściej jej domysły były trafne i nawet sama dziwiła się swojej intuicji.

Od czasu do czasu zjawiał się ktoś, kto się nią interesował. Dawniej byli to zwykłe mężczyźni starsi od niej, teraz raczej młodszy, ale w obu wypadkach wszystko przebiegało według tego samego schematu. Facet zaczynał spędzać coraz więcej czasu w dziale podręcznym, zadawał mnóstwo pytań, najpierw dotyczących książek, potem tematów ogólnych, a wreszcie jej samej. Nie miała nic przeciwko rozmowie i mimo że nigdy żadnego z mężczyzn nie prowokowała, większość z nich zazwyczaj chciała się z nią umówić. Pochlebiali jej to zawsze odrobinę, w głębi duszy jednak zdawała sobie sprawę, że bez względu na to, jak uroczy może się

okazać adorator i jak dobrze będzie się bawiła w jego towarzystwie, nigdy nie otworzy przed nim serca tak, jak to kiedyś zrobiła przed Paulem.

Czas spędzony w Rodanthe zmienił ją też pod innymi względami. Przebywanie z Paulem uleczyło jej poczucie straty i zdrady po rozpadzie małżeństwa, zastąpiło je coś silniejszego i zdecydowanie przyjemniejszego. Świadomość, że jest warta tego, by ją kochać, sprawiła, że łatwiej jej było chodzić z podniesioną głową, zyskała pewność siebie, potrafiła rozmawiać z Jackiem, bez podtekstów czy insynuacji, nie wstydząc się i nie żałując, że w przeszłości nie udawało jej się ukryć swoich uczuć. Następowало to stopniowo. Jeśli odebrała telefon, gdy Tacie dzwonił do dzieci, rozmawiali zwykle przez kilka minut, zanim oddała słuchawkę. Później zaczęła pytać o Lindę, o jego pracę, opowiadać, co ostatnio robiła. Z czasem Jack zaczął zdawać sobie sprawę, że Adrienne nie jest już tą samą osobą. Z upływem miesięcy i lat te rozmowy stawały się coraz bardziej przyjacielskie i niekiedy dzwoniли do siebie po to, żeby pogadać. Kiedy jego małżeństwo z Lindą zaczęło się psuć, spędzali przy telefonie całe godziny, czasami rozmawiali do późnej nocy. Gdy Jack i Linda się rozwiedli, to właśnie Adrienne pomagała byłemu mężowi uporać się z jego zgrzyotą. Pozwoliła mu nawet przenocować w gościnniej sypialni, gdy przyjechał odwiedzić dzieci. Jak na ironię, Linda zostawiła go dla innego mężczyzny, a Adrienne pamiętała do dziś, jak siedziała wtedy z Jackiem w salonie. Obracał w palcach szklaneczkę szkockiej. Minęła północ, od kilku godzin Jack mówił bez ładu i składu o tym, przez co przechodzi, gdy nagle zdał sobie chyba sprawę, kto słucha jego wynurzeń.

- Czy ty też tak cierpiałas? - spytał.

- Tak - odpowiedziała Adrienne.

- Jak długo to trwało?

- Trzy lata - odrzekła. - Ale miałam szczęście. Jack pokiwał głową. Zaciskając usta, wpatrywał się w swojego drinka.

- Przepraszam - powiedział. - To, że wyszedłem przez te drzwi, jest najgłupszą rzeczą, jaką zrobiłem w życiu.

Adrienne poklepała go z uśmiechem po kolanie.

- Wiem. Lecz i tak ci dziękuję.

Mniej więcej rok później Jack zadzwonił, by zaprosić ją na kolację. I podobnie jak to robiła w stosunku do innych, Adrienne uprzejmie mu odmówiła.

* * *

Adrienne wstała i podeszła do bufetu, by wziąć pudełko, które przyniosła wcześniej z sypialni, po czym wróciła do stołu. Amanda tymczasem przyglądała jej się z niemal podejrzliwą fascynacją. Adrienne ujęła z uśmiechem rękę córki.

Czyniąc to, zauważyła, że coś się zmieniło w ciągu ostatnich dwóch godzin - Amanda uświadomiła sobie, że nie znała matki tak dobrze, jak jej się zdawało. Adrienne pomyślała, że nastąpiło pewnego rodzaju odwrócenie ról. Amanda miała taki sam wyraz oczu, jaki Adrienne miewała niegdyś w przeszłości, gdy dzieci spotykały się u niej podczas świąt i żartowały na temat rzeczy, które robiły w czasach, kiedy były młodsze. Dopiero dwa lata temu dowiedziała się, że Matt wymykał się późno w nocy ze swego pokoju, żeby spotkać się z kolegami, że Amanda zaczęła palić, a następnie rzuciła papierosy, gdy była na przedostatnim roku studiów, że to właśnie Dan spowodował mały pożar w garażu, który złożono na karb wadliwej instalacji elektrycznej. Śmiała się razem z nimi, czując się jednocześnie okropnie naiwna. Była ciekawa, czy tak właśnie czuje się w tej chwili Amanda.

Wiszący na ścianie zegar tykał monotonicznie. Pompa ciepła włączyła się z głuchym odgłosem. W tej samej chwili Amanda westchnęła głośno.

- A to dopiero historia - powiedziała.

Trzymając w palcach kieliszek, zataczała nim koła.

Światło lampy odbijało się w złocistym trunku, sprawiając, że skrzył się jak drogocenny kamień.

- Czy Matt i Dan wiedzą? To znaczy, czy powiedziałaś im o tym?

- Nie.

- Dlaczego?

- Nie wydaje mi się, żeby musieli o tym wiedzieć - odparła z uśmiechem Adrienne. - Nie jestem pewna, czy zrozumieliby, bez względu na to, co bym im powiedziała. Przede wszystkim są mężczyznami, poza tym wchodzi również w grę moja ostrożność... nie chcę, żeby pomyśleli, że Paul po prostu polował na samotną kobietę. Mężczyźni są czasami tacy... jeśli sami poznają kogoś i zakochają się, uważają to za prawdziwą miłość, nieważne jak szybko stracili głowę. Ale jeśli ktoś zakocha się w kobiecie, o którą się troszcza, natychmiast kwestionują intencje tego mężczyzny. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy kiedykolwiek im o tym powiem.

Amanda pokiwała głową.

- Wobec tego dlaczego zdecydowałaś się rozmawiać o tym ze mną? - spytała.

- Ponieważ doszłam do wniosku, że powinnaś się dowiedzieć.

Amanda zaczęła owijać w zamyśleniu kosmyk włosów wokół palca. Adrienne zastanawiała się, czy zawdzięcza ten zwyczaj genetyce, czy też nabyła go mimo woli, przyglądając się matce.

- Mamo?

- Słucham?

- Czemu nam o nim w ogóle nie powiedziałaś? Przecież nigdy nawet nie napomknęłaś słowem o całej tej historii.

- Nie mogłam.

- Dlaczego?

Adrienne odchyliła się na oparcie krzesła i westchnęła głęboko.

- Na początku chyba bałam się, że to wszystko jest mało realne. Owszem, kochaliśmy się, ale odległość jest wrogiem miłości i chciałam się upewnić, że nasz związek przetrwa, zanim opowiem wam o wszystkim. Później, kiedy zaczęłam dostawać od niego listy i wiedziałam już, że tak się stanie... nie mam pojęcia... po prostu wydawało mi się, że minie jeszcze tak wiele czasu, nim go poznacie, że nie widziałam sensu, żeby już w tej chwili o tym mówić... - Przerwała na moment, po czym mówiła dalej, starannie dobierając słowa: - Musisz też zdać sobie sprawę, że nie jesteś tą samą osobą, którą byłaś wtedy. Miałaś siedemnaście lat, Dan zaledwie piętnaście i nie wiedziałam, czy jesteście gotowi usłyszeć coś takiego. Pomyśl, jak moglibyście się poczuć, gdy po waszym powrocie od ojca powiedziałabym, że zakochałam się w kimś, kogo właśnie poznałam?

- Jakoś byśmy pewnie to znieśli.

Adrienne podeszła do słów Amandy z dużym sceptycyzmem, lecz nie spierała się z nią. Wzruszyła tylko ramionami.

- Kto wie. Może masz rację. Może i zaakceptowalibyście tę sytuację, ale wtedy bałam się zaryzykować. I gdybym jeszcze raz miała podjąć decyzję, zapewne postąpiłabym tak samo.

Amanda poprawiła się na krześle. Po dłuższej chwili popatrzyła matce w oczy.

- Jesteś pewna, że on cię kochał? - spytała.

- Tak - odpowiedziała Adrienne.

W przyćmionym świetle oczy Amandy wydawały się niemal turkusowe. Uśmiechnęła się łagodnie, jak gdyby próbowała poruszyć oczywistą sprawę, nie czyniąc matce przykrości.

Adrienne wiedziała, jakie będzie następne pytanie Amandy. Samo się logicznie nasuwało. Amanda pochyliła się do przodu, na jej twarzy malowała się troska.

- Wobec tego gdzie on jest?

* * *

W ciągu czternastu lat, od chwili gdy widziała Paula Flannera po raz ostatni, Adrienne była w Rodanthe pięć razy. Pierwszy raz pojechała tam w czerwcu tego samego roku i mimo że piasek wydawał się bielszy, a ocean zlewał się na horyzoncie z niebem, pozostałe cztery podróże wolą odbyć w zimie, kiedy na świecie było szaro i zimno, wiedząc, że o tej porze łatwiej jej będzie przywołać wspomnienia.

Tamtego ranka, gdy Paul wyjechał, Adrienne błądziła po domu, nie będąc w stanie usiedzieć w jednym miejscu. Tylko w ten sposób mogła próbować zdystansować się od swoich uczuć. Późnym popołudniem, kiedy zmierzch zaczął malować niebo w różne odcienie czerwieni i oranżu, wyszła na dwór i wpatrywała się w te barwy, próbując odnaleźć samolot, na którego pokładzie znajdował się Paul. Szanse na to, że go zobaczy, były znikome, a jednak stała na zimnie, kostniejąc coraz bardziej, im później się robiło. Zauważyła pośród chmur smugę pozostawioną przez odrzutowiec, ale logika podpowiadała jej, że zostawił ją któryś z samolotów stacjonujących w bazie marynarki wojennej w Norfolk. Gdy wróciła do domu, miała tak zgrabiałe ręce, że włożyła je pod strumień ciepłej wody, czując, jak ją pieką. Mimo że zdawała sobie sprawę, że Paul wyjechał, tak jak przedtem nakryła do kolacji na dwie osoby.

Chwilami miała nadzieję, że Paul jednak nie wyjedzie, że wróci. Jedząc kolację, wyobrażała sobie, jak wchodzi przez frontowe drzwi i rzuca swoje worki podróżne, wyjaśniając, że nie mógł wyjechać, nie spędziwszy z nią jeszcze jednej nocy. Powie, że wyjadą jutro albo pojutrze i będą kierować się autostradą na północ, aż w końcu skręcą w boczną drogę do jej domu.

Tak się jednak nie stało. Drzwi frontowe się nie otworzyły, telefon nie zadzwonił. I choć Adrienne pragnęła, żeby został, wiedziała, że słusznie nakłaniała go, żeby wyjechał. Jeszcze jeden dzień przecież nie ułatwiłby wyjazdu. Jeszcze jedna wspólna noc oznaczałaby tylko tyle, że znowu musieliby się żegnać, a było to niewymownie trudne za pierwszym razem. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że po raz drugi będzie musiała wypowiedzieć te słowa ani też że będzie musiała przeżyć kolejny dzień taki jak ten, który się właśnie kończył.

Nazajutrz rano Adrienne zaczęła sprzątać Gospodę, metodycznie koncentrując się na zwykłych czynnościach. Pozmywała naczynia i gdy wyschły, pochowała je na miejsce do szafek. Odkurzyła dywaniki, wymiotła piasek z kuchni i korytarza, starła kurz z balustrady oraz z lamp w salonie, następnie zaczęła pucować pokój Jean i robiła to dopóty, dopóki nie zaczął wyglądać tak jak w chwili jej przyjazdu.

Potem zaniósła swoją walizkę na górę i otworzyła drzwi do niebieskiego pokoju.

Nie była w nim od rana poprzedniego dnia, od chwili wyjazdu Paula. Popołudniowe słońce rzucało refleksy na ścianę. Paul pościelił łóżko, zanim zszedł na dół, ale chyba jednak zdawał sobie sprawę, że nie musi specjalnie się starać. Narzuta była lekko wybrzuszona tam, gdzie koc się zmarszczył, prześcieradło zwisało w kilku miejscach, prawie dotykając podłogi. W łazience jeden ręcznik był przewieszony przez pręt zasłony, dwa inne leżały zwinięte razem obok umywalki.

Stała bez ruchu, chłonąc ten widok, w końcu postawiła walizkę na podłodze. W tym samym momencie zauważyła leżący na komodzie list, który napisał do niej Paul. Wzięła go do ręki i powoli usiadła na brzegu łóżka. W ciszy pokoju, w którym się kochali, przeczytała to, co napisał do niej wczoraj rano.

Gdy skończyła czytać, opuściła list na kolana i siedziała nieruchomo, wyobrażając sobie Paula piszącego te słowa. Potem złożyła starannie kartkę i włożyła ją do walizki razem z muszlą. Kiedy po kilku godzinach przyjechała Jean, Adrienne stała oparta o balustradę na werandzie z tyłu domu, wpatrując się znowu w niebo.

Jean była jak zwykle sobą - wylewna, szczęśliwa, że widzi Adrienne, szczęśliwa, że wróciła do domu. Trajkotała bez ustanku, opowiadając o ślubie i o starym hotelu w Savannah, gdzie się zatrzymała. Adrienne słuchała opowieści przyjaciółki, nie przerywając jej, a po kolacji powiedziała, że ma ochotę przespacerować się po plaży. Na szczęście Jean nie skorzystała z propozycji, by przejść się razem z nią. Gdy wróciła do Gospody, Jean rozpakowywała bagaże w swoim pokoju. Adrienne zaparzyła sobie herbatę i usiadła z parującą filiżanką przy kominku. Kołysząc się w fotelu, usłyszała, że przyjaciółka wchodzi do kuchni.

- Gdzie jesteś? - zawołała Jean.

- Tutaj - odrzyknęła Adrienne. Chwilę później Jean stanęła w progu.

- Czyżbym słyszała gwizd czajnika?

- Właśnie nalałam sobie filiżankę.

- Od kiedy pijasz herbatę?

Adrienne roześmiała się krótko, pominęła jednak milczeniem pytanie Jean.

Przyjaciółka usadowiła się na fotelu obok niej. Za oknami wschodził księżyc, w jego jasnej poświacie piasek świecił mocno jak starodawne rondle i patelnie.

- Jesteś dzisiaj jakaś milcząca - powiedziała Jean.

- Przepraszam. - Adrienne wzruszyła ramionami. - To po prostu zmęczenie. Chyba trochę stęskniłam się za domem.

- Na pewno. Ja liczyłam kilometry, od chwili gdy tylko wyjechałam z Savannah, ale na szczęście nie było przynajmniej dużego ruchu na szosie. Wiesz, jest już po sezonie.

Adrienne skinęła głową.

Jean rozsiadła się wygodnie w fotelu.

- Czy Paul Flanner był zadowolony z pobytu? Mam nadzieję, że huragan nie pokrzyżował mu planów.

Na dźwięk jego imienia Adrienne ścisnęło się serce, zrobiła jednak wszystko, by zachować spokój.

- Nie sądzę, żeby w ogóle przejął się sztormem - odparła.

- Opowiedz mi o nim. Przez telefon odniosłam wrażenie, że jest raczej sztywny.

- Nie, ani trochę. Jest... miły.

- Czulaś się nieswojo, przebywając tu z nim sama?

- Nie. Przyzwyczaiałam się.

Jean czekała na dalszy komentarz Adrienne, ona jednak nie powiedziała już nic.

- No cóż... to dobrze - drażyla dalej. - I nie miałaś problemów z zabezpieczeniem domu przed huraganem?

- Nie.

- To wspaniale. Jestem ci ogromnie wdzięczna, że mnie zastąpiłaś. Wiem, że miałaś nadzieję na spokojny weekend, ale chyba los zrządził inaczej, prawda?

- Chyba tak.

Być może ton głosu sprawił, że Jean rzuciła jej szybkie spojrzenie. Na twarzy przyjaciółki odmalowało się wyraźne zaciekawienie. Adrienne dopiła herbatę, czując nagle, że potrzebuje prywatności.

- Strasznie mi przykro, Jean, że ci to robię - powiedziała, starając się, żeby jej głos brzmiał naturalnie - ale chyba pójdę się już położyć. Jestem zmęczona, a czeka mnie jutro długa jazda samochodem. Cieszę się, że dobrze się bawiłaś na weselu.

Jean uniosła lekko brwi, zaskoczona niespodziewanym zakończeniem wieczoru.

- Och... cóż, trudno. Wobec tego dobranoc.

Adrienne czuła na sobie niepewny wzrok przyjaciółki, nawet gdy szła na górę po schodach. Weszła do niebieskiego pokoju, zrzuciła ubranie i wślizgnęła się do łóżka, naga i samotna. Na poduszce i pościeli pozostał zapach Paula. Przesuwając w zamyśleniu palcami po swoich piersiach, ukryła się w tym zapachu, walcząc z sennością, aż wreszcie się poddała. Gdy wstała nazajutrz rano, zaparzyła kawę i wybrała się na ostatni spacer po plaży.

W ciągu półgodzinnej przechadzki spotkała dwie pary. Front atmosferyczny przygnał nad wyspę cieplejsze powietrze i Adrienne wiedziała, że piękna pogoda skusi jeszcze więcej osób mających ochotę na spacer brzegiem oceanu.

O tej porze Paul powinien już dotrzeć do kliniki i Adrienne zastanawiała się, jak tam jest. Potrafiła ją sobie wyobrazić, być może widziała coś podobnego na którymś kanale przyrodniczym w telewizji - kilka zbudowanych w pośpiechu pawilonów, otoczonych wdzierającą się na ich teren dżunglą, koleiny w krętej, piaszczystej drodze, egzotyczne ptaki, ćwierkające w tle - miała jednak wątpliwości, czy naprawdę tak to wygląda. Była ciekawa, czy rozmawiał już z Markiem i jak się potoczyło ich spotkanie, a przede wszystkim, czy podobnie jak ona przeżywa w myślach miniony weekend.

Gdy wróciła, w kuchni nie było nikogo. Obok ekspresu do kawy stała otwarta cukiernica i pusta filiżanka. Z góry dochodziły stłumione odgłosy czyjejś krzątania. Adrienne poszła, kierując się tym dźwiękiem, a gdy znalazła się na piętrze, zobaczyła, że drzwi do niebieskiego pokoju są otwarte, a Jean, zgięta wpół, utyka ostatni róg świeżego prześcieradła. Stara pościel, która kiedyś spowijała Adrienne i Paula, leżała zwinięta na podłodze.

Wpatrywała się w tę pościel, wiedząc, że jej zdenerwowanie jest absurdałne, nagle jednak dotarło do niej z całą ostrością, że minie co najmniej rok, zanim znowu poczuje zapach Paula Flannera. Wciągnęła nerwowo powietrze, próbując stłumić szloch.

Jean odwróciła się, zaskoczona, na ten dźwięk, otwierając szeroko oczy.

- Dobrze się czujesz, Adrienne? - spytała.

Adrienne nie zdołała jednak wydobyć z siebie głosu. Zasłoniła twarz rękami, uświadomiwszy sobie, że od tej chwili będzie skreślała dni w kalendarzu aż do powrotu Paula.

* * *

- Paul - odpowiedziała córce - jest w Ekwadorze. - Zwróciła uwagę, że jej głos brzmi zadziwiająco spokojnie.

- W Ekwadorze - powtórzyła Amanda. Bębniła palcami po stole, nie spuszczać wzroku z matki. - Dlaczego nie wrócił?

- Nie mógł.

- Dlaczego?

Zamiast odpowiedzieć, Adrienne zdjęła pokrywkę z pudełka i wyjęła kartkę papieru, która wyglądała dla Amandy na stronę wyrwaną ze studenckiego notatnika. Była złożona i pośliznęła ze starości. Amanda dostrzegła imię matki, napisane na wierzchu.

- Zanim ci wyjaśnię - mówiła dalej Adrienne - chciałabym najpierw odpowiedzieć na twoje inne pytanie.

- Jakie inne pytanie?

Adrienne uśmiechnęła się.

- Spytałaś, czy jestem pewna, że Paul mnie kocha. - Podsunęła kartkę przez stół córce. - To list, który Paul napisał do mnie w dniu wyjazdu z Rodanthe.

Amanda zawahała się przez moment, zanim wzięła kartkę papieru i powoli ją rozłożyła. Zaczęła czytać, Adrienne zaś siedziała w milczeniu naprzeciwko niej.

Najdroższa Adrienne

Nie było Cię przy mnie, gdy obudziłem się dzisiaj rano, i choć znałem przyczynę Twojej nieobecności, żałowałem, że sobie poszłaś. Wiem, że to egoistyczne z mojej strony, ale przypuszczam, że ta cecha została jeszcze we mnie - cecha, która towarzyszyła mi przez całe życie.

Jeżeli czytasz ten list, to znaczy, że wyjechałem. Gdy skończę pisać, zejść na dół i zapytam, czy mogę zostać z Tobą dłużej, nie mam jednak złudzeń, co mi odpowiesz.

To nie jest pożegnanie i nie chcę, żebyś nawet przez chwilę myślała, że jest to powód, dla którego napisałem ten list. Raczej potraktuję rok naszej rozłąki jako okazję do tego, żeby poznać Cię lepiej. Słyszałem o ludziach, którzy zakochali się listownie, i choć my już się pokochaliśmy, nie oznacza to, że nasza miłość nie może się jeszcze pogłębić, prawda? chciałbym myśleć, że jest

to możliwe, i jeśli chcesz znać prawdę, to mam nadzieję, że ta właśnie pewność pomoże mi przetrwać nadchodzący rok bez Ciebie.

Gdy zamykam oczy, widzę Cię spacerującą po plaży podczas naszego pierwszego wspólnego wieczoru. Z twarzą rozświetloną przez błyskawice byłaś absolutnie piękna. Myślę, że częściowo dlatego potrafiłem się przed Tobą otworzyć tak jak nigdy przed nikim innym. Ale poruszyła mnie nie tylko Twoja uroda. Złożyło się na to wszystko - Twoja odwaga i żarliwość, zdroworoządkowa mądrość, z jaką patrzysz na świat. Myślę, że wyczułem w Tobie te cechy, gdy po raz pierwszy piliśmy razem kawę, a im lepiej Cię poznawałem, tym dobitniej zdawałem sobie sprawę, jak bardzo brakowało tych cech w moim własnym Życiu. Jesteś rzadkością, Adrienne, i prawdziwy szczęściarz ze mnie, że Cię spotkałem.

Mam nadzieję, że się jakoś trzymasz. Pisząc te słowa, czuję się wręcz fatalnie. Dzisiejsze pożegnanie z Tobą jest najtrudniejszą rzeczą, jaką musiałem kiedykolwiek zrobić, i mogę uczciwie przysiąc, że gdy wrócę, nie uczynię tego nigdy więcej. Kocham Cię za to, co już wspólnie przeżyliśmy, a także kocham Cię w oczekiwaniu na to, co się wydarzy. Nie mogło mnie spotkać w życiu nic lepszego od poznania Ciebie. Już za Tobą tęsknię, ale w głębi serca jestem pewny, że zawsze będziesz ze mną. W ciągu kilku dni, które spędziliśmy razem, stałaś się spełnieniem moich marzeń.

Paul

* * *

Rok, który nastąpił po wyjeździe Paula, był niepodobny do żadnego roku w życiu Adrienne. Pozornie wszystko było jak zawsze. Aktywnie zajmowała się dziećmi, odwiedzała codziennie ojca, pracowała w bibliotece. Ale robiła to wszystko z nowym zapalem, którego dodawała jej skrzętnie skrywana tajemnica, co nie uszło uwagi ludzi, z którymi miała do czynienia. Dostrzegli, że częściej się uśmiecha, i nawet jej dzieci od czasu do czasu zauważały, że chodzi po kolacji na spacerzy albo bierze długą kąpiel, nie przejmując się panującym wokół niej harmiderem.

W takich chwilach myślała zawsze o Paulu, lecz jego obraz zdecydowanie nabierał barw, ilekroć widziała nadjeżdżającą furgonetkę pocztową, która zatrzymywała się po drodze, żeby dostarczyć przesyłki.

Pocztę przywożono zwykle między dziesiątą a jedenastą rano i Adrienne stała w oknie, obserwując, czy furgonetka zatrzyma się przed jej domem. Gdy samochód odjeżdżał,

podchodziła do skrzynki i wyjąwszy listy, przeglądała je, wypatrując charakterystycznych beżowych kopert lotniczych, które lubił Paul, znaczków pocztowych odmalowujących świat, którego kompletnie nie znała, i jego nazwiska w lewym górnym rogu.

Gdy nadszedł pierwszy Ust od Paula, Adrienne usiadła na werandzie na tyłach domu. Kiedy skończyła czytać, zaczęła od początku i przeczytała go po raz drugi, powoli, przerywając i zatrzymując się dłużej na poszczególnych słowach. Postępowała tak samo przy każdym kolejnym liście, a gdy zaczęły przychodzić regularnie, zrozumiała, że obietnica, którą złożył jej Paul w pierwszym liście, jeszcze w Rodanthe, nie była słowami rzuconymi na wiatr. Pewnie, że wolałaby go zobaczyć, znaleźć się w jego ramionach, ale namiętność płynąca z jego słów w jakiś sposób zdawała się zmniejszać dzielącą ich odległość.

Bardzo lubiła wyobrażać sobie, jak wyglądał, pisząc listy. Widziała go przy wysłużonym biurku - goła żarówka oświetlała jego znużoną twarz. Była ciekawa, czy pisał szybko i słowa płynęły mu spod pióra nieustającym strumieniem, czy też przerywał od czasu do czasu, wpatrując się z zamyśleniem w jakiś punkt, zbierając myśli. Obrazy, które kreśliła w wyobraźni, raz były takie, przy kolejnym liście mogły być inne, w zależności od tego, co napisał. Trzymając list w rękę, Adrienne zamykała oczy, starając się odgadnąć nastrój Paula.

Ona również do niego pisała, odpowiadając na pytania, które jej zadał, i opisując, co się dzieje w jej życiu. W tych momentach czuła niemal jego obecność przy sobie. Gdy lekki wiatr rozwiewał jej włosy, miała wrażenie, że Paul przesuwając delikatnie palcami po jej skórze. Gdy słyszała ciche tykanie zegara, przypominało jej to bicie serca Paula, kiedy opierała głowę na jego piersi. Gdy jednak odkładała pióro, zawsze wracała myślami do ostatnich chwil, które spędzili razem, do pożegnania na zwirowanym podjeździe, do ostatniego uścisku, łagodnego dotyku jego warg, do obietnicy, że po roku rozłąki spędzą wspólnie całe życie.

Paul dzwonił za każdym razem, gdy tylko miał okazję zabrać się do miasta, a czułość, którą słyszała w jego głosie, zawsze sprawiała, że ścisnęło jej się serce. Jego śmiech albo cierpienie w głosie, kiedy mówił jej, jak bardzo za nią tęskni, powodowały taką samą reakcję. Dzwonił zawsze w ciągu dnia, gdy dzieci były w szkole, i ilekroć zadzwonił telefon, odbierała dopiero po chwili, mając nadzieję, że to Paul. Rozmowy nie trwały długo, zwykle około dwudziestu minut, ponieważ jednak dostawała również listy, pocieszała się, że dzięki temu łatwiej jej będzie przetrwać jakoś następne kilka miesięcy.

W bibliotece zaczęła robić odbitki z różnych książek o Ekwadorze; wybierała wszystko, co przyciągnęło jej wzrok, od geografii do historii. Kiedyś, gdy jedno z czasopism krajoznawczych zamieściło artykuł o tamtejszej kulturze, kupiła je i siedziała godzinami, oglądając uważnie zdjęcia i właściwie ucząc się na pamięć treści. Chciała koniecznie dowiedzieć się jak najwięcej o ludziach, z którymi Paul współpracował. Czasami, wbrew sobie, zastanawiała się, czy jakaś kobieta spogląda na niego z takim samym pożądaniami jak ona.

Przejrzała również mikrofiszę stron gazet i czasopism medycznych, szukając informacji na temat życia Paula w Raleigh. Nigdy mu o tym nie napisała ani nie wspomniała przez telefon - ponieważ często powtarzał w listach, że był wtedy człowiekiem, jakim nie chce być już nigdy - Adrienne jednak zżerała ciekawość. Znalazła artykuł zamieszczony w „The Wall Street Journal”, w którym było również jego zdjęcie. Dowiedziała się z artykułu, że miał wtedy trzydzieści osiem lat. Po raz pierwszy zobaczyła, jak wyglądał, gdy był młodszy. Chociaż od razu go poznała, jej uwagę przyciągnęły natychmiast pewne różnice - ciemniejsze włosy z przedziałkiem na boku, twarz bez zmarszczek, zbyt poważna, niemal surowa mina; to było dla niej obce. Przypomniała sobie, jak się zastanawiała, co Paul pomyślałby teraz o artykule, czy w ogóle obchodziłoby go to wszystko.

Znalazła też kilka zdjęć Paula w starych egzemplarzach „Raleigh News and Observer”, zrobionych podczas spotkania z gubernatorem lub z okazji otwarcia nowego skrzydła szpitala w Duke Medical Center. Zauważyła, że na żadnym z oglądanych przez nią zdjęć Paul się nie uśmiecha. Pomyślała, że takiego Paula nie potrafi sobie wyobrazić.

W marcu, bez żadnej specjalnej okazji, Paul załatwił, że dostarczono jej róże do domu, a potem zaczął przysyłać je co miesiąc. Stawiała bukiety w swoim pokoju, zakładając, że dzieci w końcu je zauważą i wspomną coś na ten temat, one jednak były pochłonięte własnymi sprawami i nigdy jej o nic nie zapytały.

W czerwcu pojechała znowu do Rodanthe na długi weekend z Jean. Przyjaciółka w pierwszej chwili wydawała się nieco poirytowana, jak gdyby usiłowała dojść, co tak zdenerwowało Adrienne, gdy była tutaj ostatnim razem, ale po godzinie swobodnej rozmowy sytuacja powróciła do normy. Adrienne wybrała się kilkakrotnie na spacer, szukając jeszcze jednej muszli, lecz nie znalazła żadnej, która nie byłaby pokruszona przez fale.

Gdy wróciła do domu, czekał na nią list od Paula oraz zdjęcie, które zrobił Mark. W tle widać było klinikę i mimo że Paul był szczuplejszy niż przed sześcioma miesiącami, wyglądał

zdrowo. Adrienne oparła zdjęcie o solniczkę i pieprzniczkę i usadowiła się przy stole, żeby mu odpisać. Poprosił ją, żeby przysłała mu swoją fotografię, toteż przejrzała wszystkie albumy, zanim w końcu znalazła jedną, która jej zdaniem nadawała się do tego, by mu wysłać.

Lato było gorące i duszne. Większą część lipca spędzili, siedząc w domu przy włączonej klimatyzacji. W sierpniu Matt wyjechał do college'u, a Amanda i Dan wrócili do liceum. Gdy liście na drzewach zaczęły złocić się w łagodnym blasku jesiennego słońca, Adrienne zaczęła myśleć, co będą robili z Paulem po jego powrocie. Wyobrażała sobie, jak pojedą do Biltmore Estate w Asheville, żeby obejrzeć świąteczne dekoracje. Zastanawiała się, jak przyjmą go dzieci, gdy przyjdzie na kolację w święta Bożego Narodzenia, albo jak się zachowa Jean, gdy tuż po Nowym Roku zarezerwuje u niej pokój w Gospodzie na ich oba nazwiska. Bez wątpienia, myślała Adrienne, uśmiechając się pod nosem, Jean uniesie tylko brwi. Jak ją zna, najpierw nie powie nic, tylko będzie obnosiła się z zadowoloną z siebie miną, mówiącą, że przez cały czas wiedziała o wszystkim i spodziewała się ich wizyty.

Teraz, siedząc w kuchni z córką, Adrienne przypominała sobie tamte plany, myśląc, że w przeszłości zdarzały się takie chwile, kiedy niemal wierzyła, że zostały urzeczywistnione. Obmyślała scenariusze w najdrobniejszych szczegółach, ostatnio jednak powiedziała sobie: „dość”. Żal, który zawsze przychodził po przyjemnych marzeniach, pozostawiał jej uczucie pustki i zdawała sobie sprawę, że lepiej będzie, jeśli poświęci czas tym, którzy są częścią jej życia. Nie chciała już nigdy odczuwać smutku, który przynosiły takie marzenia. Czasami jednak mimo najlepszych chęci nie potrafiła z nich zrezygnować.

* * *

- No, no! - odezwała się cicho Amanda, opuszczając list i zwracając go matce.

Adrienne złożyła kartkę według starych zagięć, odłożyła na bok, po czym wyjęła z pudełka zdjęcie, które zrobił Paulowi Mark.

- To jest Paul - powiedziała.

Amanda wzięła do ręki fotografię. Pomyślała, że mimo dojrzałego wieku jest przystojniejszy, niż przypuszczała. Patrzyła w oczy, które urzekły tak bardzo jej matkę. Po chwili się uśmiechnęła.

- Rozumiem już, czemu zawrócił ci w głowie. Masz jeszcze jakieś zdjęcia?

- Nie - odparła Adrienne. - Tylko to jedno.

Amanda pokiwała głową, studiując uważnie fotografię.

- Dobrze go opisałaś. Czy przysłał ci kiedyś zdjęcie Marka? - spytała po chwili wahania.

- Nie, ale są do siebie podobni - odpowiedziała Adrienne.

- Poznałaś go?

- Tak.

- Gdzie?

- Tutaj.

Amanda uniosła ze zdziwieniem brwi.

- U nas w domu?

- Siedział tu, gdzie ty siedzisz teraz.

- A gdzie my byliśmy?

- W szkole.

Amanda pokręciła głową, próbując przetrwać tę nową informację.

- Twoja opowieść zaczyna coraz bardziej się gmatwać - powiedziała.

Adrienne odwróciła spojrzenie, po czym wstała powoli od stołu. Wychodząc z kuchni, szepnęła:

- Dla mnie też się pogmatwała.

* * *

W październiku ojciec Adrienne wrócił nieco do zdrowia po wcześniejszych wylewach, choć nie na tyle, żeby mógł opuścić dom opieki. Adrienne spędzała z nim dużo czasu, tak zresztą jak przez cały rok, dotrzymując mu towarzystwa i robiąc wszystko, co w jej mocy, żeby uprzyjemnić ojcu życie.

Dzięki rygorystycznemu planowaniu wydatków udało jej się zaoszczędzić dość pieniędzy, by zapłacić za pobyt ojca do kwietnia, była jednak w kropce, co począć dalej. Jej troski zawsze powracały do niej niczym jaskółki do Capistrano, chociaż starała się za wszelką cenę ukryć swoje obawy przed ojcem.

Gdy go odwiedzała, przeważnie ryczał telewizor, jak gdyby pielęgnarki uważały, że hałas jakimś sposobem rozproszy mgłę spowijającą jego umysł. Wylączała go. Poza pielęgnarkami była jedyną osobą, która regularnie bywała u ojca. Mimo że rozumiała niechęć swoich dzieci do odwiedzania dziadka, życzyła sobie, żeby do niego przyjeżdżały. Nie tylko ze względu na ojca, który pragnął je widywać, lecz również dla ich własnego dobra. Zawsze

uważała, że z rodziną trzeba być zarówno w dobrych, jak i złych chwilach, bo można się wtedy wiele nauczyć.

Ojciec stracił mowę, ale Adrienne wiedziała, że rozumie to, co się do niego mówi. Ponieważ prawą stronę twarzy miał sparaliżowaną, jego uśmiech był trochę krzywy, co Adrienne uważała za rozczulające. Niezwracanie uwagi na powierzchowność i widzenie go takim, jakim znali go kiedyś, wymagało dojrzałości i cierpliwości. Chociaż dzieci zaskakiwały ją czasami, okazując te właśnie cechy, zwykle czuły się nieswojo, gdy zmusiła je do odwiedzin. Można by pomyśleć, że patrząc na dziadka, widziały taką przyszłość, jakiej nie potrafiłyby stawić czoła. Nawet nie umiały sobie tego wyobrazić. Przerazała je myśl, że im mogłoby się przytrafić to samo.

Adrienne poprawiała ojcu poduszki, potem siadała przy łóżku, brała go za rękę i mówiła. Przez większość czasu zdawała relację z ostatnich wydarzeń, opowiadała o rodzinie, o tym, co słycać u dzieci, ojciec zaś nie spuszczał wzroku z jej twarzy, porozumiewając się z nią bezgłośnie, w jedyny sposób, jaki mógł. Gdy siedziała przy nim, nachodziły ją nieuchronnie wspomnienia z dzieciństwa - zapach używanej przez niego wody kolońskiej Aqua Velva, nakładanie siana do żłobu w końskim boksie, szorstki zarost na twarzy, gdy całował ją na dobranoc, czułe słowa, którymi ją obsypywał od wczesnego dzieciństwa.

W przeddzień Halloween odwiedziła go z określonym zamiarem. Wiedziała, że nadszedł czas, żeby ojciec wreszcie się dowiedział o istnieniu Paula.

- Mam ci coś do powiedzenia - zaczęła. Po czym w możliwie najprostszych słowach opowiedziała mu o Paulu, podkreślając, jak wiele dla niej znaczy.

Pamięta, że gdy skończyła, zastanawiała się, co ojciec myśli o tym, co właśnie usłyszał. Włosy miał białe jak śnieg i mocno przerzedzone. Brwi przypominały kłaczki waty.

Na jego twarzy pojawił się ten krzywy uśmiech, który tak lubiła, i chociaż z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk, poruszył wargami, a Adrienne wiedziała, co ojciec próbuje powiedzieć.

Ze ściśniętym gardłem pochyliła się nad łóżkiem i położyła głowę na jego piersi. Ojciec podniósł z trudem sprawną rękę i pogłaskał ją lekko po plecach. Pod policzkiem czuła jego żebra, teraz wystające i kruche, oraz słyszała ciche bicie serca.

- Och, tatusiu - wyszeptwała. - Ja też jestem z ciebie dumna.

* * *

Adrienne podeszła do okna w salonie i rozsunęła zasłony. Ulica była pusta, wokół latarnianych lamp tworzyły się świetliste aureole. Gdzieś w oddali ujadł wściekle pies, ostrzegając prawdziwego lub wyimaginowanego intruza.

Amanda była w kuchni, ale Adrienne wiedziała, że w końcu przyjdzie jej poszukać. To był długi wieczór dla nich obu. W zamyśleniu przesunęła palcem po szybie. Kim byli dla siebie ona i Paul? Nawet teraz w dalszym ciągu zastanawiała się nad tym. Definicja nastroczała trudności. Nie był jej mężem ani narzeczonym. Nazywanie go chłopakiem nie miało sensu, ponieważ sugerowało to młodzieńcze zadurzenie. Określenie „kochanek” obejmowało jedynie niewielką część tego, co ich łączyło. Pomyślała, że był jedynym człowiekiem w jej życiu, którego nie dawało się określić. Była ciekawa, ile innych osób może powiedzieć to samo o kimś w ich życiu.

W górze granatowe chmury otaczały księżyc, a wiatr pędził je na wschód. Jutro rano na wybrzeżu będzie padało. Adrienne była przekonana, że postępuje słusznie, nie pokazując innych listów Amandzie.

Czego córka dowiedziałaby się z nich? Może szczegółów na temat życia Paula w klinice i tego, jak spędzał tam czas? Albo jego stosunków z Markiem i rozwoju sytuacji? Wszystko opisał dokładnie w listach, podobnie jak podzielił się z nią swoimi przemyśleniami, nadziejami i obawami, ale nic z tego nie było konieczne do celu, który chciała osiągnąć ze względu na Amandę. Przedmioty, które odłożyła, w zupełności wystarczą.

Wiedziała jednak, że gdy Amanda wyjdzie, ona przeczyta jeszcze raz wszystkie listy, choćby tylko z powodu tego, co zrobiła dziś wieczorem. W żółtym świetle nocnej lampki będzie wodziła palcem po poszczególnych słowach, delektując się każdym, wiedząc, że znaczą dla niej więcej niż cokolwiek innego w życiu.

Dzisiejszego wieczoru pomimo obecności córki Adrienne była sama. Zawsze będzie sama. Wiedziała o tym już wcześniej, gdy w kuchni opowiadała córce swoją historię, wiedziała teraz, stojąc przy oknie. Czasami zastanawiała się, kim byłaby, gdyby Paul nigdy nie pojawił się w jej życiu. Być może wyszłaby ponownie za mąż i choć przypuszczała, że byłaby dobrą żoną, często zastanawiała się, czy wybrałaby odpowiedniego męża.

Nie byłoby to łatwe. Niektóre z jej owdowiałych lub rozwiedzionych przyjaciółek wyszły za mąż po raz drugi. W większości mężczyźni, których poślubiły, byli całkiem sympatyczni, ale nie wytrzymywali porównania z Paulem. Może z Jackiem tak, ale nie z Paulem. Adrienne

uważała, że romantyczna przygoda i namiętność może się zdarzyć w każdym wieku, lecz nasłuchiwała się dość od swoich przyjaciółek, by wiedzieć, iż wiele związków kończy się, gdyż okazuje się, że sprawiają więcej kłopotu, niż są warte. Adrienne nie chciała ułożyć sobie życia z człowiekiem podobnym do mężów jej znajomych, nie po listach przypominających, co straciła. Czy na przykład nowy mąż szeptałby jej słowa, które Paul napisał w swoim trzecim liście, słowa, których nauczyła się na pamięć tego samego dnia, gdy je przeczytała?

Kiedy śpię, śnię o Tobie, a gdy się budzę, pragnę tulić Cię w ramionach. Nasza rozłąka sprawiła, że jeszcze bardziej upewniłem się, iż chcę spędzać noce i dnie u Twego boku.

Albo te z kolejnego listu:

Kiedy piszę do Ciebie, czuję Twój oddech, gdy czytasz mój list, i wyobrażam sobie, że Ty czujesz mój. Czy z Tobą też tak jest? Te listy są teraz częścią nas, częścią naszej historii, wiecznym świadectwem tego, że udało nam się przetrzymać rozłąkę. Dziękuję, że pomagasz mi przetrwać ten rok, ale przede wszystkim dziękuję Ci z góry za wszystkie przyszłe lata.

A nawet list napisany po kłótni, która wywiązała się z Markiem tamtego lata. Najwyraźniej ogromnie go to przygnębiło.

Jest tak wiele rzeczy, których pragnąłbym w tej chwili, ale najbardziej tego, żebyś była tutaj ze mną. To dziwne, ale nie pamiętam, kiedy ostatni raz płakałem, zanim Cię poznałem. Teraz najwyraźniej łzy przychodzą mi łatwo... lecz masz dar sprawiania, że moje zmartwienia wydają się ważne, wyjaśniania sytuacji w sposób, który łagodzi moje cierpienie. Jesteś skarbem, darem losu, i gdy już będziemy razem, zamierzam trzymać Cię tak długo w ramionach, aż całkiem osłabną i nie dam rady dłużej tego robić. Czasami udaje mi się egzystować wyłącznie dzięki myślom o Tobie.

Wpatrując się w odległą tarczę księżyca, Adrienne pomyślała, że zna odpowiedź. Nie, nie znalazłaby mężczyzny podobnego do Paula. Gdy oparła czoło o zimną szybę, wyczuła za sobą obecność Amandy. Westchnęła, wiedząc, że nadszedł czas, by dokończyć opowieść.

- Paul miał przyjechać na święta Bożego Narodzenia - rzekła Adrienne tak cichym głosem, że Amanda musiała wyteńczyć słuch, żeby zrozumieć, co matka mówi. - Wszystko zaplanowałam. Zarezerwowałam pokój w hotelu, żebyśmy mogli spędzić razem pierwszą noc po jego powrocie. Kupiłam nawet butelkę pinot grigio. - Umilkła na chwilę. - W pudełku na stole jest list od Marka, który wyjaśnia wszystko.

- Co się stało?

W półmroku Adrienne wreszcie się odwróciła. Jej twarz znajdowała się częściowo w cieniu. Na widok wyrazu twarzy matki Amanda poczuła, jak przesywają lodowaty dreszcz.

Adrienne odpowiedziała dopiero po długiej chwili, a jej słowa zawisły w ciemności.

- Nie wiesz? - spytała szeptem.

ROZDZIAŁ 17

Amanda zwróciła uwagę, że list został napisany na tym samym papierze z notatnika, którego używał Paul. Zauważywszy, że dłonie drżą jej lekko, położyła je płasko na stole.

Potem z głębokim westchnieniem opuściła wzrok.

Droga Adrienne

Wziąłem tę kartkę papieru i zdałem sobie sprawę, że nie mam nawet pojęcia, jak powinienem zacząć taki list. Przecież nigdy się nie spotkaliśmy i mimo że znam Cię z opowiadań ojca, to nie jest to samo. Chwilami żałuję, że nie mogę tego uczynić osobiście, ale z powodu obrażeń nie jestem w stanie na razie udać się w podróż - Siedzę tutaj i usiłuję znaleźć właściwe słowa, lecz nie wiem, czy cokolwiek, co napiszę, będzie miało w ogóle znaczenie.

Przepraszam, że nie zadzwoniłem, doszedłem jednak do wniosku, że wcale nie będzie Ci łatwiej wysłuchać tego, co muszę powiedzieć. Sam ciągle próbuję to zrozumieć i częściowo z tego powodu piszę.

Wiem, że ojciec mówił Ci o mnie, sądzę jednak, że ważne jest, byś zaznajomiła się z naszą historią z mojego punktu widzenia. Mam nadzieję, że poznasz w ten sposób lepiej mężczyznę, który Cię kochał.

Musisz zrozumieć, że gdy dorastałem, nie miałem ojca. Owszem, mieszkał w tym samym domu, utrzymywał mamę i mnie, ale nigdy nie uczestniczył w codziennym życiu, a jeśli już, to tylko po to, żeby dać mi burę za czwórkę na świadectwie. Pamiętam, że gdy byłem dzieckiem, w mojej szkole organizowano olimpiady przyrodnicze, w których brałem co roku udział, i, począwszy od najmłodszej klasy aż do ósmej, ojciec nie pojawił się ani razu. Nigdy nie zabrał mnie na mecz baseballu, nie grał ze mną w piłkę na podwórku ani nawet nie wybrał się ze mną na wycieczkę rowerową. Wspomniał mi, że trochę Ci o tym opowiadał, ale możesz mi wierzyć, że sytuacja wyglądała gorzej, niż przypuszczalnie Ci przedstawił. Gdy wyjeżdżałem do Ekwadoru, pamiętam, że miałem szczerą nadzieję, iż nigdy więcej go nie zobaczę.

A potem nieoczekiwanie zdecydował się przyjechać tutaj, żeby być ze mną. Musisz zrozumieć, że mojego ojca zawsze cechowała arogancja, której coraz bardziej nienawidziłem i w głębi duszy uważałem, że przyjeżdża właśnie z tego powodu. Potrafiłem wyobrazić sobie, że nagle spróbuje odgrywać rolę ojca, udzielając mi rad, których nie potrzebuję lub sobie nie życzę. Albo zacznie reorganizować klinikę, żeby usprawnić jej funkcjonowanie, lub występować ze

wspaniałymi pomysłami, które miałyby uczynić to miejsce znośniejszym dla nas. A może nawet poprosi o zwrot długów, należnych mu od lat, by sprowadzić do pracy w klinice cały zespół młodych lekarzy ochotników, oczywiście, przez cały czas dopilnowując, żeby prasa w kraju dokładnie wiedziała, kto się kryje za tymi wszystkimi dobrymi uczynkami. Mój ojciec zawsze uwielbiał widzieć swoje nazwisko w gazetach i doskonale zdawał sobie sprawę, jak wiele dobra reklama może zdziałać dla niego i jego praktyki. Zanim przyjechał, myślałem poważnie o tym, żeby spakować manatki i wrócić do domu, zostawiając go tutaj. Zaplanowałem sobie po kilkanaście odpowiedzi na wszystko, co mi ewentualnie mógł powiedzieć. Przepraszam? Trochę na nie za późno. Cieszę się, że cię widzę? Żałuję, że nie mogę powiedzieć tego samego. Chyba powinniśmy porozmawiać? Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. Tymczasem on powiedział tylko: „Cześć”, a gdy zobaczył moją minę, po prostu skinął głową i odszedł. To był nasz jedyny kontakt w ciągu pierwszego tygodnia jego pobytu.

Nasze stosunki nie poprawiły się od razu. Podczas początkowych miesięcy oczekiwałem, że powróci do dawnego sposobu bycia, i bacznie go obserwowałem, chcąc go na tym przyłapać. Ale tak się nie stało. Nigdy nie skarżył się na pracę ani na warunki, wysuwał propozycje tylko wówczas, gdy go o to bezpośrednio proszono, i choć nigdy nie przypisywał sobie zasług, dyrektor w końcu ujawnił, że to ojciec dostarczył nowe leki i sprzęt, których rozpaczliwie potrzebowaliśmy, nalegając, żeby jego dar pozostał anonimowy.

Chyba najbardziej doceniłem to, że nie udawał, iż jesteśmy czymś, czym nie byliśmy. Przez całe miesiące nie byliśmy przyjaciółmi i nie uważałem go za ojca, a on bynajmniej nie próbował zmienić mojego nastawienia. Nie naciskał mnie w żaden sposób i myślę, że właśnie wtedy zacząłem być mniej podejrzliwy wobec niego.

Próbuję chyba powiedzieć, że mój ojciec się zmienił i powoli zaczynałem myśleć, że jest w nim coś, co zasługuje na drugą szansę. I mimo iż wiedziałem, że częściowo się zmienił, zanim jeszcze Cię poznał, jesteś główną siłą sprawczą, dla której stał się innym człowiekiem. Zanim Cię spotkał, ciągle czegoś szukał. Gdy stanęłaś na jego drodze, znalazł to.

Ojciec mówił o Tobie przez cały czas, a ja mogłem sobie tylko wyobrazić, ile listów do Ciebie napisał. Kochał Cię, ale jestem pewien, że dobrze o tym wiesz. Natomiast być może nie wiesz, że zanim się pojawiłaś, nie miał prawdopodobnie pojęcia, co to znaczy kochać kogoś, jestem tego pewien. Mój ojciec wiele w życiu osiągnął, lecz założę się, że oddałby to wszystko za możliwość spędzenia życia z Tobą. Zważywszy na to, że był mężem mojej matki, nie jest mi

łatwo pisać, pomyślałem jednak, że chciałabyś to wiedzieć. I w głębi duszy czuję. Że ojciec cieszyłby się, iż zrozumiałem, jak wiele dla niego znaczyłaś.

Jakimś sposobem odmieniałś mojego ojca i dzięki Tobie nie oddałbym tego roku za żadne skarby. Nie wiem, jak Ci się to udało, ale pod Twoim wpływem ojciec stał się człowiekiem, za którym już tęsknię. Uratowałaś go, a tym samym chyba w pewnym sensie uratowałaś również mnie.

Przyjechał do filii kliniki w górach z mojego powodu. Tej nocy pogoda była po prostu okropna. Lało od wielu dni, wszystkie drogi tonęły w błocie. Gdy połączyłem się drogą radiową z główną kliniką, żeby im przekazać wiadomość, że nie zdołam wrócić, ponieważ nie mogę uruchomić mojego dżipa i że zagraża nam ogromna lawina błotna, to właśnie ojciec siadł za kierownicą drugiego dżipa - mimo gorących protestów dyrektora - żeby do mnie dotrzeć. Mój tata przyjechał, żeby mnie uratować, i gdy zobaczyłem go w samochodzie, po raz pierwszy w życiu pomyślałem o nim w ten sposób. Do tej pory był zawsze moim ojcem, ale nigdy tatą. Myślę, że rozumiesz, co mam na myśli.

Był to ostatni moment. Dosłownie w kilka minut później usłyszeliśmy potworny huk, gdy zbocze góry osunęło się, w jednej sekundzie grzebiąc klinikę pod zwałami błota. Pamiętam, że popatrzyliśmy wtedy na siebie, nie mogąc uwierzyć, że uniknęliśmy śmierci o włos.

Chciałbym móc Ci powiedzieć, co wtedy zawiodło, ale naprawdę nie mam pojęcia. Ojciec prowadził ostrożnie i prawie dojechaliśmy na miejsce. Widziałem nawet światła kliniki w dolinie. Nagle, gdy braliśmy ostry zakręt, dżip wpadł w poślizg. Potem zapamiętałem jedynie to, że znaleźliśmy się poza szosą i staczaliśmy się z góry.

Ja ucierpiałem niewiele, nie miałem żadnych obrażeń poza złamaniem ręki i kilku żeber, ale natychmiast zorientowałem się, że z tatą jest niedobrze. Pamiętam, jak krzyczałem, żeby się trzymał, że sprowadzę pomoc, on jednak chwycił mnie za rękę i nie pozwolił odejść. Sądzę, że zdawał sobie sprawę, że umiera, i chciał, Żebym został przy nim.

Właśnie wtedy ten człowiek, który uratował mi życie, poprosił mnie o wybaczenie.

On Cię kochał, Adrienne. Proszę, nie zapomnij o tym nigdy. Mimo że spędziłaś z nim niewiele czasu, uwielbiał Cię, i ogromnie Ci współczuję z powodu Twojej straty. Gdy będzie Ci bardzo ciężko, tak jak mnie, niech stanie się dla Ciebie pociechą myśl, że ojciec bez chwili wahania nie tylko zrobiłby dla Ciebie to samo, co zrobił dla mnie, lecz że dzięki Tobie miałem szansę poznać i pokochać mojego tatę. Chyba próbuję po prostu powiedzieć Ci - dziękuję.

Mark Flanner

Amanda położyła list na stole. W kuchni zrobiło się już prawie całkiem ciemno i w ciszy słyszała swój własny oddech. Matka została w salonie sama ze swoimi myślami. Amanda złożyła list, myśląc o Paulu, myśląc o matce i, nieoczekiwanie, o Brennie.

Z trudem udało jej się przywołać na pamięć święta Bożego Narodzenia sprzed wielu lat - uświadomiła sobie, jak milcząca była wtedy matka, jeśli uśmiechała się, to z lekkim przymusem, w oczach stawały jej nagle z niewiadomego powodu łzy, które ona i jej bracia przypisywali ciągle rozstaniu z ojcem.

I przez wszystkie te lata nie napomknęła nawet słowem o Paulu.

Mimo że Adrienne i Paul nie przeżyli ze sobą tylu lat, ile ona przeżyła z Berentem, Amanda z nagłą pewnością zrozumiała, że śmierć Paula była dla matki równie straszliwym ciosem, jak dla niej ostatnie chwile, które spędziła przy łóżku Brenta - z jedną tylko różnicą.

W przeciwieństwie do niej Adrienne nie miała okazji pożegnać się z ukochanym człowiekiem.

* * *

Gdy Adrienne usłyszała stłumione łkania córki, odwróciła się od okna w salonie i przeszła powoli do kuchni. Amanda podniosła na nią w milczeniu oczy, z których wyzierało niewymowne cierpienie.

Adrienne stała nieruchomo, wpatrując się w córkę, aż w końcu otworzyła szeroko ramiona. Amanda wstała instynktownie, starając się bezskutecznie powstrzymać łzy. Matka i córka stały w kuchni, obejmując się bez słowa przez długi, długi czas.

ROZDZIAŁ 18

Powietrze lekko się ochłodziło, toteż Adrienne zapaliła kilka świec w różnych miejscach kuchni, żeby trochę ją ogrzać i oświetlić. Następnie usiadła przy stole, włożyła list od Marka z powrotem do pudełka wraz z fotografią i listem od Paula. Amanda, splótłszy dłonie na kolanach, przyglądała jej się z poważną miną.

- Bardzo mi przykro, mam - powiedziała cicho. - Z powodu wszystkiego. Z powodu tego, że straciłaś Paula, że musiałaś przejść przez to sama. Nie potrafię sobie wyobrazić, ile to kosztuje, żeby tłamsić wszystko w sobie.

- Ja też nie - przyznała Adrienne. - Nie udało mi się przeżyć tego bez niczyjej pomocy.

Amanda pokręciła głową.

- Ale jednak ci się udało - wyszeptła.

- Nie - zaprzeczyła Adrienne. - Przetrwałam, lecz nie sama.

Amanda popatrzyła na nią zaintrygowana. Adrienne uśmiechnęła się do córki melancholijnie.

- Dziadziś - powiedziała w końcu. - Mój tata. To on płakał ze mną. A ja przez wiele tygodni płakałam razem z nim. Gdyby nie on, nie wiem, co bym zrobiła.

- Ale... - Amanda zawahała się i Adrienne dokończyła za nią.

- Ale on nie mógł mówić? - Adrienne umilkła na chwilę. - Nie musiał. Słuchał mnie, a ja właśnie tego wtedy potrzebowałam. Poza tym wiedziałam, że nawet gdyby mógł mówić, to nie było takich słów, które odeгнаłyby cierpienie i przyniosły pociechę. - Podniosła głowę i popatrzyła córce w oczy. - Wiesz to równie dobrze jak ja.

Amanda zacisnęła wargi.

- Szkoda, że mi nic nie powiedziałaś - rzekła z wyrzutem. - To znaczy wcześniej.

- Z powodu Brenta?

Amanda skinęła twierdząco głową.

- Rozumiem twój żal, lecz nie byłaś jeszcze gotowa, żeby usłyszeć moją historię. Potrzebowałaś czasu, żeby uporać się z cierpieniem na swój własny sposób, na własnych warunkach.

Przez długą chwilę Amanda siedziała w milczeniu.

- To niesprawiedliwe. Ty i Paul, ja i Brent - powiedziała w końcu szeptem.

- niesprawiedliwe - powtórzyła Adrienne.

- Jak ci się udało żyć dalej po tym, gdy go straciłaś?

Adrienne uśmiechnęła się z zadumą.

- W tamtym okresie żyłam z dnia na dzień. Czy nie takiej właśnie rady ci udzielono? Wiem, że to brzmi banalnie, ale gdy budziłam się rano, mówiłam sobie, że muszę być silna przez jeden dzień. Tylko ten jeden dzień. I postępowałam tak bezustannie.

- W twoich ustach brzmi to tak prosto - wyszeptała Amanda.

- Wcale nie było to proste. Przeżyłam najtrudniejsze chwile w całym moim życiu.

- Gorsze niż po odejściu taty?

- Wtedy również było mi ciężko, ale to zupełnie co innego. - Adrienne rzuciła córce krótki uśmiech. - Przecież sama mi to kiedyś powiedziałaś, prawda?

Amanda odwróciła wzrok. Tak, pomyślała, rzeczywiście tak powiedziałam.

- Żałuję, że straciłam okazję, żeby go poznać.

- Polubiłabyś go. Oczywiście z czasem. W tamtym okresie mogłabyś się raczej boczyć. Miałaś wciąż nadzieję, że tatuś i ja jeszcze się zejdziemy.

Dłoń Amandy powędrowała w zamyśleniu do ślubnej obrączki, którą w dalszym ciągu nosiła. Okręciła ją wokół palca, jej twarz przypominała maskę.

- Wiele straciłaś w życiu.

- To prawda.

- Ale teraz sprawiasz wrażenie szczęśliwej.

- Bo jestem szczęśliwa.

- Jak to możliwe?

Adrienne splotła palce.

- Kiedy rozmyślałam o tym, że straciłam Paula, lub o tym, jak mogłoby wyglądać moje życie, oczywiście ogarnia mnie smutek. Tak było zawsze i tak jest teraz. Ale musisz zrozumieć również coś innego - bez względu na to, jak ciężko mi było, jak okropna i niesprawiedliwa rzecz mnie spotkała, nie oddałabym absolutnie za nic tych kilku dni, które z nim spędziłam.

Umilkła, chcąc, żeby do córki dotarło w pełni znaczenie jej słów.

- Mark napisał w liście, że uratowałam Paula przed nim samym. Lecz gdyby mnie zapytał, odpowiedziałabym, że uratowaliśmy się wzajemnie albo że Paul uratował mnie. Gdybym go nigdy nie spotkała, nie wiem, czy kiedykolwiek potrafiłabym przebaczyć Jackowi, i nie

byłabym taką matką czy babcią, jaką jestem teraz. Dzięki niemu wróciłam do Rocky Mount z przekonaniem, że wszystko będzie dobrze, że poradzę sobie z każdą sytuacją bez względu na wszelkie przeciwności. Rok, który minął nam na pisaniu listów, dodał mi siły, której potrzebowałam później, gdy w końcu się dowiedziałam, co się z nim stało. Tak, byłam załamana po jego utracie, ale gdybym mogła jakimś cudem cofnąć się w czasie - tym razem wiedząc z góry, co się wydarzy - i tak namawiałabym go do wyjazdu przez wzgląd na jego syna. Musiał naprawić swoje stosunki z Markiem, było to dla niego ważne. Syn go potrzebował - zawsze go potrzebował. I nie było jeszcze za późno. - Amanda spuściła wzrok, wiedząc, że matka ma również na myśli Maxa i Grega. - Dlatego opowiedziałam ci tę historię od samego początku - mówiła dalej Adrienne. - Nie dlatego że przeżyłam to samo, co ty przeżywasz w tej chwili, ale dlatego że chciałam, żebyś zrozumiała, jak ważne były jego stosunki z synem. I ile znaczyło dla Marka, że się o tym dowiedział. To są rany, które trudno się goją, i nie chcę, żebyś była zraniona jeszcze mocniej, niż jesteś teraz. - Adrienne wyciągnęła rękę przez stół i ujęła dłoń córki. - Wiem, że wciąż ogromnie cierpisz z powodu utraty Brenta, lecz ja nie mogę zrobić nic, żeby pomóc ci się z tym uporać. Gdyby Brent był tutaj, z pewnością powiedziałby ci, żebyś skoncentrowała się na dzieciach, a nie na jego śmierci. Chciałby, żebyś pamiętała dobre chwile, a nie te złe. Przede wszystkim zaś pragnąłby, żebyś nie cierpiała.

- Zdaję sobie sprawę z tego wszystkiego, a jednak...

Adrienne przerwała córce, ściskając delikatnie jej dłoń i nie pozwalając dokończyć.

- Jesteś silniejsza, niż ci się wydaje - ciągnęła - ale pod warunkiem, że tego zechcesz.

- To nie takie proste.

- Oczywiście, że nie, musisz jednak zrozumieć, że ja nie mówię o twoich uczuciach. Nad nimi nie da się zapanować. Nadal będziesz płakała, nadal będziesz przeżywała chwile, kiedy ogarnie cię zwątpienie, czy zdołasz żyć dalej. Lecz musisz postępować tak, jakbyś mogła. W takiej sytuacji działanie jest właściwie jedyną rzeczą, nad którą możesz zapanować. - Adrienne zrobiła krótką przerwę. - Twoje dzieci potrzebują cię, Amando. Sądzę, że bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. A ostatnio prawie się nimi nie zajmujesz. Wiem, że cierpisz, jest mi cię ogromnie żal, ale jesteś teraz mamą i nie możesz dalej tak się zachowywać. Brent nie chciałby tego, a twoje dzieci drogo za to płacą.

Gdy Adrienne skończyła, Amanda siedziała ze wzrokiem wbitym w stół. Po chwili jednak, jak na zwolnionym filmie, podniosła głowę i spojrzała matce w oczy.

Aczkolwiek ogromnie żałowała, że nie jest inaczej, Adrienne nie miała pojęcia, co myśli jej córka.

* * *

Dan składał ostatnie ręczniki wyjęte z kosza, oglądając kanał sportowy w telewizji, gdy Amanda wróciła do domu. Uprane rzeczy były starannie ułożone w kupki na niskim stoliku. Dan sięgnął odruchowo po pilota, żeby ściszyć telewizor.

- Zastanawiałem się, kiedy wreszcie masz zamiar wrócić - powiedział.

- Och, cześć - rzekła Amanda, rozglądając się. - Gdzie są chłopcy?

Dan wskazał gestem głowy sypialnię, dodając jednocześnie zielony ręcznik do ułożonej już sterty.

- Poszli do łóżek jakieś kilka minut temu. Jeśli chcesz im powiedzieć dobranoc, to pewnie jeszcze nie zdążyli zasnąć.

- A gdzie twoje dzieciaki?

- Podrzuciłem je po drodze do domu razem z Kirą. Do twojej wiadomości, Max poplamiał sosem z pizzy swoją koszulkę ze Scooby-Doo. To pewnie jego ulubiona koszulka, ponieważ bardzo się tym zdenerwował. Namoczyłem ją w umywalce, ale nie mogłem nigdzie znaleźć płynu do wywabiania plam.

Amanda skinęła głową.

- Kupię go podczas weekendu. Tak czy owak, muszę pojechać na zakupy. Inne rzeczy też mi się skończyły.

Dan spojrział na siostrę.

- Jeśli zrobisz listę, Kira pojedzie na zakupy. Wiem, że wybiera się do supermarketu.

- Dzięki za dobre chęci, ale myślę, że nadszedł czas, żebyśmy zaczęła znowu dbać o to sama.

- Dobrze... - Dan uśmiechnął się niepewnie. Przez chwilę i on, i siostra stali, patrząc na siebie w milczeniu.

- Dziękuję, że zająłeś się chłopcami - odezwała się wreszcie Amanda.

Dan wzruszył ramionami.

- Drobiazg. I tak wybieraliśmy się do kina, pomyślałem więc, że może im to sprawić przyjemność.

- Nie - powiedziała Amanda poważnym głosem. - chcę podziękować ci za wszystko, co dla nich ostatnio robiłeś. Nie tylko dzisiejszego wieczoru. Ty i Matt byliście naprawdę wspaniali po tym, jak... jak straciłam Brenta... i nie wiem, czy kiedykolwiek dałam wam odczuć, jak bardzo jestem wdzięczna.

Dan spuścił wzrok na wzmiankę o Brencie. Sięgnął po pusty kosz na brudną bieliznę.

- Po to są wujkowie, prawda? - Przystąpił z nogi na nogę, trzymając kosz przed sobą. - Czy chcesz, żebym wstąpił po chłopców także jutro? Zamierzam wybrać się z dziećmi na wycieczkę rowerową.

Amanda pokręciła przecząco głową.

- Dzięki, ale poradzę sobie.

Dan popatrzył na nią z powątpiewaniem, lecz Amanda zdawała się tego nie zauważać. Zdjęła kurtkę i położyła ją na krześle razem z torebką.

- Odbyłam dzisiaj długą rozmowę z mamą.

- Tak? I jak wam poszło?

- Nie uwierzyłbyś nawet w połowę tego, co mogłabym ci opowiedzieć.

- Co takiego?

- Musiałbyś tam być. Dzisiejszego wieczoru dowiedziałam się czegoś o niej.

Dan uniósł brwi, czekając na jej zwierzenia.

- Jest twardsza, niż mogłoby się wydawać - stwierdziła Amanda.

Dan wybuchnął śmiechem.

- Tak... jasne, jest twarda jak skała. Zapłakuje się, gdy zdechnie złota rybka.

- Może to i prawda, ale pod wieloma względami chciałabym być tak silna jak ona.

- Mowa!

Kiedy jednak Dan zobaczył poważną minę siostry, zdał sobie nagle sprawę, że nie usłyszy żadnej puenty.

- Chwileczkę - powiedział, marszcząc brwi. - *Nasza* mama?

* * *

Dan wyszedł kilka minut później. Mimo że próbował wyciągnąć z siostry, co takiego powiedziała jej matka, Amanda uparcie odmawiała. Rozumiała powody milczenia Adrienne, zarówno w przeszłości, jak i w późniejszych latach, i wiedziała, że matka opowie wszystko Danowi, kiedy zechce lub jeśli będzie miała ku temu powód.

Amanda zamknęła drzwi za bratem i rozejrzała się po salonie. Nie dość, że poskładał ubrania, to w dodatku posprzątał. Pamiętała, że przed jej wyjściem obok telewizora wały się kasety wideo, na małym stoliku stały puste filiżanki, na komodzie przy drzwiach urosła nieporządna sterta czasopism chyba jeszcze nawet sprzed roku.

Dan zajął się wszystkim. I tym razem.

Amanda pogasiła światła, myśląc o Brencie, myśląc o minionych ośmiu miesiącach, myśląc o swoich dzieciach. Wspólna sypialnia Grega i Maxa znajdowała się w jednym końcu korytarza, a główna sypialnia w przeciwnym. Ostatnio ta odległość wydawała jej się zbyt trudna do przebycia pod koniec dnia. Przed śmiercią Brenta pomagała chłopcom zmówić modlitwę i czytała im nieduże książeczki z kolorowymi ilustracjami, zanim przykryła ich kołderkami aż pod brodę.

Dzisiejszego wieczoru zrobił to za nią jej brat. Wczoraj nie zrobił tego nikt.

Amanda weszła po schodach na górę. W domu nie paliły się żadne światła, korytarz na piętrze tonął w ciemności. Gdy stanęła na szczycie schodów, dobiegły ją urywane szepty synów. Ruszyła korytarzem i zatrzymała się przed drzwiami do ich pokoju. Zajrzała do środka.

Chłopcy spali w dwóch pojedynczych łóżkach, w kolorowej pościeli z wizerunkami dinozaurów i samochodów wyścigowych. Między łóżkami leżały porozrzucone zabawki. W pobliżu szafy stała zapalona nocna lampka.

Amandę jeszcze raz uderzyło, jak bardzo obaj synowie są podobni do ojca.

Chłopcy zastygli w bezruchu. Wiedząc, że na nich patrzy, chcieli, by pomyślała, iż już śpią, jak gdyby czuli się bezpieczniej, ukrywając się przed matką.

Podłoga zaskrzypiała pod jej ciężarem. Max wyraźnie wstrzymywał oddech. Greg zerknął na nią, po czym zacisnął powieki, gdy Amanda usiadła przy nim. Pochyliwszy się nad synkiem, pocałowała go w policzek i pogłaskała delikatnie po główce.

- Cześć - szepnęła. - Spisz?

- Tak - odpowiedział. Uśmiechnęła się.

- Czy chciałbyś spać dzisiaj z mamusią? W dużym łóżku? - spytała szeptem.

Minęła dobra chwila, zanim do Grega dotarło w pełni to, co powiedziała.

- Z tobą?

- Tak.

- Jasne - odrzekł.

Amanda pocałowała go jeszcze raz, przyglądając mu się, gdy wstawał, po czym przeszła do łóżka Maxa. Jego włosy lśniły niczym złocista choinkowa lameta w świetle padającym z okna.

- Cześć, kochanie.

Max przełknął ślinę, nie otwierając oczu.

- Czy ja też mogę?

- Jeśli chcesz.

- Chcę - odpowiedział.

Amanda uśmiechnęła się, gdy obaj wstali, lecz kiedy skierowali się w stronę drzwi, pociągnęła ich z powrotem, przytulając do siebie. Pachnieli jak mali chłopcy: ziemią i trawą, czystą niewinnością.

- Co powiecie na to, żebyśmy jutro wybrali się do parku, a później na lody?

- A możemy puszczać latawce? - spytał Max.

Amanda przytuliła ich mocniej do siebie, zamykając oczy.

- Przez cały dzień. I pojutrze też, jeśli będziecie mieli ochotę.

ROZDZIAŁ 19

Minęła już północ i Adrienne siedziała w swoim pokoju, ściskając w dłoni muszlę. Godzinę wcześniej zadzwonił Dan, żeby przekazać jej nowiny o Amandzie.

- Obiecała mi, że jutro zabiera chłopców do parku. Całą trójkę, łącznie z moim. Oświadczyła, że dzieci muszą spędzić trochę czasu ze swoją mamą. Nie wiem, co jej powiedziałaś - dodał po chwili milczenia - ale najwyraźniej podziało.

- Cieszę się.

- A właściwie co takiego jej powiedziałaś? Była dziwnie tajemnicza, nie chciała mi nic zdradzić.

- To samo, co mówiłam przez cały czas. To samo, co powtarzaliście jej w kółko, ty i Matt.

- Dlaczego więc tym razem cię posłuchała?

- Przypuszczam - rzekła Adrienne, przeciągając wyrazy - że po prostu wreszcie sama tego chciała.

Później, gdy odłożyła słuchawkę, przeczytała listy od Paula, tak jak przewidywała wcześniej. Mimo że łyż przesłaniały jej oczy i z trudem odczytywała jego słowa, chyba jeszcze trudniej było jej czytać własne listy, które pisała do niego w ciągu całego roku rozłąki. Znała je niemal na pamięć. Leżały osobno w drugiej paczuszce, tej, którą przywiózł Mark Flanner, kiedy przyjechał do niej w dwa miesiące po pogrzebie Paula w Ekwadorze.

Amanda zapomniała spytać ją przed wyjściem o wizytę Marka, a Adrienne nie przypomniała jej o tym. Być może córka wróci kiedyś do tego, ale nawet teraz Adrienne nie była pewna, ile jej powie. To była jedyna część jej historii, którą zachowała całkowicie dla siebie, zamknięta przez te wszystkie lata tak jak listy. Nawet jej ojciec nie wiedział o tym, co uczynił Paul.

W bladym świetle ulicznej latarni, sączącym się przez okno, Adrienne wstała z łóżka, wyjęła z szafy kurtkę i szalik, po czym zeszła na dół. Odsunęła zasuwę w tylnych drzwiach i wyszła na dwór.

Gwiazdy skrzyły się jak drobniutkie iskierki na pelerynie iluzjonisty, powietrze było wilgotne i zimne. Widziała z werandy ciemne baseny, w których odbijał się heban nieba. W oknach sąsiadów paliły się światła i mimo że wiedziała, iż jest to tylko gra jej wyobraźni, niemal

czuła zapach soli, jak gdyby nadmorska mgła kłębiła się nad podwórkami przylegającymi do jej posesji.

Mark zjawił się u niej w domu pewnego lutowego poranka. Rękę miał wciąż na temblaku, lecz Adrienne prawie tego nie zauważyła. Stała jak wryta, wpatrując się w niego, nie mogąc oderwać oczu od młodego mężczyzny. Pomyślała, że jest uderzająco podobny do ojca. Gdy otworzyła drzwi, uśmiechnął się do niej smutno, a ona cofnęła się do przedpokoju, z trudem powstrzymując łzy.

Usiedli przy stole, oddzieleni dwiema filiżankami kawy. Mark wyjął z torby podróżnej listy, które przywiózł ze sobą.

- Ojciec przechowywał je - powiedział. - Nie przyszło mi nic innego do głowy, jak przywieźć je tobie.

Adrienne skinęła głową, biorąc je od niego.

- Dziękuję ci za list - rzekła. - Zdaję sobie sprawę, jak musiało być ci trudno go napisać.

- Proszę bardzo - odparł i przez długą chwilę siedzieli oboje w milczeniu. Później oczywiście wyjaśnił jej, po co przyjechał.

Teraz, stojąc na werandzie, Adrienne uśmiechnęła się na myśl o tym, co Paul uczynił dla niej. Pamiętała, jak po odjeździe Marka wybrała się w odwiedziny do ojca, do domu spokojnej starości, domu, którego nigdy nie musiał opuścić. Jak wyjaśnił Mark podczas wizyty u niej, Paul poczynił kroki, żeby jej ojciec mógł korzystać do końca swoich dni z usług tej placówki - miał nadzieję sprawić jej niespodziankę tym prezentem. Kiedy zaczęła protestować, Mark dał jej jasno do zrozumienia, że złamie mu serce, jeśli nie przyjmie tego daru.

- Proszę - rzekł w końcu - mój ojciec życzył sobie tego.

W latach, które nastąpiły, była głęboko wdzięczna Paulowi za jego ostatni gest, tak jak pielęgnowała w pamięci wszystkie wspomnienia tych kilku dni, które spędzili razem. Paul był dla niej wszystkim i tak pozostanie na zawsze. Stojąc na werandzie późnym zimowym wieczorem i wdychając mroźne powietrze, Adrienne uświadomiła sobie, że jej uczucia nigdy się nie zmienią.

Przeżyła już więcej lat, niż jej pozostało, ale nie miała wcale poczucia, że minęło ich aż tyle. Całe lata umknęły z jej pamięci, zostały zmyte niczym ślady stóp na piasku tuż nad wodą. Czasami wydawało jej się, że z wyjątkiem tych kilku dni, które spędziła z Paulem Flannerem, życie minęło niemal niezauważalnie, podobnie jak długa przejażdżka samochodowa małemu dziecku, które przygląda się przez okno przemykającemu za szybą krajobrazowi.

Zakochała się w nieznajomym podczas weekendu i nigdy więcej już nikogo nie pokocha. Pragnienie miłości umarło na górskiej przełęczy w Ekwadorze razem z Paulem, który oddał życie, śpiesząc na pomoc swojemu synowi, i w tej samej chwili umarła też częśćka jej.

Nie była jednak rozgoryczona. Wiedziała, że w analogicznej sytuacji ona też próbowałaby ocalić swoje dziecko. To prawda, Paul odszedł, ale pozostawił jej tak wiele. Odkryła miłość i radość, odnalazła siłę, której w sobie nie podejrzewała, i nikt nigdy jej tego nie odbierze.

Wszystko się skończyło, zostały jednak wspomnienia, które pielęgnowała z nieskończoną troskliwością. Były dla niej tak rzeczywiste jak sceneria rozciągająca się teraz przed jej oczyma. Stłumiła łzy, które zaczęły płynąć jej z oczu już w półmroku pustej sypialni, podniosła brodę do góry. Patrząc w niebo, westchnęła głęboko, wsłuchując się w daleki, wyimaginowany huk fal rozbijających się o brzeg pewnej burzliwej nocy w Rodanthe.